

H HARLEQUIN

POWIEŚĆ
HISTORYCZNA

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

KASEY
MICHAELS

TAJEMNICZA SPRAWA
PANNY FOSTER

Kasey Michaels

Tajemnicza sprawa panny Foster

Tłumaczenie:
Małgorzata Hesko-Kołodzińska

PROLOG

Cooper Townsend stał przy wysokiej toalecie i patrzył na swoje odbicie w lustrze. Jego zielone oczy pociemniały ze złości, z chwili na chwilę coraz bardziej się wściekał. Musiał jednak przezwyciężyć gniew – gdyby to się nie udało, nie byłby w stanie trzeźwo myśleć.

Na domiar złego skończyły mu się fulary. Zdążył już pognieść trzy, odkąd w garderobie zjawił się jego przyjaciel Darby, wymachując drugim tomem dzieła *Kronika bohatera*.

Najwyraźniej poprzednia część, *Mężne i miłosne uczynki Jego Lordowskiej Mości Coopera McGinleya Townsenda, wraz ze szczegółowymi relacjami z jego nadzwyczajnych misji przeciwko żabojadom podczas chwalebnej i zwycięskiej wojny Anglii z piekielnym Napoleonem, tom pierwszy*, nie wystarczyła. To właśnie z jej powodu Cooper po dwóch tygodniach pobytu w stolicy wyjechał do nowo nabytej posiadłości, w której zamierzał odzyskać spokój i równowagę wewnętrzną, mimo że w rezydencji akurat gościła jego matka.

Powrócił do Londynu pod namowami swojego serdecznego druha, Gabriela Sinclaira, ale tylko na tydzień. Gdy otrzymał egzemplarz sygnałny u drugiego, ponownie zjawił się w posiadłości, tym razem jedynie po to, by spakować większość nowej garderoby, podjąć nieudaną próbę wyperswadowania matce wspólnego wyjazdu i znowu wyruszyć na mały sezon. Musiał znaleźć sobie żonę, choć wcale tego nie chciał. Po co komu żona, pytał sam siebie. Tylko Gabriel, całkowicie wbrew zdrowemu rozsądkowi, wydawał się zachwycony perspektywą utraty wolności.

Pośpieszne zaręczyny niekoniecznie musiały oznaczać rozwiązanie problemów Coopera, jednak trzeba było coś zrobić na dobry początek. Matrony przechodziły same siebie, a on pragnął samodzielnie wybrać połowicę. Nie chciał obudzić się któregoś pięknego ranka u boku rozchichotanej debutantki ze świadomo-

ścią, że jej matka lada moment wpadnie do sypialni ze świadkami oraz okrzykiem: „Ty hultaju! Jeszcze dzisiaj damy na zapowiedzi!”.

Taka wizja mogłaby się wydawać zarazem niemądra i nierealna, gdyby nie to, że pewna przedsiębiorcza młoda dama już zdążyła się zakraść do jego łóżka w hotelowym apartamencie. Na szczęście Ames przerzucił ją przez ramię i wyniósł na korytarz, gdzie czekała rozwścieczona matka dziewczęcia, która bezcerebralnie chwyciła córkę za ucho i nie przebierając w słowach, zrugowała ją za nieudolność.

Po tym incydencie Cooper utwierdził się w przekonaniu, że musi jak najprędzej zniknąć z rynku kawalerów do wzięcia. Tylko wtedy miał szansę odzyskać spokój.

- Czytałeś? Książka ukazała się dzisiaj rano, więc może jeszcze nie doświadczyłeś tej niewątpliwej przyjemności - odezwał się Darby Travers, który przedstawiał się również jako wicehrabia Nailbourne, kiedy pragnął wyrzeć wrażenie na rozmówcy.

- Tak, czytałem - burknął Cooper i popatrzył chmurnie na przyjaciela. - Ten, kto to spłodził, a kogo nie zamierzam tytułować pisarzem, w swojej uprzejmości przesłał mi egzemplarz sygnałny, gdy w ubiegłym tygodniu bawiłem w Londynie. Na litość boską, Darby, przestań podtykać mi książkę pod nos i odłóż ją wreszcie!

- Za chwilę. Wiem już, że uratujesz nadobną dziewicę i nie spotka jej los gorszy od śmierci, ale pozwól mi doczytać zakończenie.

- No dobrze, skoro to takie ważne, to sobie doczytaj. - Cooper westchnął.

Wicehrabia wyrecytował przyjemnym, choć przesadnie rozbawionym barytonem.

Najurodziwsza z urodziwych i najcnotliwsza z cnotliwych młoda dama, której imię na zawsze pozostanie sekretem, skierowała spojrzenie bławatkowej barwy ocząt skąpanych w brylantowych łzach na nie dość, że skromnego, to jeszcze speszonego herosa i, ku jego zdumieniu tudzież zaskoczeniu, przywarła do jego mocarnego torsu swym miękkim ciałem, nie było zatem odwrotu, musiał ją tulić, czując pospieszne bicie jej dziewiczego

serca w unoszącym się i opadającym perfekcyjnego kształtu biuście, ona zaś wychwalała jego rycerskość i inne atrybuty, w tym niesłychane męstwo, po czym, przytłoczona nawałą emocji, krzyczała bliska ekstazy i zarazem czepiała się jego rozłożystych barków, nie lękając się przy tym o swój honor, który złożyła w jego silne dłonie.

- To jest jeszcze gorsze, niż zapamiętałem - burknął Cooper. - Czy ten pozał się Boże pisarzyna nie słyszał o dobrodziejstwie kropek? Niemal zabrakło ci tchu, Darby, chyba że „przytłoczony nawałą emocji”, nic nie mogłeś na to poradzić.

- Zapewne jedno i drugie. Ty szczęściarzu - mruknął Darby, usiłując przewrócić ostatnią kartkę tandetnie wydanej książki. Nagle zmarszczył brwi. - „Wkrótce tom trzeci, pt. *Dalsze przygody i wyczyny barona Coopera McGinleya Townsenda, herosa, jak również pełna odłona prawdy o jego charakterze i osobistym usposobieniu, wszystko jedno, czy szatan z niego, czy święty*”. - Darby podniósł wzrok na przyjaciela. - To tyle? Nic więcej? Na Boga, Coop, niedobrze. Każdy, kto może się poszczycić choćby i szczątkową wyobraźnią, od razu dojdzie do wniosku, że wykorzystasteś tę dziewczynę, a jak powszechnie wiadomo, chociaż wyższym sferom brak inteligencji, to wyobraźnię mają nad wyraz rozbuchaną.

- Jestem tego świadom, niemniej dziękuję za przypomnienie.

Cooper ściągnął zmaltretowany fular z szyi i podał go starszemu sierżantowi Amesowi, który był jego adiutantem w trakcie bitwy pod Waterloo i który w pełni zasłużył na miano najbardziej gburowatego i wulgarnego pokojowca w całej Anglii.

- Paluchy poodrąbywać, ot i co - wymamrotał Ames, po czym rzucił Cooperowi świeży fular. - I wbić je kopniakiem w zadnicę.

- Och, tak daleko bym się nie posuwał. - Darby przechwycił fular w locie. - Coop zazwyczaj jest znośny, tylko teraz sprawia wrażenie rozstrojonego. Pozwól, przyjacielu, że cię wyęcę. Nie mam ochoty do grobowej deski tkwić w twojej garderobie.

Dwaj wysocy i przystojni, choć skrajnie różni, dzentelmeni stanęli razem przed lustrem. Jasnowłosa Coop mógłby uchodzić za anioła, a brunet Darby prezentował się szatańsko, a do tego zy-

skiwał na atrakcyjności za sprawą czarnej atlasowej przepaski na lewym oku.

- Amesowi chodziło o mojego anonimowego biografa, nie o mnie. - Coop uśmiechnął się szeroko i podniósł brodę, by umożliwić Darby'emu odpowiednie ułożenie fularu. - Poza tym wyraził nadzwyczaj wstrzemięźliwą - by nie rzec wielkoduszną - opinię. W gruncie rzeczy z pewnością miał na myśli zupełnie inną część anatomii tego padalca, prawda, Ames?

- Wpierw trzeba by ją znaleźć, jaśnie panie, a tak sobie myślę, że bez lupy by się nie obeszło, jeśli jaśnie pan rozumie, do czego zmierzam.

- Oddajże mi tę szmatę, bo jeszcze chwila i mnie udusisz. - Zniecierpliwiony Coop wyrwał fular z dłoni Darby'ego. - Powróciłem do Londynu w nadziei na wsparcie przyjaciół, a tymczasem Gabe wyjechał do swojej posiadłości i na domiar złego pozostawił tutaj twoją nieskromną osobę. Z drugiej jednak strony naiwnością byłoby oczekiwanie od ciebie jakiegokolwiek pomocy. I bez takiej zmory jak ty moje życie jest wywrócone do góry nogami.

- Uznam to za komplement. Przyznaj jednak, że choć jestem zmorą, to umiem świetnie wiązać fular, i to z zamkniętymi oczami... *Pardon*, okiem. Zatem sam się zajmuj swoimi sprawami. Ośmielę się tylko zauważyć, że za sprawą twojego pokojowca, który właśnie kończy „węzeł bohatera” na twojej szyi, wyglądasz tak, jakbyś włożył sobie na nią pętlę.

- Zawsze podziwiałem twoje poczucie humoru, Darby... - Cooper westchnął i z pomocą Amosa włożył frak. - Nie wiem, jak ci się czasem udaje powstrzymać śmiech. Twoim zdaniem ta historia jest zabawna, że boki zrywać, prawda?

- Zasadniczo raczej nie, ale przyznaję, świetnie się bawię, gdy widzę, jak skołowany jest mój przyjaciel, człowiek z natury spokojny i niewzruszony - odparł Darby. - Zastanów się sam, czy to naprawdę takie straszne, że okrzyknięto cię bohaterem? Damy w całym Mayfair wzdychają z zachwytu na samą myśl o tobie. Niejedna z zapałem przebiera palcami u stóp, gdy rozmowa zbacza na twój temat. Naprawdę masz szczęście.

Coop i Ames wymienili wymowne spojrzenia, a następnie pokojowiec poszedł po kartkę papieru, która leżała na biurku w sy-

pialni zajmowanej przez Coopa w hotelu Pulteney.

- Ten list otrzymałem dzisiaj - wyjaśnił Coop, biorąc kartkę od pokojowca. - Ktoś wsunął go pod drzwi, jak to zwykle bywa w podrzędnych powieściach. Proszę, weź tę kartkę i przeczytaj ją na korytarzu, żebyś sam wyrobił sobie opinię. Ja tylko szybko przywitam się z mamą i zaraz do ciebie dołączę.

- Czy to coś zabawnego? - zainteresował się Darby, wsuwając list do kieszeni. - Chyba jednak nie... A może dzięki tej kartce do-
wiem się, skąd ten fular oraz twój szampański humor? Doskona-
le. Jeśli się nie zjawisz w ciągu dziesięciu minut, spodziewaj się
mnie z powrotem.

Darby wyszedł, a Coop sięgnął po srebrne szczotki do włosów i zabrał się do porządkowania ciemnej niesfornej czupryny. Jak to ujął autor książki:

*...dumna korona jego muśniętych pocałunkiem słońca loków
nasuwała nieodparte skojarzenie z istną aureolą dobroci, nawet
kiedy przeczesywał ich gęstwinę smukłymi, długimi palcami,
jednocześnie stąpając ponad ruiną zwłok niegodziwego napast-
nika i obdarzając nieśmiałym uśmiechem nieznaną damę, którą
uratował od losu gorszego niż śmierć.*

„Od losu gorszego niż śmierć”. Właśnie tak to ujął Darby, kiedy sobie żartował - co dowodziło jedynie, że właściwie każdy jest w stanie napisać podobną książkę, o ile nie wysili zbytnio wyobraźni i ograniczy się do banału i lubieżności.

- Wielkie nieba, nie powinienem dworować sobie z przyjaciela - upomniał sam siebie Cooper i odłożył szczotkę. - Czy to naprawdę takie straszne, że zostałem okrzyknięty bohaterem? Darby, przyjacielu, nie masz pojęcia, co wygadujesz!

Inna rzecz, że początkowo nie było aż tak źle. Cooper służył ojczyźnie dwukrotnie, przywdziewając mundur ponownie po powrocie do Anglii w 1814 roku wraz z przyjaciółmi Darbym, Gabrielem oraz baronetem Jeremiaszem Rigbym. Zyskał nie lada sławę po niewielkiej, lecz zajadłej bitwie pod Quatre Bras, tuż przed ostatecznym zwycięstwem Wellingtona pod Waterloo.

Świat nigdy nie miał poznać pełnej prawdy o wydarzeniach

tamtego dnia, co jego wysokość książę regent osobiście i dobitnie dał do zrozumienia Cooperowi, po czym ofiarował mu małą posiadłość, zaciąg sumkę oraz tytuł barona. Nagroda była imponująca, choć ten i ów mógłby ją nazwać próbą przekupstwa. Tak czy owak, Cooper szybko sobie uświadomił, że postąpi roztropnie i przezornie, przyjmując dar.

Świat jednak nic nie wiedział na ten temat.

Przeciętnych angielskich zjadaczy chleba oraz codzienną prasę najbardziej interesowało to, jak Cooper z niebywałą śmiałością uratował gromadę jasnowłosych brzdąców, przy czym ich liczba wahała się od trzech do pełnego tuzina, w zależności od źródła. Maluchy rzekomo zabłądziły i przypadkiem znalazły się na środku pola, na którym wkrótce miała się rozegrać batalia. Według szczególnie romantycznej wersji w sprawę zaangażowała się pewna piękna starsza kuzynka dzieci, która okazała Cooperowi daleko idącą wdzięczność za bohaterską postawę.

Po powrocie do Londynu Cooper stał się bardziej popularny niż bożonarodzeniowy pudding. W miesiącach po Waterloo, dokądkolwiek się udał, ludzie wołali za nim i pozdrawiali go.

Każdy chciał go zaprosić na drinka. Ludzie traktowali go jak najlepszego druha. Otrzymywał tyle zaproszeń na przyjęcia, pojedynki bokserskie i tym podobne, że wystarczyłoby ich dla szwadronu bohaterów.

Mimo to całkiem dobrze się bawił.

Sytuacja zmieniła się w momencie, gdy na ulicach zaczęto za darmo rozdawać tom pierwszy.

Coop doskonale pamiętał, jak pewnego ranka otrzymał egzemplarz od Amesa. Na okładce taniej książki zobaczył siebie, a w zasadzie marnej jakości rysunek, który rzekomo przedstawiał jego osobę. Nieznany rysownik ukazał Coopa jako wysokiego i szczupłego mężczyznę, co było zgodne z prawdą, ale dramatycznie przesadził z burzą jasnych włosów oraz intensywnością zieleni oczu.

Na ulicach roило się od tej przeklętej książki, a na domiar złego informacja z tyłu zapowiadała następną pozycję z serii:

Wkrótce dalsze przygody naszego wspaniałego barona po

jego szczęśliwym powrocie z wojny, potajemnie dokonującego heroiczych uczynków w ojczyźnie jako szlachetny obrońca uciśnionych i zbawca kruchych niewiast potrzebujących jego śmiałego wsparcia.

W tym momencie matki gorąco zapragnęły go dla swoich córek, ojcom zaś przypadł do gustu jako najprawdziwszy heros. Któż nie chciałby się pochwalić znajomym zięciem śmiałkiem i bohaterem? Urocze młode panny zgodnie uznały Coopa za najatrakcyjniejszą partię roku.

- No tak! - westchnął. - Tyle tytułem mojego planu. A zamierzałem wziąć udział w małym sezonie i znaleźć sobie żonę, by położyć kres tej absurdalnej sytuacji.

- Jaśnie panie? - Pokojowiec zmarszczył brwi. - Nie jestem pewien, czy zrozumiałem.

- Mniejsza z tym, Ames. Znowu przypomniał mi się ten przekłety list.

Coop przejął się do tego stopnia, że zapamiętał jego treść.

Dziesięć tysięcy funtów albo opublikuję następny tom, który zatytułuję: „Nasz bohater spada z piedestału, gdy ujawniona zostaje prawdziwa tożsamość rzekomo niewinnych istot uratowanych pod Quatre Bras, a towarzyszący temu skandal jest tak wielki, że dociera do królewskiej rodziny i wstrząsa nią głęboko”. Tak, jaśnie panie bohaterze, to jest szantaż, nie inaczej, ja zaś specjalizuję się w szantażach. Zechciej pozostać w Londynie, baronie Townsend, koniec z ucieczkami do bezpiecznej kryjówki w wiejskiej posiadłości. Wkrótce odezwę się ponownie.

- I widzisz, Ames, koniec z błyskotliwymi pomysłami. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, sytuacja stanie się dramatyczna. W Bogu nadzieja, że Darby ma już dość wyśmiewania mnie i zaproponuje pomoc.

Coop przyjął od pokojowca rękawiczki oraz bobrową czapkę i ruszył na schody.

- Przecież jaśnie pan i tak nie szukał żeniaczki - przypomniał mu sługa.

- Naturalnie, ale jeśli nie znajdę naszego niewydarzonego bio-

grafa, zapewne pożegnam się z posiadłością oraz tytułem. Nawet nie chcę myśleć, co na to powie moja matka...!

- To może być najgorsze, jasnie panie, a jakże. - Ames aż się skrzywił. - Mamusia jasnie pana i tak dużo mówi, a w dodatku nie przebiera w słowach, prawda?

- Dziękuję za przypomnienie - odparł Coop ze śmiechem. - Poinformuj ją, że zostałem pilnie zawezwany, więc spotkamy się przy kolacji. A teraz ruszam do boju z determinacją i bez zasypiania gruszek w popiele.

- Jak przystało na bohatera, jasnie panie. - Ames wyprężył się i zasalutował.

- Cenię cię, Ames, ale i tak mógłbym cię zwolnić, gdybym to uznał za stosowne - ostrzegł go Coop, a pokojowiec pośpiesznie ukrył szeroki uśmiech pod sumiastymi wąsami.

Darby czekał w holu, niespokojnie krążąc od ściany do ściany.

- Wpadłeś jak śliwka w kompot, co? - Zwrócił list Coopowi. - Nic nowego.

- Nie odwracaj kota ogonem - zirytował się Coop. - To ty, popołu z Gabe'em i Rigbym, popadasz co i rusz w tarapaty, a ja jestem tym roztropnym. To ja, nie kto inny, wyciągam waszą trójkę z bagna, a sam przyznasz, że często w nie wpadacie.

- Niech ci będzie. Co podpowiada ci teraz twoja roztropność, hm? Odnoszę wrażenie, że sam się pogrążasz, i to w szybkim tempie. Chyba zamierzasz odnaleźć tego drania i skrócić mu kark, co?

Wzburzenie Darby'ego nieco pokrzepiło Coopa.

- Cóż, właśnie taki mam plan - przyznał z zapałem. - Jak się domyśliłeś?

- Nie domyśliłem się. Jesteś zbyt kulturalny, by wpadać na takie pomysły. W związku z tym chyba nie mam co liczyć na to, że wyjawisz mi godność damy? Tej pięknej istoty, która mogła albo też nie mogła być na miejscu w dniu twojej śmiałej akcji ratunkowej.

- Cóż, Darby, chyba zapomniałem, jak ona się nazywała. Aż trudno uwierzyć.

Coop nagle się wzdrygnął, uświadomiwszy sobie, że przyjaciela go przechytrył. Darby z każdego umiał wyciągnąć sekret.

- A jednak! - wykrzyknął Darby triumfalnie. - A zatem była jakaś kobieta. Przynajmniej tyle z ciebie wyciągnąłem. Jesteś bohaterem, człowiekiem czystego serca i prostym jak najwyższej jakości strzała. Poza tym jesteś również cholernym głupcem, gdyż wiem, że w sprawę zaangażowana jest nasza tłusta Florizel. Baronie, pora ruszać do hrabiego. Zaczynamy?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spacer z Pulteney do najbliższego klubu był tak krótki, że Darby zaprotestował, gdy jego przyjaciel wyraził chęć skorzystania z dwukółki lub dorożki.

- Ale przecież ktoś może mnie rozpoznać - zauważył Coop półgłosem.

- Niby kto? - Darby skupił się na wkładaniu rękawiczek. - Nie, żebyś wątpił w twoją skromność, jednak chyba lekko przewróciło ci się w głowie. Jak powszechnie wiadomo, próżność często idzie w parze ze sławą.

- Ponownie drwisz sobie ze mnie - westchnął Coop. - Dobrze wiesz kto. Wszyscy. Czasami mam ochotę się odwrócić i sprawdzić, czy ktoś nie przyczepił mi do pleców kartki z nazwiskiem.

- Doprawdy? Dokądkolwiek pójdziesz, oblegają cię tłumy? No i bardzo dobrze - ucieszył się Darby. - Sam na tym skorzystam, grzejąc się w blasku twojej sławy. Nie codziennie mam sposobność w tak piękny, słoneczny dzień pospacerować z bohaterem i wziętym kochankiem. Gabe i Rigby nie wiedzą, co tracą. Chodźmy, nie mogę się doczekać. Może po drodze natkniesz się na kolejną nadobną damę do uratowania.

Po tych słowach ruszyli przed siebie.

- Serdecznie witam szanownego pana - powiedział pierwszy mijany przez nich jegomość i zgiął się w uprzejmym ukłonie.

Coop miał ochotę odwrócić się do przyjaciela i wypowiedzieć klasyczne słowa z dzieciństwa: „A nie mówiłem?”.

- Dzień dobry - odparł i lekko się ukłonił ulicznemu sprzedawcy, który na trzymetrowej długości kiju prezentował kolekcję bobrowych czapek, bez wątpienia pamiętających lepsze dni.

- Moim zdaniem oczekuje napiwku, a nie dobrego słowa - zauważył Darby, nawet nie obniżając głosu. - Naturalnie, możesz też nabyć u niego nakrycie głowy, jednak na twoim miejscu raczej bym tego nie robił. Wszy to paskudna sprawa, sam rozu-

miesz, a ponieważ jesteś bohaterem, spóółstwo ma wobec ciebie pewne oczekiwania. Uprzejme powitanie było komplemtem pod twoim adresem, więc uśmiechnij się mióo, a ja zadbam o gratyfikację finansową. – Rzucił sprzedawcy wyłowionego z kieszeni miedziaka. – Masz, dobry człowieku, z pozdrowieniami od jaśnie pana barona. A teraz idziemy.

Cooper od razu się zorientował, że gapią się na nich już wszyscy przechodnie.

– Patrz, co narobiłeś, barani łbie – burknął z irytacją.

– Cóż takiego narobiłem? Nie mogłem dopuścić, by blask bohatera przygasł z powodu jego skąpstwa. Więcej godności, człowieku.

– Godności, powiadasz? Jak prędko zdołasz biec w tych lśniących trzewikach?

Handlarz z niedowierzaniem obejrzał monetę, uśmiechnął się od ucha do ucha i w triumfalnym geście uniósł rękę.

– Z drogi, ludzie! – wrzasnął. – Usunąć się, bo nasz bohater idzie! Zrobić przejście dla najodważniejszego z odważnych – barona Townsenda!

– Na litość boską... – zachnął się Coop. – Widzisz teraz, do czego doprowadziłeś?

– Tak jakby – przyznał Darby ze skruchą. – Sądziłem, że przesadzasz, ale sytuacja w istocie jest poważna. – Odwrócił się. – Idziemy. Tkwienie tutaj nie wydaje się dobrym rozwiązaniem.

Ludzie nadciągali ze wszystkich stron, kierując się prosto do Coopa. Dwóch młodzieńców z miotłami własnej roboty pośpieszenie przystąpiło do zamiatania przed nim drogi. W swoim zapale zaczęli rywalizować i wkrótce konkurencja przerodziła się w biatykę na miotły, w której mniejszy młodzian zapewne mocno by ucierpiał, gdyby nie interwencja Coopa.

Niedługo potem, przykładając chustkę do imponującego krwika na tym policzku, który wszedł w mimowolny kontakt z kijem od jednej z mioteł, Coop kontynuował przechadzkę z Darbym. Nie można powiedzieć, aby biegli, lecz zdecydowanie przyspieszyli kroku, byle tylko uniknąć gromadzącego się zbiegowiska.

Tuż za nim skręcili w boczną uliczkę, Darby rozsądnie cisnął przez ramię kilka monet, dzięki czemu ścigający bohatera ludzie

gwałtownie zahamowali i padli na kolana, okładając się pięściami w trakcie burzliwej walki o drobniaki.

- Czyżbym nareszcie ujrzał uśmiech na twojej twarzy? - spytał Darby z nadzieją w głosie. - Już się bałem, że za sprawą swojego samozwańczego biografy zupełnie zatraciłeś zdolność czerpania radości z życia. Zmykamy?

- I to niezwłocznie - przytaknął Coop. - W drogę, przyjacielu.

Gdy ponownie usłyszeli okrzyki tłumu, przyspieszyli kroku. Po chwili niemal biegli, starannie omijając podejrzane kałuże, pochylając się pod szarawym praniem na sznurku i kłaniając się uprzejmie bezzębnym kobietom, które za pensa były gotowe udostępnić im swoje wdzięki.

Przez pewien czas lawirowali uliczkami, aż w końcu zgubili ostatniego natręta. Niestety, do tego czasu Cooper zdążył kompletnie się zgubić w płątaniu zaułków.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał, nieco zbity z tropu ponurym spojrzeniem przysadzistego i krzepkiego jegomościa, który siedział na ławce przed budynkiem bez drzwi.

- Co takiego? - Darby przystanął i położył ręce na kolanach, żeby złapać oddech. - Pytałeś mnie czy tego przerażającego potwora, który właśnie na nas patrzy, jakbyśmy już obracali się na różnie?

- Ciebie, naturalnie. I nie zatrzymuj się. Zakładałem, że wiesz, dokąd zmierzamy.

- I wiedziałem - podkreślił Darby. - Jakies trzy zakręty temu. Kiedy ostatnio tak ganiałem po ulicach, byłem o wiele młodszy i znacznie mniej trzeźwy. A tak na marginesie, Coop, jesteś mi winien nowe trzewiki.

Coop nawet nie spojrzął na obuwie Darby'ego, wychodząc z założenia, że wszystko ma swoje granice - nawet przyjaźń. Tuż potem mocno pchnął go na bok, usłyszawszy nad sobą donośny głos kobiety, która ostrzegła ich, że zamierza opróżnić kubek z pomyjami. Jak uprzedzała, tak uczyniła, chichocząc radośnie, gdy obu ledwie udało się uniknąć przymusowej kąpieli.

- Raczej nie wszyscy w Londynie czytali o twoich wyczynach, chyba że niektóre kobiety właśnie w taki sposób wyrażają radość ze spotkania - wysapał Darby, gdy w końcu ponownie przy-

stanęli tuż przed Bond Street, do której dotarli raczej dzięki łutowi szczęścia niż rozumowi.

Obaj panowie otarli twarze rękawami i przyjrzeni się swoim strojom w poszukiwaniu śladów pozostawionych przez brudne ręce przechodniów, z których każdy pragnął dotknąć wielkiego bohatera.

- Pomijając sprawę moich trzewików, zabawa była przednia - dodał Darby. - Szkoda, że Rigby nie wybrał się z nami. Nasz pulchny przyjaciel skorzystałby na takich ćwiczeniach gimnastycznych.

- To wszystko? - Coop nadal ciężko dyszał. - Nie masz nic więcej do powiedzenia? Nie słyszałeś, jak się dopytywali, którą piękność rzekomo ostatnio uratowałem? Nie zwróciłeś uwagi na wyrzaskiwane sugestie, co powinienem z nią zrobić? Kilka propozycji było bardzo konkretnych.

- Owszem, słyszałem, ale wolałem udawać, że nie słyszę. Dostrzegłem, jak się zaczerwieniłeś, i to mi wystarczyło. Przynajmniej jednego z tamtych ludzi powinno się przynajmniej wytrzebić. Dlaczego nie zauważyłem tej popularności, kiedy bawiłeś w Londynie w ubiegłym tygodniu?

- Drugi tom moich rzekomych wyczynów i podbojów pojawił się, kiedy wróciłem na wieś. Po tym, jak otrzymałem wyróżnienie od księcia regenta, ludzie traktowali mnie dość dobrze. Owszem, pokazywali mnie palcami, zagadywali, do tego wielu koniecznie chciało uścisnąć mi prawicę lub przedstawić córkę. Pierwszy tom był wstrząsem i wywołał niemal chorobliwe zainteresowanie dam moją osobą, ale dopiero druga część oraz opowieści o tym, jakim to niby okazałem się bohaterem w Anglii, sprawiły, że ludzie poczuli coś więcej niż zwykłą wdzięczność. Pod moim domem zbierały się tłumy... Trzeba coś z tym zrobić, gdyż nie wytrzymam, Darby... Naprawdę dłużej tego nie wytrzymam... - westchnął Coop ze szczerym przygnębieniem.

- Masz rację. Wyobraź sobie, co się stanie, jeśli szantażysta spełni groźbę. Z pewnością musiałbyś emigrować. Uwielbienie tłumu z łatwością może się zmienić w nienawiść.

- Tak, już wcześniej przyszło mi to do głowy. Tymczasem jednak znajdziemy jakiegoś pucybuta.

- A potem napijmy się i coś zjedzmy - zgodził się Darby. - A ponieważ jednak nie jestem szczególnie wymagający, chętnie ograniczę się do napitku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Daniella Foster, w rodzinie znana jako Dany, z uwagą wpatrywała się w turban z fioletowego jedwabiu, wyeksponowany na drewnianym stojaku w kącie przymierzalni. Odnosiła wrażenie, że tkwi w pomieszczeniu na zapleczu sklepu z sukniami już niemal wieczność, więc dla zabicia czasu gruntownie zbadała wszystkie jego zakamarki.

Nie nudziła się, gdyż nie znała pojęcia nudy. Interesowała się wszystkim, była ciekawa świata i od dzieciństwa fascynowało ją bliższe i dalsze otoczenie. Między innymi dlatego doszła do wniosku, że chętnie przymierzy turban i osobiście się przekona, jak się nosi tak osobliwe nakrycie głowy. Pragnęła sprawdzić, czy jest wygodne i czy swędzi pod nim skóra.

- I tak uważam, że ten turban jest ładny i wyglądałby na mnie po prostu doskonale - oświadczyła.

Jej siostra Marietta, hrabina Cockermouth, która właśnie przymierzała zamówioną suknię, ciężko westchnęła.

- Już ci mówiłam, Dany, że fiolet to kolor zarezerwowany dla wdów, podobnie jak turbany - odparła. - Co robisz? Nie dotykaj go.

- A niby dlaczego? - Dany zdjęła turban ze stojaka. - To niesprawiedliwe - mruknęła i zademonstrowała swoją wersję sprawiedliwości, wkładając nakrycie głowy na świeżo przyciętą i ułożoną gęstwinę rudozłotych włosów. - Widzisz? Kolor prawie idealnie pasuje do moich oczu.

- Masz niebieskie oczy - zauważyła hrabina.

- Ale nie w tym turbanie. Sama zobacz.

Dany stanęła przed siostrą, która w tym momencie przewyższała ją o ponad dwadzieścia centymetrów, gdyż krawcowa poleciła jej wspiąć się na okrągłe podwyższenie do przymiarek.

- Niejeden nazwałby cię wiedźmą. - Marietta zmarszczyła brwi. - Ten turban powinien gryźć się z twoimi włosami, a raczej

z tym, co po nich zostało, kiedy w przypiływie szaleństwa potraktowałaś je nożyczkami. Masz zbyt bladą skórę, twoje oczy są absurdalnie duże, a włosy... Dziwię się, że mama nie dostała apopleksji... A mimo to wyglądasz cudownie. Jesteś drobniutka, krucha i niewinna jak aniołek. Zawsze przepiękna. Nie umiałabyś wyglądać nieładnie i bardzo, ale to bardzo ci tego zazdroszczę.

Dany wspięła się na palce i pocałowała siostrę w policzek.

- Dziękuję ci, Mari - odparła. - Ale przecież wiesz, że moja uroda nie może się równać z twoją. Oliverowi wystarczył jeden rzut oka z drugiego końca sali u Almacka, by zakochać się w tobie szaleńczo, beznadziejnie i do grobowej deski... Och, Mari, nie płacz...

Dany spojrzała na pokojówkę Marietty, zajętą wyszukiwaniem chusteczki w torebce swojej pani, i na krawcową, która z zaciekawieniem przysłuchiwała się rozmowie.

- Pani hrabina jest ciężarna i bardzo dobrze. - Krawcowa skinęła siwą głową w kierunku pokojówki. - A przy ciąży to kobiety właśnie takie są, płaczliwe i w ogóle, zupełnie bez powodu. Będę musiała zostawić duże zakładki materiału, żeby dało się potem nadłożyć na szwach.

- Ja wcale nie jestem...

- Płaczliwa - wtrąciła się Dany pospiesznie i mocno uściśnęła dłoń siostry. - Nie, kochana, oczywiście, że nie jesteś płaczliwa. Nikt tak nie myśli. - Dany popatrzyła na krawcową i ruchem brody wskazała drzwi. Doszła do wniosku, że nie będzie wyprowadzała jej z błędu. Niech myśli, że Mari jest przy nadziei. Wszystko było lepsze niż ujawnienie prawdziwego powodu rzęsistych łez jej siostry. - Chciałaś wyjawić prawdę, przyznaj się - dodała, gdy krawcowa ze służącą wyszły, i pomogła siostrze zejść z wywyższenia.

- Z całą pewnością nie. Nadal się zastanawiam, co, u licha, skłoniło mnie do powiedzenia ci czegokolwiek. Z pewnością doświadczyłam chwilowego zaćmienia umysłu.

- Nie. - Dany patrzyła, jak jej siostra ostrożnie siada na krześle, z którego wcześniej usunęła szpilki. - Zrobiłaś to po napisaniu tych niemądrych listów do swojego „cichego wielbiciela”. A mama mówi, że to ty jesteś rozsądna, więc mam cię we wszyst-

kim naśladować. Wiesz co, Mari? Ja bym przynajmniej zapytała mojego wielbiciela o imię. Och, weź tę chustkę i wydmuchaj nos – dodała, wydobywszy z torebki haftowany skrawek jedwabiu, który niemal przyłożyła do twarzy siostry.

- Mów ciszej, Dany. - Marietta zerknęła na lewo i prawo, jakby musiała się upewnić, czy w zagraconym pomieszczeniu na pewno nie zaszył się ktoś niepożądany. - I to nie moja wina - dodała szeptem. - Wszystkie mężatki z wyższych sfer mają cichych wielbicieli. To taka niezbyt rozsądna rozrywka, szczególnie miła wtedy, gdy nasi mężowie wyjeżdżają do domków myśliwskich, uprawiają hazard albo zajmują się tym, co ich bawi bardziej niż żony, których z reguły wolą unikać.

Dany odłożyła turban, doszedłszy do wniosku, że choć prezentuje się w nim ciekawie, to jednak swędzenie skóry jest nieznośne. W związku z tym postanowiła w przyszłości kupować turbany z bawełnianą podszewką.

- Doprawdy? Czy nadal nazywasz rozrywką sytuację, w której wielbiciel domaga się pięciuset funtów za milczenie i zwrot otrzymanych od ciebie listów? Czy to tylko część zabawy?

- Dobrze wiesz, że nie. - Marietta hałaśliwie wydmuchała nos. - Nie mam pięciuset funtów, a Oliver wróci za dwa tygodnie. To wszystko przez niego! Gdyby tylko poświęcał mi więcej uwagi... Kiedyś nie mogłam przepędzić go z łóża, a teraz... Nie, Dany, nie słuchaj mnie - zreflektowała się poniewczasie. - Jesteś przecież niezamężna.

- To prawda, lecz od pewnego czasu trudno mnie nazwać dzieckiem. Romantyczne uniesienia raczej nie są mocną stroną Olivera, prawda?

- On... zapomniał o moich urodzinach. - Marietta zwiesiła ramiona. - Wraz z tymi swoimi przyjaciółmi od siedmiu boleści pojechał włóczyć się po Szkocji i całkiem wyleciało mu z głowy, że mam swoje święto. A gdy pierwszy raz po ślubie obchodziłam urodziny, Oliver kupił mi brylantowe kolczyki. Za drugim razem otrzymałam bransoletkę z rubinami, a na trzeci rok ofiarował mi naszyjnik z trzema sznurami pereł. A teraz? Nic a nic. - Spojrzała na siostrę oczami szklistymi od łez. - Nie chcę być żoną, Dany. Pragnę stać się ukochaną Olivera, nie żoną.

Dany pomogła siostrze wstać i zabrała się do zdejmowania z niej sukni.

- Pamiętam, że niewiele brakowało, a odwołałabyś ślub - uważała.

- To wszystko wina Dextera. - Marietta ugięła nogi w kolanach i uniosła ręce nad głowę, żeby ułatwić Dany zadanie. - I nie mówmy o tym więcej.

Dany zawiesiła suknię na wieszaku przy zasłonie w drzwiach. Wiedziała, że czająca się tuż za progiem krawcowa tylko czeka na ewentualne plotki. Dlatego właśnie Dany postanowiła nie rozmawiać z Mariettą o Dexterze, a już na pewno nie o tym, jak ojciec zagroził mu wydziedziczeniem, jeśli przez niego siostra straci świetną partię.

„Oliver Oswald, hrabia Cockermouth, i Marietta Foster Oswald” - Marietta napisała te słowa w starym notatniku co najmniej dwieście razy. Jaśnie wielmożna pani hrabina Cockermouth. Nie posiadała się z dumy, póki Dex jej nie wyjaśnił, że słowo Cockermouth kojarzy się rozchichotanej młodzieży angielskiej wyłącznie z męskim organem płciowym i ustami, w dowolnej kombinacji.

- Oliver wszystko mi wyjaśnił - powiedziała Marietta, wkładając muślinową suknię w roślinne wzory, którą wybrała wcześniej na zakupy na Bond Street. - Ta nazwa wywodzi się od miejsca usytuowania pięknego i starego miasteczka...

- U ujścia rzeki Cocker, tam, gdzie łączy się ona z rzeką Derwent. - Dany podeszła, żeby pomóc siostrze. - Tak, wiem. Tata kazał mi dobrze to zapamiętać. Poza tym ofiarował mi śliczny pierścionek z perłą, kiedy obiecałam, że przestanę cię nazywać...

- Obiecałaś!

Dany uniosła ręce na znak kapitulacji.

- Liczyłam sobie wówczas zaledwie czternaście lat i nadal byłam niewinna, przynajmniej pod pewnymi względami. Po prostu nie wiedziałam, co mówię. Jak już wielokrotnie podkreślałam, winić za ten stan rzeczy należy mamę, nie mnie. A teraz pora wracać do domu - dodała nieoczekiwanie. - Wspólnie się zastanowimy, jak cię wydobyć z tarapatów, w które sama się wpakowałaś.

Marietta starannie wygładziła rękawiczki.

- W ogóle nie powinnam była jej o tym mówić - upomniała się z lekką irytacją, jakby Dany tu nie było. - Co mnie opętało, na liłość boską? Naprawdę uznałam, że mogę liczyć na jakiekolwiek wsparcie z jej strony?

Odetchnęła głęboko, aby zapanować nad emocjami.

Kiedy ponownie zrobiła minę dumnej hrabiny, Dany doszła do wniosku, że gdyby tak bardzo nie kochała swojej pięknej siostry, z pewnością wybuchnęłyby śmiechem.

- Wszystko będzie dobrze Mari, obiecuję - zapewniła ją z przekonaniem.

- Hm - rozległo się chrząknięcie.

Dany pomyślała, że w tym wymownym dźwięku pobrzmiwa sugestia, może insynuacja, a kto wie, czy nie nadzieja.

Siostry odwróciły się jednocześnie i ujrzały na progu krawcową. Lady Cockermouth uniosła głowę.

- O ile pamiętam, nikt nie miał nam przeszkadzać - zauważyła z wyższością. - Ponieważ jednak już wychodzimy, proszę o dostarczenie mi gotowych sukni.

Marietta, zakłopotana i nieco zaskoczona, usiłowała przemawiać jak na arystokratkę przystało i udawała wielką damę, by zbić krawcową z tropu. Dany uważała, że siostra popełnia błąd i że znacznie lepiej, a wręcz bezpieczniej, byłoby odwołać się do współczucia starszej pani. Na dodatek należało wziąć pod uwagę wymowę jej chrząknięcia. Krawcowa niewątpliwie pragnęła się czegoś dowiedzieć.

- Pani Yothers? - odezwała się Dany. - Czy chciałaby pani zwrócić się z czymś do lady Cockermouth?

- A cóż takiego mogłaby... - zaczęła Marietta, ale Dany nie dała jej dojść do głosu.

- Mari, ominęłaś zmarszczkę na prawej rękawiczce - oznajmiła, wiedząc, że w inny sposób nie uciszy siostry. Marietta z całego serca nie cierpiała zmarszczek na rękawiczkach i dlatego zawsze nosiła tak obcisłe, że niemal blokowały krążenie krwi w jej dłoniach. - Tak, pani Yothers?

- Jaśnie pani, panienko, przepraszam najmocniej, ale żeby mieć pewność, że nikt tutaj nie będzie im przeszkadzał, postanowiłam odesłać pokojówkę, a sama pilnowałam za zasłonką. No i właści-

wie nic nie mogłam poradzić, żeby nie usłyszeć, że jaśnie pani wpadła tak trochę jak śliwka w kompot...

- Wcale nie...

- Och, myliłam się, to nie jest zmarszczka! - wykrzyknęła Dany pospiesznie. - Mari, przecież to plamka. Proszę mówić dalej, droga pani Yothers.

- Tak jest, panienko. A że wszystkie tu jesteśmy w kobiecym gronie, choć panienka taka młoda, i biedna jaśnie pani przy nadziei...

- Wcale nie jestem...

- Trzymaj, Mari, przecież nie chciałabyś przez przypadek zapomnieć swojej torebki. - Dany stanowczym ruchem trzasnęła siostrę torebką tak mocno, że Mariettę na moment zatkało i szczęśliwie nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. - Pani Yothers? Słuchamy.

- Dobrze pamiętam, jak to było w mojej pierwszej. - Krawcowa popatrzyła na Mariettę ze współczuciem. - Ale powiem jaśnie pani, że będzie lepiej, tylko trzeba poczekać parę miesięcy. Potem zrobi się gorzej, ma się rozumieć, ale szybko się skończy to gorsze i będzie można robić to samo, co jaśnie panią doprowadziło do takiego stanu, że tak powiem. Ale nie o tym chciałam. Tak sobie myślę, że jaśnie pani to by się przydał bohater.

Dany przewróciła oczami. A więc o to chodziło z tym odchrząkiwaniem. Cóż za fatalne nieporozumienie.

- Bohater, proszę pani? - powtórzyła. - Pomysł wydaje się pierwszorzędny. Czy wie pani, gdzie znaleźć najbliższego bohatera?

Krawcowa z uśmiechem sięgnęła do kieszeni fartucha i zademontowała siostrom wymiętą, sfatygowaną książkę.

- A jakże, panienko, bardzo proszę, to dla panienki, i to na zawsze, bo i tak znam każdą kartkę na pamięć, a poza tym jak sobie pójdę na podwieczorek, to na piętrze i tak czeka na mnie zupełnie nowa część. Doszły mnie słuchy, że podobnież nawet lepsza od pierwszej.

Dany szybko odczytała tytuł na okładce: *Kronika bohatera*.

- Bohatera? Ależ, proszę pani, przecież to tylko jakaś wymyślona historyjka. Ten człowiek, jak mu tam... - Ponownie zerknęła

na okładkę. – Jego lordowska mość Cooper McGinley Townsend? Zapewne jest równie prawdziwy jak pan Darcy z powieści panny Austen.

– Godzinę temu wydawał mi się najprawdziwszy w świecie, jak sobie spacerował razem z przyjacielem. Zobaczył, że jedna z moich dziewczyn wytrzeszcza na niego oczy przez okno, to uchylił przed nią kapelusza, bo taki grzeczny z niego dżentelmen, ot co. I wszyscy go znają, panienko. To najprzystojniejszy, najdzielniejszy mężczyzna na tym świecie, i nic innego by nie robił, tylko wybawiał ludzi z kłopotów, a już w szczególności ładne i młode damy. Nie kto inny jak sam książę regent obdarował go tytułem i posiadłością. Na okrągło o nim słyszę, panienko. Bohaterem jest w każdym calu, dla wszystkich dam, wszyściutkich, to i nic dziwnego, że się za nim uganiają bez opamiętania. Biedaczyna.

Dany wpatrywała się w okładkę, myśląc o tym, jak niedorzeczny jest zamieszczony na niej rysunek. Nikt tak nie wyglądał, a w każdym razie nikt prawdziwy.

Gdyby jednak...

– Dany? – usłyszała głos siostry. – Daniello, na litość boską, cóż cię tak zafascynowało?

– Nic mnie nie zafascynowało – odparła i pospiesznie wsunęła książkę do kieszeni. – Tak się tylko zastanawiałam. Niewykluczone, że ma pani rację, droga pani Yothers. Mari, idziemy? Dziękujemy pani ogromnie. Jestem przekonana, że lady Cockermouth powróci w przyszłym tygodniu lub nawet wcześniej, by zamówić co najmniej pół tuzina kolejnych sukni, z których cztery będą dla mnie.

– Coooo? – Na szczęście nawet Marietta nie myślała aż tak powoli. – Ach, tak, w rzeczy samej, zamówię suknie. I jeszcze czepki, i... szale. Uwielbiam szale, a już najbardziej takie delikatne i zwiewne. No i oprócz tego...

Dany wzięła siostrę pod ramię, gotowa wyciągnąć ją ze sklepu, nim wszystkie pieniądze hrabiego zostaną utopione w odzieży.

– Pani Yothers rozumie, prawda, pani Yothers? – zapytała. – I ogromnie cię ceni jako stałą klientkę.

Krawcowa zarumieniła się po czubki uszu i dygnęła.

– W rzeczy samej, panienko – potwierdziła. – W moim zawodzie

dyskrecja jest bardzo na miejscu. Jak to mawia mój syn, ani mru-mru.

- Dziękujemy pani. Mari, na nas już pora.

- Powinnyśmy były wyjść już dawno temu - burknęła Marietta, gdy jej pokojówka wstała z ławki przed sklepem i ruszyła trzy kroki z tyłu za siostrami. - W ogóle nie trzeba było tutaj przychodzić, biorąc pod uwagę mój delikatny stan. A już na pewno niepotrzebnie zabrałam tutaj ciebie. Przez ciebie zaciągnęłam dług wdzięczności wobec pani Yothers.

- Pieniądze na nią wydane będą dobrą inwestycją, jeśli się okaże, że ma rację - oznajmiła Dany z przekonaniem. - Poza tym przecież ona właściwie nic nie słyszała. Zachowywała się miło i życzliwie dlatego, że jesteś w ciąży.

- Nie jestem... Ech, do diabła z tym - zirytowała się Marietta. - Lepiej mi powiedz, co ci chodzi po głowie, choć na pewno mi się to nie spodoba i nie zaaprobuje twój pomysł. Mama kazała mi opiekować się tobą - nigdy o tym nie zapominaj.

- Mari, odpowiedź jest oczywista... - Dany westchnęła. - Nie zdołasz sama naprawić tego, co poszło nie tak, ja zaś zupełnie nie wiem, jakiej pomocy ci udzielić. A bohater? Moralnie niedościgniony, wielkiego serca i ducha, cudownie zręczny i taktowny... Myślę, że powinniśmy zwrócić się do niego z prośbą o wsparcie.

- Wybij to sobie z głowy - oświadczyła Marietta drżącym głosem. - Ten biedny człowiek jest oblegany przez wszelkiego automatu damy z wyższych sfer. Młode, stare, panny na wydaniu i ich mamy, mężatki... Uganiają się za nim dzień i noc. Oliver powiedział mi, że ten nieszczęśnik musiał umykać z Londynu, przytłoczony natrętnymi zalotami i lawiną żenujących błagań. Jak twierdzi pani Yothers, nasz bohater wrócił i jestem absolutnie pewna, że damy ponownie robią z siebie idiotki, nadskakując mu na każdym kroku. Osobiście nie miałabym śmiałości.

- To nie jest problem, Mari. - Dany uśmiechnęła się szelmowsko. - Ponieważ ja bym miała. Szczerze mówiąc, już nie mogę się tego doczekać.

- Dany, nie odważysz się! Co ja wygaduję? Naturalnie, że się odważysz. - Marietta wyglądała na załamana. - Daniello, posłu-

chaj, nie możesz tego zrobić. To po prostu niesłychane!

- Dlaczego? Przynajmniej wiem, jak się nazywa. Przypominam, że ty nie znalazłaś czasu, żeby poznać z imienia i nazwiska swego oblubieńca, kiedy postanowiłaś ukarać Olivera, a w rezultacie naraziłaś na szwank swoją reputację. W głowie się nie mieści, że podpisywałaś te niebezpieczne liściki. Doprawdy, nie mogłaś nabazgrać pod nimi: „Twoja ukochana pieszczotka” czy coś równie ohydneho...? Przynajmniej nie ryzykowałabyś.

- To byłoby niemądre - jęknęła Marietta. - On już wiedział, jak się nazywam.

- W tym sęk. W ogóle nie musiałaś się podpisywać pod tymi listami. Rety, znowu płaczesz? Mówię tylko to, co oczywiste. Lepiej się uspokój i daj mi pomyśleć. Muszę się zastanowić, jak dotrzeć do naszego bohatera - oznajmiła Dany.

- Baron nie jest moim bohaterem, a ty z całą pewnością nie będziesz go tropić jak lis zająca. - Marietta ostudziła zapał siostry. - Mama przysłała cię tutaj, żebyś poćwiczyła przed wiosennym sezonem. Moją rolą jest cię uczyć, szkolić i dawać ci przykład.

- I pierwszorzędnie ci idzie, nie ma co. - Dany uśmiechnęła się szeroko. - Pierwsza lekcja. Nie należy wymieniać niemądrej korespondencji z nieznanymi mężczyznami.

- Popełniłam tylko jeden błąd. - Marietta wydeła usta. - W dodatku zachowałam niewinność.

- A połowę winy ponosi Oliver. Może nawet więcej, zważywszy, że w grę wchodziła biżuteria. - Dany pokiwała głową. - Widzisz? Zapamiętałam drugą lekcję. Gdy rzecz dotyczy biżuterii, dopuszczalne są odstępstwa od reguły numer jeden.

- Żarty sobie stroisz - mruknęła Marietta, ale nie wydawała się ani trochę urażona.

- I przednio się przy tym bawię - dodała zadowolona z siebie Dany. - Zapowiada się emocjonująca rozrywka, a przyjechałam do Londynu przekonana, że czeka mnie bezbrzeżna nuda. Powiedz mi, Mari, co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić? Szkoda, że nie znamy adresu barona. Najprościej byłoby wysłać do niego oficjalny list z prośbą o spotkanie w niecierpiącej zwłoki sprawie osobistej, związanej z cnotą niewinnej damy. Czy też raczej powinnam zbliżyć się do niego w miejscu publicznym, dajmy

na to w teatrze lub w trakcie jednego z przyjęć, na których zamierzamy się bawić w najbliższym tygodniu? Jak uważasz?

Dany sięgnęła do kieszeni i wyjęła książkę. Musiała przyznać sama przed sobą, że mogłaby godzinami wpatrywać się w zielone oczy mężczyzny na rysunku.

- Śmiem twierdzić, że rozpoznałabym tego człowieka, gdybym gdzieś na niego wpadła, naturalnie zupełnym przypadkiem. - Dany nagle zachłysnęła się powietrzem. - Och!

ROZDZIAŁ TRZECI

- Na litość boską! - Baron Cooper Townsend instynktownie chwycił młodą kobietę za ramiona.

Obserwował ją od pewnego czasu i zwrócił uwagę, że przywarła do ramienia swojej towarzyszki, gdy obie szły chodnikiem, paplając jak sroki i ani trochę nie zwracając uwagi na drogę.

Dość szybko doszedł do wniosku, że wyższa z nich to hrabina Cockermouth, choć nie miał co do tego pewności. Druga niewiasta przykuła jego uwagę, choć nie całkiem rozumiał, z jakiego powodu.

Gdy w pewnej chwili potknęła się i straciła równowagę, sama znalazła się w jego objęciach.

- Rety, rety, Coop, kto by pomyślał, że taka zdobycz wpadnie ci w ręce podczas zwykłej przechadzki! - Roześmiał się jego towarzysz. - Która to już będzie w tym pięknym dniu? Straciłem rachubę. Czwarta? Dwie w drodze na miejsce i dwie w drodze powrotnej. Cóż to za dziwaczna przypadłość naszych angielskich panien, że tak bardzo brakuje im wyobraźni oraz zmysłu równowagi.

Cooper puścił mimo uszu słowa przyjaciela, wpatrzony w drobną twarz dziewczęcia. Przyszło mu do głowy, że jeszcze nigdy nie widział równie niezwykłych i intrygujących oczu. Z wrażenia mimowolnie wstrzymał oddech.

- Nie sądziłam, że słowo tak rychło stanie się ciałem, ale trzeba przyznać, że to bardzo dla mnie dogodne - odezwała się dama półgłosem, jakby mówiła do siebie.

Na widok jej uśmiechu Cooper zachwiał się lekko i pomyślał, że zapewne wzbudził w niej wesołość. Nie dość, że kobiety się za nim uganiały, to w dodatku jedna z nich uznała tę sytuację za zabawną.

- Nic się pani nie stało? - zapytał z napięciem, nadal trzymając dłonie na jej ramionach. Odniósł wrażenie, że właśnie tych słów

oczekuje się w takich sytuacjach od bohatera. – Może potrzebuje pani mojej pomocy?

– Chyba potknęłam się na nierównym bruku. Straszna ze mnie gapa, nie patrzę, gdzie stąpam. Nie, raczej nie okulałam – odparła. Jej głos, dość niski i chrapliwy jak na tak drobną istotę, zaskoczył i dodatkowo zaintrygował Coopera. – Mimo wszystko szłam dość wolno. Czy byłby pan jednak łaskaw służyć mi ramieniem w drodze do tamtej ławki?

Te oczy, ten głos i ten wyjątkowy odcień włosów, a także alabastrowa skóra i pełne różowe usta sprawiły, że nieznajoma wydała się Cooperowi olśniewająca i niepowtarzalna.

Naraz stwierdził, że najwyższy czas się pożegnać.

– Raczej wątpię – usłyszał swój głos. – Niech pani sama sobie pokażę.

Gdy ją puścił, momentalnie zauważył, że niebezpiecznie przechyliła się na bok, więc bez wahania chwycił ją na ręce i dzięki temu uchronił przed upadkiem na chodnik.

– Na litość boską, dlaczego nie powiedziała mi pani o nadwierzanej kostce? – spytał z irytacją, niosąc damę w kierunku ławki przed pracownią modystki.

– Dany, nic ci nie jest? – spytała niespokojnie Marietta, która dreptała trzy kroki z tyłu.

– Przecież wyraźnie mówię, że raczej nie okulałam. Po prostu złamał mi się obcas. – Piękność o zdumiewająco prozaicznym i zupełnie do niej niepasującym imieniu Dany uniosła prawą nogę, żeby zademonstrować uszkodzony bucik, a przy okazji również nader kształtną kostkę. Nagle otworzyła szeroko oczy. – Nie uwierzył mi pan – uświadomiła sobie. – Czy ktoś taki jak lord Townsend często bywa nagabywany przez pełne podziwu i nadziei niewiasty?

– Więc pani wie, kim jestem? – Coop wyprostował się i popatrzył na nią ze zdumieniem.

– A mówiłaś, że na tym rysunku w ogóle nie jesteś podobny do siebie. – Darby zademonstrował egzemplarz pierwszego tomu. – Oto, co wypadło z dłoni naszej młodej damy, kiedy pospieszyłeś jej na pomoc, niespecjalnie udatnie wcieliwszy się w rolę romantycznego rycerza.

- Poproszę to z powrotem - zażądała Dany i wyciągnęła rękę. - Jeszcze nie przeczytałam.

- I niech tak zostanie - powiedział Coop. - Tego nie warto czytać. Schowaj to do kieszeni, przyjacielu, i nigdy więcej nie wyjmuj.

- Za pozwoleniem - odezwała się władcym tonem Marietta i wcisnęła się między Coopa a Dany. - Nie mam pojęcia, kim panowie są, ale byłabym wdzięczna, gdyby zechcieli się oddalić. Muszę zadbać o siostrę.

- Słyszałeś? - Darby poklepał Coopa po plecach. - Bohater spod Quatre Bras, uczestnik niezliczonych bitew został bezpardonowo odprawiony. Cóż za upokorzenie.

- Najmocniej przepraszam obie panie. - Coop cofnął się o krok i uklonił. - Na nas już pora. Nim się jednak pożegnamy, czy moglibyśmy się sobie przedstawić? Mniemam, że jest pani małżonką Olivera. Obecny tu mój przyjaciel to wicehrabia Nailbourne, a ja się nazywam...

- To baron Cooper McGinley Townsend, Mari - przerwała mu Dany. - Nasz bohater, o czym na pewno wiesz, a jeśli się nie zorientowałaś, to tylko dlatego, że zadarłaś nos tak wysoko, że widzisz tylko niebo. Właśnie o tym dżentelmenie dyskutowaliśmy, nim szczęśliwym zrzędzeniem opatrności potknęłam się i wylądowałam w jego ramionach. Dwakroć, dodajmy dla porządku.

- Dany!

Hrabina natychmiast usiadła, zupełnie jakby niewidzialna siła pchnęła ją na ławkę.

- Widzę, że moja siostra zastanawia się, jak najskuteczniej i najszybciej zakneblować mnie i odesłać na wieś. - Dany spojrzała na Coopa rozbawionym wzrokiem. - Korzystając z okazji, przedstawię się, jeśli panowie pozwolą. Nazywam się Daniella Foster i jestem w Londynie dlatego, że potrzebna mi odrobina ogłady, jak twierdzi mój kochający tata. Dopiero gdy jej nabiorę, będę mogła wiosną oficjalnie pojawić się na salonach. Jak się panowie domyślają, ciężkie westchnienie mojej siostry świadczy o tym, że fatalnie sobie radzę w tej materii. A jeśli chodzi o waszą lordowską mość, szukałam pana, albowiem Mari koniecznie potrzebuje bohatera.

- Wcale nie potrzebuję... - zaczęła hrabina, ale nagle dała za wygraną i umilkła.

Dany wstała, a Darby natychmiast rzucił się naprzód, żeby w razie potrzeby jej pomóc. Coop zareagował znacznie wolniej, gdyż w oszołomieniu powtarzał sobie w pamięci słowa młodszej z sióstr. W rezultacie nie pozostało mu nic innego, jak tylko podać rękę hrabinie, która zignorowała jego życzliwy gest i skorzystała z pomocy pokojówki.

Dopiero po chwili oprzytomniał i się uklonił.

- Jaśnie pani - zwrócił się do hrabiny. - Rzecz jasna, jestem jej uniżonym sługą.

Gdy usłyszał swoje słowa, zrozumiał, że zabrzmiały one tak, jakby dopisywał własny niemądry rozdział do trzeciego tomu książki biograficznej. A zatem wystarczyło kilka minut, by częściowo stracił rozum, ocenił w myślach. Co ciekawe, zawsze uważał, że tylko inni mężczyźni zachowują się jak pajace, gdy jakaś kobieta zatrzepocze rzęsami.

W tym samym momencie przy chodniku zatrzymał się powóz z herbem Cockermouth. Z kozła zeskoczył stajenny w liberii, otworzył drzwi i zręcznie rozłożył schodki.

Coop pomyślał z ulgą, że sługa przybył w samą porę. Patrząc, jak pokojówka pomaga hrabinie wsiąść, doszedł do wniosku, że powinien połknąć własny język.

Mleko się jednak rozlało.

- Panno Foster, chociaż brak pisemnych przekazów poświęconych moim brawurowym wyczynom, byłbym zaszczycony, mogąc również zaproponować pani swoje wsparcie. - Darby uśmiechnął się do przyjaciela. - Zgodzisz się ze mną, drogi baronie, prawda? Co dwie głowy, to nie jedna, kiedy w grę wchodzi nielekka dola bohatera.

- Ach, dziękuję, wasza lordowska mość. - Korzystając z pomocy Darby'ego, Dany wskoczyła na schodki powozu. - Zapraszam na Portman Square jedenaście, punktualnie za godzinę, choć wątpię, by hrabina do nas dołączyła. Niestety, znalazła się w nad wyraz niezręcznej sytuacji.

- Wcale nie znalazłam się w niezręcznej sytuacji! - krzyknęła hrabina. - Daniello, wsiadaj natychmiast. W tej chwili!

Obaj panowie powiedli wzrokiem za odjeżdżającym powozem.

- W drodze powrotnej na Portman Square nasza panna Foster sporo się nasłucha - zauważył Darby. - Z pewnością nie pierwszy raz. Zdumiewająco dziwna z niej istotka. Prostolinijna, uczciwa, szczerza i pogodna, a na dodatek uczynna, gdyż naprawdę pragnie pomóc hrabinie. Towarzystwo ją pożre w okamgnieniu, nawet teraz, w trakcie małego sezonu.

- Albo legnie u jej stóp. - Coop uświadomił sobie, że wcale nie byłby zadowolony z takiego obrotu spraw. - Towarzystwo często przyjmowało oryginałów z otwartymi ramionami, a ona bez wątpienia zasługuje na miano ekscentryczki.

- Ekscentryczka to za mało powiedziane, stary druhu. To nie-przeciętna ekscentryczka. Właśnie sobie uświadomiłem, że udało się jej wyciągnąć mi z kieszeni książkę o tobie.

- Co takiego? - Coop opuścił wzrok, licząc na to, że książka leży na chodniku. Zauważył jednak tylko odłamany obcas z prawego bucika Dany i szybko podniósł zgubę. - Dobry Boże. Bezczelna, zuchwała, a w dodatku złodziejka. W co myśmy się wpakowali, Darby? Nie zamierzam maczać palców w ucieczce kochanków, jeśli o to w tym wszystkim chodzi, i ty też nie. Oliver to nasz przyjaciel.

- I właśnie przez wzgląd na przyjaźń zaproponowaliśmy wsparcie jego żonie - wpadł mu w słowo Darby. - Powinniśmy się dowiedzieć, w czym rzecz, by ostrzec go w razie potrzeby. Jak znam kobiety, to tylko burza w szklance wody. Kto wie, może ten problem da się szybko i łatwo rozwiązać. A pomijając wszystko inne, warto, byś na kilka godzin przestał się przejmować swoim szantażystą.

- Nic nie odciągnie moich myśli od tego łotra. - Coop zmarszczył brwi.

Kiedy jednak wracali przezornie zatrzymaną dorożką, żeby umyć się i odświeżyć, myśli Coopa błądziły prawie wyłącznie wokół Danielli Foster. Nagle przypomniał sobie, że przecież wrócił do Londynu, aby poszukać sobie żony.

Na pewno jednak nie zdecydowałby się na kogoś pokroju Danielli Foster. Był zbyt zrównoważony i trzeźwo myślący, by wybrać taką kobietę, nawet jeśli w pierwszej chwili wzbudziła jego

ogromne zainteresowanie. W zupełności mu wystarczyło, że jego matka również zasługiwała na miano nieprzeciętnej ekscentryczki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W salonie domu przy Portman Square zapanował spokój, kiedy hrabina oddaliła się do swojej sypialni, skuszona perspektywą herbaty z ciasteczkami cytrynowymi prosto z pieca. I tak skończyła się jej amunicja w postaci skarg oraz gróźb, a do tego miała już dość ciągłego wyliczania, czego nie robią i nie mówią szlachetnie urodzone damy.

- Może zmienimy temat? - przerwała jej w pewnym momencie Dany. - Kiedy rozwiązanie? Ostatnio jesteś nieco podminowana. Czy na pewno dobrze liczyłaś dni?

Skutecznie zganiwszy siostrę, Dany spojrzała na swoją pokojówkę Emmaline, która zgodnie z poleceniem siedziała na krześle przy oknie z widokiem na plac. Czuwała tam z dwóch powodów. Po pierwsze, dzięki temu mogła wyglądać na zewnątrz i odpowiednio wcześniej powiadomić swoją panią, kiedy powóz oczekiwanych gości zatrzyma się przed numerem jedenastym. Po drugie, hałas na ulicach pozwalał skutecznie zagłuszyć rozmowę sióstr.

I jeszcze po trzecie: młode, niezamężne damy musiały nieustannie przebywać w towarzystwie przyzwoitek. Gdyby zaniedbały ten obowiązek, cały świat mógłby się rozpaść na drobne kawałeczki. Naturalnie, nie było to prawdą, gdyż w takim wypadku Dany doprowadziłaby do końca świata już co najmniej sześć razy, i to tylko w tym roku.

Tak czy inaczej, Emmaline potrafiła zachowywać się nad wyraz dyskretnie. Na przestrzeni lat dowiodła, że umie dotrzymywać tajemnic, czy to z sympatii do swojej pani, czy to z obawy przed wyrzuceniem na bruk. Dany wielokrotnie zachowywała się w sposób zarazem śmiały i niedopuszczalny, a Emmaline zdarzało się maczać palce w jej wyczynach.

Dany zerknęła na zegarek, w myślach obliczając czas między opuszczeniem Bond Street i chwilą obecną, a następnie wyjęła

z kieszeni książkę, a raczej broszurkę, gdyż liczyła sobie ona co najwyżej trzydzieści stroniczek. Egzemplarz wydawał się sfatygowany, a przy odrobinie szczęścia Dany miała szansę przeczytać go do końca jeszcze przed przybyciem bohatera i jego przyjaciela wicehrabiego.

Pozostały jej tylko dwie stronice, kiedy zegar na kominku wybił pierwszą. Mimo to czytała, zdecydowana dotrzeć do końca.

Ten kwietniowy dzionek był wręcz stworzony na piknik pod obsypanymi pączkującym kwieciem drzewami. Tak właśnie widać wyglądać dzionek na pyszne smakołyki, przednie wina i miłość czułych kochanków. Tymczasem nastał dzień zabijania i śmierci, a do wieczora zielone pole miało spłynąć czerwienią świeżej i skrępej posoki. Angielscy żołnierze czujnie obserwowali okolicę, zastanawiając się, czy już za parę godzin spoczną martwi na miękkiej trawie, użyteczni li tylko dla robaków. To nie był ich wybór, lecz zaszczytny obowiązek. Powinnością ich stała się walka do ostatniej kropli krwi za Króla i za Ojczyznę, albowiem mały kapral wyrwał się z niewoli i niemal wmaszerował do Brukseli, ponownie zagrażając swoimi szalonymi ambicjami całemu światu.

Wojska podążyły na wzgórze, chcąc stamtąd bronić swych pozycji w razie ataku. Przybyły jednak poniewczasie, a gdy zwiadowca doniósł, że widział zbliżające się oddziały francuskie, nie było już wyboru, należało szukać kryjówek pod osłoną drzew u podnóża wzniesienia w nadziei na to, że Francuzi nie zorientują się w sytuacji i dotrą zbyt blisko, aby przeprowadzić manewr odwrotu bez traktowania się nawzajem.

Nie wszystko jednak poszło zgodnie z zamiarem naszych zbrojnych. W połowie drogi na wzgórze stał niski mur kamienny, były tam i ruiny starego pieca. Za murem tłoczyło się najmarniej pół tuzina dzieci, a towarzyszyła im ukryta pod nieprzeniknionymi woalami dama, zapewne opiekunka lub matka gromadki. Czy grupka skrywała się przed Anglikami, czy też przed Francuzami, tego wiedzieć było niepodobna. Jakkolwiek sądzić, wkrótce znaleźć się mieli w samym środku batalii.

Trudno wyobrazić sobie gorszy z koszmarów. Jakże bowiem

mieliby Anglicy strzelać ze świadomością, że między nimi a Francuzami znalazły się dzieci, a wraz z nimi krucha niewiasta? Żaden przyzwoity człowiek nie zdecydowałby się toczyć walki ponad głowami niewinnych. Nic zatem dziwnego, że oficerowie wydali cichy rozkaz pozostania na pozycjach i wstrzymania ognia.

Mimo rozkazu pewien mężny żołnierz wyrwał się przed szeregiem, rzucił karabin, cisnął przydziałową czapkę i niemal zgięty wpół, pognął w górę zbocza, za nic mając swe bezpieczeństwo. Towarzysze broni naszego śmiałka zgodnie wstrzymali oddech, gdy on, kapitan Cooper McGinley Townsend, próbował negocjować z kobietą, przekonując ją gorąco, by opuściła swą kryjówkę.

Tymczasem wróg nadciągał. Dało się już dostrzec jakże charakterystyczny znak mosiężnego orła, wieńczący wysoką laszkę dowódcy, a na wietrze łopotały francuskie barwy narodowe. Już tylko sekundy dzieliły przeciwnika od zajęcia szczytu wzgórza, gdzie zapewne planował się zatrzymać i ocenić sytuację na polach. Czy Francuzi mogli dostrzec, co działo się za murem? Czy rozświetlona promieniami słońca, nietypowa i dobrze widoczna z oddali grzywa jasnych włosów kapitana miała zajaśnieć takim blaskiem, by zdradzić pozycję niewinnych?

Jednym tchem, jedną wspólną myślą modliło się wojsko: „Biegnij! Uciekaj, nim nieszczęście sprowadzisz na siebie i na wszystkich nas po kolei!”.

I tak oto biegł, tuląc do piersi najmłodsze z dzieci, przez ramię przerzuciwszy niepotrzebnie stawiającą opór niewiastę. Za nim posłusznie pobiegły inne dzieci, wprost przez pole, ile sił w nogach, zza niepewnej osłony pokruszonego tu i ówdzie muru, ku drzewom. Nasz bohater i jego podopieczni dopadli miejsca ukrycia na zaledwie kilka sekund przed objawieniem się pierwszego konia i jeźdźca na grzbiecie wzgórza.

Poruszony do głębi angielski generał zeskoczył z wierzchowca i ruszył wzdłuż szeregu.

- A zatem nie wykonałeś rozkazu, he? - rzekł. - Doskonała robota, Townsend. W dniu dzisiejszym, panowie, na własne oczy oglądaliśmy narodziny bohatera. Cóż powiedzielibyście na to, by uwolnić nasz piękny świat od kilku parszywych żabojadów?

W pierwszej kolejności ruszy ich piechota. A oto i ona. Maszeruje triumfalnie, niczego nie podejrzewając. Uwaga, panowie. Jeszcze nie... Jeszcze nie... Pierwszy szereg wystąp. Klękaj. Czeka. Czeka. Ognia!

Zapadał zmierzch, gdy nasz bohater powrócił do obozu, skąpany we krwi, lecz cały i zdrowy, a uratowane niewiniątka, sierotki co do jednej, skakały za nim szczęśliwe i pogodne. Tylko uroczy jasnowłosy cherubinek, najwyżej trzyletni, siedział niesiony na mocnych ramionach bohatera i na znak zwycięstwa machał małą swą czapczką. W rozradowanym tłumku, nie wiedzieć czemu, brakowało tylko zawołanej damy.

„Hura!”, zakrzyknęli zebrani wojacy, po wielokroć wznosząc karabiny do salw honorowych, albowiem tego dnia utracili wielu mężnych towarzyszy, a widok dzieci wzmocnił ich wolę walki aż do zwycięstwa. „Hura! Hura! Hura!”.

Obozowe kobiety rychło podbiegły, przygarnęły dzieciątka do spódnic i bez zwłoki zaprowadziły małeństwa do namiotów kuchennych na posiłek. Naszego męznego kapitana szybko otoczyli towarzysze broni, bowiem każdy pragnął poklepać go po plecach i uścisnąć mu prawicę.

Hura! Hura! Niech cały świat się raduje z takiego męstwa i takiej skromności!

...i tak, drodzy Czytelnicy, baron Cooper McGinley Townsend, stał się bohaterem.

Nim jednak postawimy ostatnią kropkę w tej opowieści, musimy wspomnieć o czymś jeszcze, choć niestety nie uda się zaspokoić ciekawości wszystkich dociekliwych wśród nas.

Śmiałe pytanie o zadrapania na policzku, zadane przez jednego ze znajomych, a także sugestia, skąd mogły się wziąć, sprawiły, że zmrużone oczy naszego śmiałka rozbłysły zielenią, lecz na jego ustach zaraz potem zagościł uśmiech. Jak wyjaśnił bohater, pewna zakonnica dla bezpieczeństwa prowadziła dzieci do swojego klasztoru, ale chętnie je przekazała, gdyż zasoby żywności u sióstr były co najmniej ograniczone.

Po ostatecznym rozgromieniu Bonapartego gruntownie przeszczesano tamte okolice, lecz nie udało się znaleźć żadnego klasztoru. Nieopodal był tam jednak, drodzy Czytelnicy, uroczy wiej-

*ski domek, niewątpliwie opuszczony w wielkim pośpiechu. Jedy-
ny dozorca, który tam pozostał, potwierdził, że pewna młoda
dama, zawsze ukryta za nieprzeniknionymi woalami, pozosta-
wała w domu przez kilka tygodni, po czym znikła nagle i niespo-
dziewanie. W formie zapłaty pozostawiła po sobie jedynie za-
gadkowy pierścień, stanowiący obecnie własność jednej z tych
osób, na których dyskrecji zawsze można polegać.*

*Nie trapie się jednakowoż, wierni Czytelnicy, bowiem przygo-
dy naszego herosa bynajmniej nie kończą się w tym momencie.
Po powrocie na naszą urokliwą wyspę mianowany baronem Co-
oper McGinley Townsend nadal dokonuje bohaterskich czynów
i udało mu się ocalić honor niejednej już damy, śmiertelnie za-
grożonej utratą czci. Przy tym wszystkim niewyjaśniona pozos-
tuje tajemnica, kim też jest zawoalowana dama...*

Dany odetchnęła głęboko, dopiero teraz uświadomiwszy sobie,
że wstrzymuje oddech.

- Zawoalowana dama? Co za bzdury - mruknęła niezadowolona,
gdyż interesowały ją wyczyny bohatera, a nie jakieś wymysły,
w oczywisty sposób wyssane z palca.

Podobną konfabulacją wydawał się pierścionek, wspomniany
wyłącznie na potrzeby osób zainteresowanych ustaleniem jego
pochodzenia. Dany podejrzewała jednak, że w każdej opowieści
musi się kryć wątek jakiejś damy, najlepiej pięknej lub ukrytej za
woalką, ewentualnie jedno i drugie. W przeciwnym razie dżentel-
meni nie wyteżaliby umysłów i nie wodzili palcami pod tekstem,
żeby nie uronić ani słowa.

Pomyślała, że mężczyźni przypominają dzieci, ale kobiety są
chyba jeszcze gorsze, skoro widzą siebie w roli niezguł, które
trzeba ratować.

- Powóz, panienko - usłyszała głos służącej.

Po raz ostatni rzuciła okiem na okładkę książki i szybko wsunę-
ła ją pod poduszki na kanapie. Następnie przejechała dłońmi po
włosach i sukni, aby się upewnić, że wszystko jest na miejscu.
W oczekiwaniu na gości sporo czasu poświęciła przygotowaniom
i nie chciała prezentować się niechlujnie.

Nagle uświadomiła sobie, że nie powinna wyglądać tak, jakby

nie mogła się doczekać przybycia gości. Musiała sprawiać wrażenie zajętej czymś innym... dajmy na to, układaniem bukietów. Pobiegnęła zatem do okrągłego stolika z idealnie skomponowanymi kwiatami i wyszarpnęła cztery z porcelanowego wazonu. Trzy położyła na blacie, nie zważając na to, że woda kapie na jej suknię, a jeden pozostawiła w dłoni i przyjęła pozę zajętej pracą bukieciarki, która właśnie wsuwa ostatni kwiat do niemal skończonego arcydzieła.

- Ach, witam - odezwała się śpiewnie i lekko odwróciła głowę, gdy kamerdyner zaanonsował przybyłych. - Jak to dobrze, że już panowie przyjechali. Timmerly, poprosimy o przekąski.

- Tak jest, panienko - odparł służący, po czym się uklonił. - Gdyby jednak panienka przestała się bawić bukietami, hrabina z pewnością byłaby jej bardzo wdzięczna, gdyż wraz z panią Timmerly układała je dzisiaj rano przez bitą godzinę.

Wicehrabia parsknął śmiechem, a kamerdyner dumnie uniósł głowę i z godnością wymaszerował z salonu. Dany nie pozostało nic innego, jak tylko wetknąć pozostałe kwiatki do wazonu. Pomyślała, że kamerdynerzy bywają głupi jak tabaka w rogu, po czym nerwowo zatarła dłonie i wróciła na kanapę.

- Przyłapano mnie na gorącym uczynku - mruknęła, szybko odzyskując rezon. - Liczyłam na to, że uznają mnie panowie za wszechstronnie wykształconą młodą damę. W gruncie rzeczy jednak posiadam bardzo niewiele cenionych w towarzystwie umiejętności. Proszę zająć miejsca, panowie.

- Umiejętności takich jak kieszonkowe kradzieże? - spytał irytująco uprzejmie wicehrabia.

Dany skierowała spojrzenie na barona, który sprawiał wrażenie lekko rozbawionego, i postanowiła robić dobrą minę do złej gry.

- W istocie, panowie, jedynie odzyskałam to, co należy do mnie - odrzekła. - Jak się nietrudno domyślić, przeczytałam już tę pozycję od deski do deski. Ile w tej książce jest prawdy, a ile wietrutnych bzdur? Czy wzmianka o tajemniczym pierścieniu ma istotne znaczenie? Śmiem podejrzewać, że zarówno on, jak i postać damy w woalu pojawiły się wyłącznie ku zachęce do kupna drugiego tomu. Czy zbiegiem okoliczności mają panowie przy so-

bie jego egzemplarz albo przynajmniej wiedzą, gdzie udałoby mi się takowy nabyć?

Równie przystojny, co sławny Cooper McGinley Townsend, który dotąd milczał, siedząc nieruchomo w fotelu, puścił mimo uszu pytanie Dany i zadał inne.

- Gdzie jest hrabina? - Uniósł brwi. - Miałbym prawo sądzić, że zdążyła już pani związać, zakneblować i zamknąć w pokoju dziecięcym.

- Ojej. - Wicehrabia wzdrygnął się w celowo komiczny sposób. - Czy to pytanie było bolesne? Chyba raczej nie, biorąc pod uwagę szerokość pani uśmiechu. Może pani zupełnie bezpiecznie zignorować Coopera. Od samego rana jest taki nieprzyjemny. Nie to, żeby był wesoły z natury. To spokojny, rozsądny, niemal nudny człowiek. Ja i moi przyjaciele tolerujemy Coopa przez wzgląd na jego dobre serce, zapewne pani to rozumie. Poza tym dzięki jego zdrowemu rozsądkowi już niejednokrotnie wybrnęliśmy z tarapatów. Zgadza się, Coop?

Dany nadal się uśmiechała, jednak zupełnie bez przekonania, więc coraz bardziej bolały ją policzki.

- Udręki i zgryzoty związane z życiem bohatera z pewnością są dla niego ogromnym ciężarem. - Popatrzyła odważnie w zielone oczy barona. - Czuję się po prostu okropnie, ale obawiam się, że muszę trzymać pana za słowo. Moja siostra naprawdę potrzebuje bohatera. Wpadła jak śliwka w kompot i ktoś musi ją uratować.

- Tak, naturalnie. - Cooper wstał. - Obawiam się, że wicehrabia ma słuszność. Moje zachowanie, zarówno teraz, jak i na Bond Street, należy uznać za naganne, a winić wyłącznie mój marny humor. - Ukłonił się elegancko. - Jak mogę to pani wynagrodzić, panno Foster?

- Przejażdżka po Hyde Parku dzisiaj o piątej byłaby jak najbardziej wskazana - odparła bez namysłu Dany. - Publiczne pojawienie się w towarzystwie bohatera zapewne wielce podreperowałoby moją reputację i tym samym wpłynęło kojąco na moją siostrę, która niemalże postawiła już na mnie krzyżyk. Lordzie Nailbourne, znowu się pan śmieje? Nietrudno pana rozbawić, prawda? Czy nie zastanawiał się pan nad sprawieniem sobie małpki na

łańcuszku? Paradowalibyście oboje po salonach, najlepiej w czapczkach do kompletu. Co pan na to?

Dany po raz pierwszy usłyszała śmiech barona, czysty, głęboki i absolutnie uroczy. Śmiał się całym ciałem, z otwartymi ustami, i trzęsły mu się ramiona.

- Panno Foster... - westchnął, ponownie siadając, tym razem z lekko rozchyłonymi nogami i łokciami na kolanach. - Z najwyższą przyjemnością. Z tym tylko, że jest dokładnie na odwrót. To pani towarzystwo podreperuje moją reputację, albowiem nie wątpię, że z miejsca zostanie pani królową małego sezonu.

- Sam pan widzi, że jest dokładnie tak, jak powiedziałam. - Dany pochyliła się ku niemu, z każdą chwilą coraz bardziej odprężona. - Mari nie jest tego całkiem pewna, i wiem, że moja mama siedzi nawet teraz w swoim salonie i pospiesznie zasypuje Pana Boga obietnicami, byle tylko zechciał w łaskawości swojej zamknąć mi usta do czasu, gdy jakiś biedny bałwan dojdzie do wniosku, że nie może żyć bez rudych potomków.

- Panno Foster, podziwiam pani szczerłość i naturalność. Nawet więcej, zaczynam panią wielbić - wtrącił się lord Nailbourne.

- Ucisz się, Darby - burknął baron ostrzegawczo. - Proszę nie zwracać na niego uwagi, panno Foster. Przywykł, że to jego uważa się za arcymistrza przewrotnego humoru.

- Przewrotnego i kostycznego - sprecyzował wicehrabia. - Jestem uważnym obserwatorem, panno Foster, i z przyjemnością od czasu do czasu dzielę się swoimi spostrzeżeniami.

- Rozumiem. I jakież są pana spostrzeżenia w kwestii zaistniałej sytuacji? Chodzi mi o to, że jesteśmy tutaj we troje.

Darby przez długą chwilę przyglądał się przyjacielowi.

- Nie, nie dzisiaj - powiedział w końcu i pokręcił głową. - Wolę się wstrzymać z opinią. Tak będzie bezpieczniej. - Wstał, gdy do pokoju wszedł Timmerly z imbrykiem herbaty i ciastkami na tacy. - Zapewne powinienem teraz przypomnieć sobie, że jestem umówiony z krawcem albo z kupcem winnym. Tak czy owak, panno Foster, na mnie pora. Pozostawiam was dwoje, byście swobodnie pogawędzili pod moją nieobecność. Coop, poinformujesz mnie o wszystkim później, jeśli się okaże, że moja pomoc jednak wam się przyda.

- Boidudek - mruknął Coop, gdy wicehrabia i Timmerly opuścili pokój.

Przeniósł spojrzenie na Dany, która przybrała niewinną pozę. Niestety, jak zwykle wypadła nieprzekonująco.

- Niewątpliwie jest pani osobą młodą i pod pewnymi względami jeszcze nieobytą w świecie, ale i tak czuję się w obowiązku spytać, czy celowo uparła się pani wykurzyć mojego poczciwego przyjaciela, tak niemiłosiernie go dręcząc? - Coop patrzył na nią uważnie.

Dany oparła się o poduszki, przykładając dłoń do dekoltu.

- Kto, ja? Miałabym ze wszech miar pokrętnie i przebiegle zasugerować mu, że w tej chwili jego obecność jest tu zbędna? - spytała z udawanym oburzeniem i oparła ręce na kolanach. - Ależ naturalnie. Siostra kazała mi obiecać, że nie opowiem wicehrabiemu o jej upokorzeniu.

- Wystarczyło mu powiedzieć, żeby wyszedł.

- Ależ to byłoby niekulturalne. - Przewróciła oczami. - Nalać herbatki?

- Nie mnie, dziękuję, gdyż nie zabawię tu długo. Czy ma pani świadomość, kim pani jest? Jest pani siostrą, której moja matka nie powiła, za co z całego serca i pełen radości dziękuję Bogu.

Dany sięgała po srebrny imbryk, lecz cofnęła rękę. Dotąd nie pełniła obowiązków gospodyni i obawiała się, że drżąca dłoń zdradzi jej prawdziwe odczucia w sytuacji sam na sam z baronem. Byłaby urażona, gdyby nie uśmiech na jego twarzy.

- Hrabina podziela pańskie przekonania niemal w całej rozciągłości - odparła. - Podobno często żałowała, że nie jestem siostrą, której moi rodzice nie mieli, czy coś w tym guście. Rzecz jasna, mniej więcej to samo mówi o Dexterze, naszym bracie, lecz wcale tak nie myśli.

- W takim razie chyba i ja tak wcale nie myślę - zdecydował Coop. - Prawdę mówiąc, zamierzam wmówić sobie, że jest pani tylko młodszą siostrą, pełną jak najlepszych intencji. Czy mogę sobie na to bezpiecznie pozwolić, panno Foster?

- Ależ tak, jak najbardziej. Jestem właśnie kimś takim, niemniej i tak bardzo mnie zbulwersowało, że moja siostra wpakowała się w taką sytuację. Doprawdy, można by dojść do wniosku, że prę-

dziej ja zrobiłabym coś podobnego, nie ona. Powinien pan jednak wiedzieć, że choć czasami nieco trudno ze mną wytrzymać, to jednak nie uważam się za dokumentną głuptaskę.

- Mój przyjaciel Oliver ożenił się z głuptaską? - Coop zmarszczył brwi. - Musi pani zrozumieć, że choć wielce pragnę wesprzeć pomocą jego żonę, to jednak stanowczo odmawiam robienia czegokolwiek, co naraziłoby go na szwank.

- Pański przyjaciel Oliver ożenił się ze słodkim jak cukierek uśmiechem, dwojgiem głębokich, błękitnych oczu i szczupłym, miękkim ciałem - zapewniła go Dany. - Dał się złapać jak mucha na lep i dopiero poniewczasie odkrył, że jest na dobre przykuty do romantycznej, niemądrej marzycielki, która oczekuje adoracji dzień i noc, do końca swoich dni. Powiedziałam jej, że taka bliskość... przygasa po kilku latach, a ludzie czują się ze sobą po prostu komfortowo, tak jak nasi rodzice. Ona jednak w to nie wierzy. Mari... Mari potrzebuje uwagi... i dramaturgii.

- Jak rozumiem, hrabia już nie zapewnia jej ani jednego, ani drugiego? - spytał Coop. - Panno Foster, jeszcze moment, a się zarumienię.

- Nie mam wglądu w ich osobiste życie. - Dany wzruszyła wąskimi ramionami. Wyjaśnianie tych spraw okazało się trudniejsze, niż zakładała. - Dlatego nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, a pan nie powinien był go zadawać. Powiem panu tylko tyle, że hrabia zapomniał o jej urodzinach, kiedy wybierał się z przyjaciółmi na północ łowić łososie i strzelać do wszystkiego, co fruwa. Takie zapominalstwo jest znamienne i należy je uznać za wyraz rozczarowania żoną.

Coop podrapał się za uchem.

- Chyba powinienem dodać ten fakt do mojej listy niebezpieczeństw związanych z małżeństwem - mruknął.

- Prowadzi pan taką listę? - zainteresowała się. - A nie spisuje pan listy korzyści?

- Nie, ale jeśli kiedyś przyjdzie mi jakaś do głowy, z pewnością ją sobie zapiszę. Panno Foster, czy moglibyśmy przejść do rzeczy? - zniecierpliwił się. - Pani siostra zemściła się na Oliverze, prawda? Co takiego zrobiła? I proszę mi nie mówić, że sprawiła sobie kochanka, gdyż nie mam bladego pojęcia, jak miałbym ją

uratować z takiej opresji. Chyba że pani zdaniem powinienem kogoś zabić, a tego nie uczynię, nawet dla pani siostry.

- Wasza lordowska mość mnie rozczarował. A zatem prosiłabym o nazbyt wiele, gdybym się uparła, żeby obraził pan przodków tego człowieka, a następnie zażądał satysfakcji na pistolety o świcie? Jako bohater z pewnością jest pan względnie dobrym strzelcem, więc to nie powinno stanowić dla pana problemu.

- A następnie uciekłbym na kontynent i pozostał tam do grobowej deski, gdyż pojedynki są zakazane. Gdybym nie umknął, zawisłbym na stryczku - zauważył przytomnie Coop.

Dany pokiwała głową.

- Hm, w istocie, nie można oczekiwać od pana zbyt wiele. A cóż takiego byłby pan gotów zrobić?

- Nic, ponieważ nie mam pojęcia, na czym konkretnie polega problem. Pozwolę sobie przypomnieć pani raz jeszcze, że Oliver to mój przyjaciel.

- Unikałam zagłębiania się w szczegóły - odparła Dany.

- Więc niech pani już tego nie robi. Czy hrabina znalazła sobie kochanka, a teraz chce, żeby zniknął, najlepiej bez śladu?

- Sytuacja jest niemal równie fatalna, ale na szczęście nie trzeba przelewać krwi tego delikwenta. - Dany pokręciła głową. - Mari nawiązała korespondencję z kimś, kogo z niejakim obrzydzeniem pozwolę sobie nazwać „cichym wielbicielem”.

Baron wzruszył ramionami.

- To tyle? - zapytał. - Zgadzam się z panią. Gdybyśmy mieli ustawić w szeregu wszystkie szlachetnie urodzone damy, które wymieniały niemądrą korespondencję z tak zwanymi cichymi wielbicielami, zapewne ogonek ciągnąłby się od jednego krańca Anglii do drugiego i z powrotem. Niech pani powie hrabinie, żeby przestała się trapić. Jestem przekonany, że Oliver zrozumie, choć nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle miałyby wtajemniczać go w tę sprawę.

- Gdyby to było takie proste, wasza lordowska mość, nie musielibyśmy o tym rozmawiać. Moja siostra pisemnie wyjawiała nieznanemu człowiekowi swoje najszybsze myśli, wątpliwości i rozczarowania związane z okropnym, odartym z romantyzmu i zapewne łajdaczującym się Oliverem, który rzecz jasna, nieod-

wracalnie złamał jej serce, a potem zniknął z podobnymi sobie przyjaciółmi, by robić rzeczy, o których nawet nie chcę myśleć. Moja siostra obnażyła swą duszę, bezbronną i melodramatyczną, wyrzuciła z siebie wszystko, choć w żadnym razie nie powinna była tak postąpić.

Cooper przestąpił z nogi na nogę. Dany zauważyła, że na jego policzkach wykwitły ledwie widoczne rumieńce, które uznała za urocze, szczególnie u bohatera.

- Hm... - westchnął ciężko. - Czy w tych wyznaniach poruszyła kwestie, jak by to ująć... związane z intymnymi aspektami małżeństwa? Wolałbym usłyszeć, że nie - dodał pośpiesznie.

Nawet Dany wiedziała, że w tym momencie i ona powinna się zaczerwienić. Nie dostrzegła jednak powagi zagadnienia, ponieważ nigdy nie doświadczyła „intymnych aspektów małżeństwa”, a sprawa nie była dla niej nowa.

- Jeśli poruszyła, to raczej smutną kwestię ich braku, wasza lordowska mość - odparła bez ogródek.

- Niedobrze, niedobrze - wymamrotał pod nosem Coop.

- A to dlaczego?

- Jak to, dlaczego? - Spojrzał jej prosto w oczy. - Ponieważ żaden mężczyzna nie życzy sobie kwestionowania jego męskości. Kim jest ów cichy wielbiciel?

Dany wsunęła do ust odrobinę ciastka cytrynowego. Musiała wyjawić Coopowi prawdę.

- W tym sęk. - Westchnęła. - Moja siostra nie zetknęła się z nim, a jeśli nawet, to nic jej o tym nie wiadomo. Nie kojarzy cichego wielbiciela z żadnym znanym sobie mężczyzną. To tak głupie, że aż śmieszne. Mari jest jednak absolutnie przekonana, że w przeciwieństwie do mnie, Oliver nie dostrzeże humorystycznych akcentów sprawy. Mówiąc krótko: nie wiemy, kim jest ten człowiek.

- Pani siostra nie wie, z kim ma do czynienia? - zdumiał się Coop. - Na litość boską, panno Foster, jak może nie wiedzieć, kim jest jej cichy wielbiciel! Nie, lepiej niech pani nie odpowiada. Gdyby wiedziała, nie byłby już cichy, prawda? Ech, wy, kobiety, wszystkim wam w głowach hula wiatr.

Dany poczuła się w obowiązku wystąpić w obronie swojej płci,

a w szczególności własnej siostry.

- Zasłużył pan na to, żeby wyzwać pana na pojedynek – oświadczyła wzburzona. – Otóż kobiety są w przeważającej większości dziesięciokrotnie rozsądniejsze od mężczyzn. Gdyby to one rządziły, na świecie nie byłoby tych waszych głupich wojen. Nawet moja siostra zazwyczaj nie jest tak niemądra, jeśli to miał pan na myśli, mówiąc o wietrze hulającym w głowie. W tej chwili jest po prostu wyczerpana emocjonalnie. – Nagle zmarszczyła brwi i wymamrotała: – Wielkie nieba! A może pani Yothers ma rację i Mari jest... Jest w... Nie! Na pewno by o tym wiedziała. Musiałaby to wiedzieć, na litość boską!

- Kiedy wreszcie skończy pani monologować, może powrócimy do palącej kwestii tożsamości cichego wielbiciela? – Cooper wstał i zaczął spacerować od ściany do ściany.

Dany, która nagle straciła apetyt, odłożyła resztkę ciastka, choć było przepyszne.

- Właścicielka sklepu z sukniami sądzi, że hrabina jest... przy nadziei. – Podniosła wzrok na Coopera, który wpatrywał się w nią niczym zahipnotyzowany. – Krawcowa chyba nie może wiedzieć więcej niż sama zainteresowana, prawda?

- Czy to na pewno pytanie do mnie?

- Nie, raczej nie – przyznała niechętnie. – Niestety, nie jest pan tak spokojny i skoncentrowany, jak na bohatera przystało. To nieco rozczarowujące.

- Nie jestem żadnym przeklętym bohaterem, psiakrew! – wybuchnął Coop i natychmiast uniósł ręce w przepaszającym geście. – Proszę o wybaczenie, panno Foster, ale naprawdę nie jestem bohaterem. Cokolwiek pani wyczytała w tej żalosalnej karykaturze książki, zostało wysrane z palca, a w najlepszym wypadku przeinaczone i wyrwane z kontekstu.

- Cała książka to jeden wielki fałsz? – Dany nie kryła rozczarowania. – Zatem nie uratował pan żadnych dzieci?

- To akurat jest prawdą – wyznał po chwili milczenia. – Ale wcale tego nie planowałem, po prostu... tak się złożyło. W jednej chwili stałem spokojnie wraz z towarzyszami, a w następnej rzucałem karabin i pogałem przed siebie. Chyba po prostu uznałem, że tak należy postąpić. Ale jakie to ma znaczenie?

- Zapewne ogromne, zarówno dla dzieci, które pan uratował przed stratowaniem lub zastrzeleniem, jak i dla Anglików, którzy mogli skuteczniej się bronić przed śmiercią z rąk Francuzów. A tajemnicza dama w woalach? Czy naprawdę istniała?

- Zakonnica. Zakonnica z zasłoniętą twarzą, tak - przyznał z nieoczekiwanym spokojem w głosie.

- Ależ pan kłamie - oświadczyła z przekonaniem Dany, choć nie wiedziała, skąd u niej taka pewność. - Chroni ją pan, kimkolwiek ona jest. Właśnie dlatego zniknęła bez śladu. Zabrał ją pan w jakieś bezpieczne miejsce i dopiero potem powrócił pan do obozu, kilka godzin po bitwie. Nawet teraz pan ją chroni. Ta osoba musi być dla kogoś bardzo ważna.

- Nie lubię pani, panno Foster - warknął Coop ze złowrogim błyskiem w zielonych oczach.

- To zrozumiałe - odrzekła pogodnie. - Jakkolwiek patrzeć, szturmem wkroczyłam w pańskie życie, prawda? Nie wstydzę się tego jednak, gdyż moja siostra na gwałt potrzebuje bohatera, wszystko jedno czy ochoczego, czy niechętnego. Tak się niefortunnie dla pana składa, że jest pan człowiekiem słownym. Pańska obecność tutaj jest tego najlepszym dowodem. Ktoś inny wyważyłby drzwi, byle tylko jak najszybciej stąd czmychnąć. Naturalnie, on wie, kim ona jest.

- Że co proszę? - zdumiał się Coop.

- Oj, przepraszam - zreflektowała się. - Właśnie powróciliśmy do tematu mojej siostry i jej cichego wielbiciela. On ją zna, ponieważ listy od niego dostarczono pod ten adres, a pomijając wszystko inne, Mari bardzo niemądrze podpisywała się imieniem i nazwiskiem. Podejrzewam, że dodatkowo okrasiała listy swoim tytułem. Bardzo kocham Mari, ale chyba naprawdę ma mózg jak orzeszek...

- Cóż, chyba w końcu zrozumiałem. Pani siostra oczekuje, że ustalę tożsamość jej cichego wielbiciela i zmuszę go do zwrotu korespondencji. Tylko jak mam się do tego zabrać, panno Foster? Może pani siostra dysponuje listą swoich cichych wielbicieli? Byłby to dla mnie dość wygodny punkt wyjścia, jak zapewne pani rozumie.

- Niestety, sprawa jest naprawdę zawiła, ale chyba mogę poka-

zać panu listy, które on do niej napisał. Niewykluczone, że przeczytałam jakąś cenną wskazówkę.

Sięgnęła do kieszeni i po chwili wręczyła mu starannie złożoną kartkę papieru. Cooper popatrzył na list tak, jakby wolał go nie dotykać, lecz mimo to niemal wyrwał go z ręki Dany, rozłożył i odczytał na głos:

Pięćset funtów albo następną osobą, która przeczyta pani listy miłosne, będzie jej mąż, tuż nim cała kolekcja zostanie opublikowana w formie broszury o tytule: „Wyznania damy z wyższych sfer, szukającej pociechy w ramionach innego, odrzuconej przez męża, który jest nieczuły na kobiece wdzięki i preferuje towarzystwo dżentelmenów”.

Tak, to jest szantaż, a ja specjalizuję się w szantażach. Wkrótce wraca pani mąż, więc nie ma pani czasu do stracenia. Niedługo ponownie dam o sobie znać.

- Jak pan widzi, ten osobnik wypowiada się zarazem dość konkretnie oraz niejasno - ciągnęła Dany. - Mari nie ma pojęcia, skąd mogłaby wziąć pięć funtów, nie zwracając się do męża, a co dopiero pięć setek. Jest jednak przekonana, że groźby są całkiem realne i mogą, hm... wytrącić Olivera z równowagi.

- Wytrącić z równowagi? - powtórzył Coop. - Panno Foster, na szczęście nie ma pani pojęcia, o czym pani mówi. A niech to... Kiedy dotarł ten list?

- Kilka dni temu. Dlaczego pan pyta? - W jej oczach pojawiło się zrozumienie. - Och nie, potem już nie kontaktował się z moją siostrą. Jak pan uważa, czy powinniśmy rozejrzeć się za dyskretnym jubilerem, gotowym kupić kilka naszyjników Mari, czy też mamy do czynienia z pustymi groźbami?

- Nie sądzę, by hrabina mogła uznać te słowa za czcze pogroźki. - Zamyślił się głęboko. - Nie, w żadnym razie. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, bym zatrzymał tę korespondencję? Czy dysponuje pani pozostałymi?

Dany wyciągnęła zza poduszek inne listy, absurdalnie przewiązane różową wstążką. Mari zapewne nadal żywiła promyk nadziei, że szantażysta tylko próbuje skłonić ją do napisania jesz-

cze jednego listu. Dany wolałaby umrzeć, niż do tego dopuścić, o czym zdążyła już w dosadnych słowach poinformować siostrę.

- Zapewne chciałby pan wiedzieć, w jaki sposób korespondowali - powiedziała, gdy Coop chował listy do kieszeni. - Pierwszy przyniosła pokojówka, której ktoś na ulicy wręczył złożoną kartkę i zapłacił miedziaka. Starannie przepytalam dziewczynę, rzecz jasna, i jak się okazało, ten osobnik nie przekazał listu osobiście, lecz zatrudnił do tego jakiegoś młodzieńca, który potem znikł bez śladu. Kolejne listy trafiały do dziupli po sęku w trzecim drzewie od prawej, na tyłach posiadłości. Z okien sypialni mam widok na stajnie i od kilku nocy starałam się, jak mogłam, aby nie zasnąć i zobaczyć tego parszywca, ale ze wstydem muszę przyznać, że marny ze mnie wartownik. Oczy same mi się zamykały, gdy tylko minęła północ, a potem budziłam się rano.

Baron wpatrywał się w nią tak, jakby ją oceniał. Dany wolała się nie zastanawiać, co mu chodzi po głowie.

- Nie, nie mogę tego zrobić - wymamrotał pod nosem. - Nawet Darby nie jest tak lekkomyślny.

- Słucham?

- Nic takiego, panno Foster. Czy jest jeszcze coś, co chciałaby mi pani powiedzieć?

- Zastanawiałam się, jak pojmać tego parszywego drania, żeby mógł pan dać mu do wiwatu. Spuści pan mu manto, prawda? - Spojrzała na niego z nadzieją. - Jeśli nie, cały nasz wysiłek pójdzie na marne. Kiedy już się dowiemy, kto to taki, koniecznie trzeba będzie go sprać. Więc tak, wasza lordowska mość - ten ktoś z całą pewnością ponownie spróbuje skontaktować się z moją siostrą, prawda? Zechce zagrozić jej daleko idącymi konsekwencjami i znowu ją zdenerwuje, a potem wyjaśni, gdzie należy zostawić pieniądze, żeby mógł zjawić się w masce i pelerynie, zgarnąć łup i rozpuścić się we mgle.

- Od razu widać, że naczytała się pani tandetnych powieści - westchnął ciężko.

- To nie moja wina, że mama często zapomina zamknąć je na klucz w swoim biurku. Ale mam rację, prawda? Szantażysta napisał, że będzie w kontakcie. Wątpię, by chciało mu się długo czekać. Kto wie, czy nie wróci jeszcze tej nocy, żeby pozostawić

w drzewie kolejną wiadomość. To oznacza, że przed północą musi pan być w mojej sypialni. To najlepsza kryjówka i punkt obserwacyjny. Wiem to dobrze, gdyż wypróbowałam wszystkie. Zarośla są zbyt nieliczne, żeby zapewnić wygodną osłonę. Okna w kuchni są tak nisko, że kury przez nie zagląдают. Mogłabym ewentualnie wykorzystać okna w pokoju mojej siostry, gdybym ją wtajemniczyła, lecz tego nie zrobię. Bez wahania odesłałaby mnie prosto do domu, zorientowawszy się, że postanowiłam osobiście zaangażować się w jej sprawę. Niepotrzebnie zwróciłabym na siebie uwagę, jeśli usadowiłabym się na poddaszu, w kwaterach służby. Ach, i nim pan zapyta – okna w gabinecie Olivera są witrażowe, więc nie widać przez nie zupełnie nic.

- Starannie to pani przemyślała – zauważył Cooper z niechętnym uznaniem.

- Owszem. Jak sam pan widzi, jedynym dobrym punktem obserwacyjnym jest moja sypialnia. – Uśmiechnęła się do niego, świadoma, że z minuty na minutę ogarnia go coraz silniejsza frustracja.

- Już wykluczyłem tę ewentualność, niemniej dziękuję pani bardzo – odparł.

- Wykluczył pan? Ach, więc tego dotyczyło pańskie mamrotanie. Niemniej wziął pan tę możliwość pod uwagę. Cóż takiego skłoniło pana do odrzucenia mojego pomysłu?

- Cóż, panno Foster, chyba właśnie patrzę na ten powód – powiedział cicho.

- Sława najwyraźniej uderzyła panu do głowy – oświadczyła Dany z godnością. – Nie jest pan aż tak atrakcyjny, jak się panu wydaje.

- No proszę, może z pewnym opóźnieniem, ale jednak postanowiła pani poczuć się urażona. A nie przyszło pani do głowy, panno Foster, że jest pani znacznie atrakcyjniejsza, niż pani się wydaje?

- To wcale nie jest śmieszne – burknęła, poirytowana jego bezczelnością. – Nie pochlebił mi pan swoimi niedorzecznymi słowami, a chyba właśnie na tym panu zależało. Zakładałam, że w tym przedsięwzięciu będziemy partnerami. Mogłabym panu pomóc i nadal tego pragnę. Proszę nie zapominać, że Mari jest moją siostrą. W zaistniałej sytuacji zwalnię pana z danego słowa. Może

pan odejść. W tej chwili.

- Czy poczuła się pani lepiej, wspiąwszy się na wyżyny i popatrzywszy na mnie z góry? - zapytał Coop i pokręcił głową. - Nigdzie nie pójde. Nie, nieprawda, pójde teraz, ale wróce o wpół do piątej, żeby zabrać panią na umówioną przejażdżkę po parku. Chyba pani nie zapomniała?

Dany uświadomiła sobie, że w istocie rzeczy, wyleciało jej to z pamięci. Coop miał przydać znaczenia jej debiutowi podczas małego sezonu, zwłaszcza że Mari leżała w łóżku z silnym zamiarem nieopuszczania sypialni tak długo, jak to tylko możliwe.

Nie było wyjścia, musiała teraz ustąpić, żeby na koniec osiągnąć swój cel.

- Doskonale, wasza lordowska mość - odrzekła. - W takim razie przyjmuję pańskie przeprosiny.

- Podejrzewałem, że tak będzie, choć nie pamiętam, bym za cokolwiek przeproszał. Możemy, choć nie musimy, jeszcze pogawędzić w trakcie przejażdżki.

- Doprawdy?

- Owszem. - Wstał i pokręcił głową. - Najpierw jednak muszę skonsultować się z lekarzem, który będzie gotów zbadać mi mózg. Do zobaczenia później, panno Foster.

Pochylił się nad jej ręką i wyszedł. Dany pozostała na miejscu, myśląc o tym, że lepiej będzie, jeśli jeszcze przez chwilę posiedzi i da sobie nieco czasu na ochłonięcie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Darby Travers po minucie uważnych oględzin odłożył oba listy na biurko przyjaciela.

- Chyba nie liczysz na opinię jednookiego laika? - zapytał. - Obawiam się, że w takiej sytuacji mogę tylko zrobić wstrząśniętą minę i zawołać: „Wielkie nieba, przecież to jeden i ten sam charakter pisma!”.

- Podobnie jak styl pisarski, dziękuję. - Coop, również oparty o biurko, bawił się kieliszkiem wina. - Wygląda na to, że drań postanowił zaistnieć jako szantażysta. Ciekaw jestem, ile jeszcze osób w tej chwili cierpi z powodu tej gadziny.

- Jeśli jego celem są niewierni małżonkowie płci obojga, to z pewnością można mówić o setkach. Ciebie jednak trudno zaliczyć do grona wiarołomnych mężów, co świadczy o wszechstronności tego osobnika czy też raczej o jego wygórowanych ambicjach. Trudno uwierzyć, że chciało mu się poświęcić mnóstwo czasu i środków na napisanie i opublikowanie dwóch pełnych książek, i to za skromne dziesięć tysięcy funtów. Kto wie, czy ty sam nie jesteś jego bezcenną nagrodą i zwieńczeniem niegodziwej kariery, co zresztą może ci schlebiać. Nabieram też coraz silniejszego przekonania, że, o ile na to pozwolisz, grozi ci to, że wielokrotnie będzie cię oskubywał, że tak powiem. Ciekawe, jak długo ten szantażysta pracuje w swoim fachu.

- Zamierzasz udzielić mu kilku wskazówek? - Coop sięgnął po list do hrabiny. - Pięćset funtów. Hrabina zapewne już rozważa sprzedaż części biżuterii, żeby zapłacić draniowi. Ten człowiek nie jest w ciemną bitą. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi, żądając więcej, niż jego ofiara jest w stanie wyłożyć.

- Zapewne uważa, że to odpowiednia suma, biorąc pod uwagę jego nakład pracy - zauważył Darby. - Jeśli spojrzeć na tę sprawę z perspektywy naszego szantażysty, rzecz jest tylko interesem. Zapewne z początku domagał się pięciu funtów od szew-

ca, który sprytnie farbuje skóry, żeby zamaskować ich niską jakość. Dziesięć funtów musiała zapłacić mu krawcowa, która przy okazji dostarczania sukni do domów arystokratek kradła drobiazgi i wносиła je w koszyku na igły i nitki. Cóż, takie szantażyki bez wątplenia wymagały sporego wysiłku, a nagroda była marna, niemniej każdy od czegoś zaczyna, prawda? Należy się doskonalić, powoli windować zyski, a potem obrać sobie za cel grubsze ryby.

- Mówisz tak, jakbyś całkiem poważnie rozważał możliwość wstąpienia w szeregi szantażystów.

- Na pewno tego nie uczynię, ale zastanawiam się, dlaczego nigdy na to nie wpadłem. - Darby uśmiechnął się szeroko.

- Niech zgadnę... - Coop podrapał się po głowie. - Może dlatego że jesteś bajecznie bogaty?

- Niewykluczone. Powiem ci jednak, że mało kto zna tyle sekretów co ja. Na szczęście dla świata jestem także dżentelmenem. Właśnie przyszło mi do głowy, że jeśli w zawołowanej sugestii naszego szantażysty kryje się choćby cień prawdy i twoja tajemnica może dotrzeć do samych szczytów władzy, to jest on śmielszy ode mnie albo ma dostęp do szczególnie ważnych osób. Ten nikczemnik wywodzi się z salonów, Coop, co zapewne już sam wydedukowałeś.

- Owszem. - Coop jednym haustem opróżnił kieliszek. - Przez moment brałem pod uwagę, że chodzi o jakiegoś sekretarza lub służbę, ale takie osoby musiałyby zaangażować istną armię współsprawców ze względu na skalę przedsięwzięcia. Moim zdaniem nie mamy do czynienia z jednym samotnym strzelcem, który postanowił ambitnie spróbować swoich sił.

- W Mayfair jest cały tętniący życiem świat, na który rzadko kiedy zwracamy uwagę - powiedział Darby. - Wielu z nas uważa, że ci ludzie są niewidzialni, a w dodatku głuchoniemi. Pokojówki, pokojowcy, służące dyskretnie czyszczące kominki, lokaje nieustannie podsłuchujący na korytarzach... Ktoś jednak musiałby ich werbować, kierować nimi, zlecać im zadania. To naprawdę ogromne wyzwanie. Na samą myśl o tym dopada mnie ból głowy.

- Rzeczywiście, w Mayfair może istnieć zorganizowana grupa niegodziwców - zgodził się Coop. - Mimo wszystko nie powinni-

śmy jednak wykluczać, że nasz szantażysta to jedna osoba, która starannie dobiera swoje ofiary.

- Tylko na ile to jest prawdopodobne...? - spytał retorycznie Darby. - Jeden szantażysta, kilka wyselekcjonowanych ofiar i nagle dwie z nich zupełnym przypadkiem dosłownie wpadają na siebie na Bond Street i w niedługim czasie dzielą się informacjami o swoim kłopotliwym położeniu.

- Nie dzieliłem się informacjami o swoim położeniu - zaproponował Coop stanowczo.

- Nie, ale w końcu będziesz musiał. Panna Foster jest zbyt inteligentna, by uwierzyć, że zamierzasz tropić tego łotra z niesłychanym zapalem tylko ze względu na swą bohaterską naturę. Oceniała mnie w kilka sekund, przyznając z bólem, i uznała, że jestem zarazem głupi i zbędny.

- Nie użalaj się nad sobą. Hrabina po prostu woli, żebyś się w to nie angażował. Szczerze mówiąc, wątpię również w to, by życzyła sobie mojego zaangażowania. Zamknęła się w swoich pokojach i ani myśli wychodzić. Nie chce nawet asystować siostrze podczas małego sezonu.

- Nie sądzę, by rozwiązała problem, chowając się pod kołdrą - mruknął Darby.

- Ja również nie, ale na szczęście to nie nasza sprawa.

- Cóż takiego nie jest waszą sprawą, moi drodzy? - rozległ się donośny, wręcz grzmiący kobiecy głos.

Jego posiadaczka była nieco przygłucha, więc prawie krzyczała, wychodząc z założenia, że wszyscy wokół ledwie ją słyszą. Na domiar złego rzadko przestawała mówić, co było szczególnie kłopotliwe wtedy, gdy się jej wydawało, że dyskretnie szepcze.

- Na litość boską, Cooperze, przestań się garbić przy tym biurku - zirytowała się dama. - Nie tak cię wychowałam. No już, szybciotko, wyprostuj się. O tak, właśnie, znacznie lepiej. Ramiona do tyłu. Odpowiednia postawa jest nie tylko wizytówką dżentelmena, ale i dobrodziejstwem dla kiszki. Spójrz tylko na Darby'ego. Widzisz, jak prosto się trzyma? Od razu widać, kto tutaj słuchał mamy.

- Z przykrością wyznam, proszę pani, że moja mama przeniosła się na tamten świat, kiedy byłem ledwie dziecięciem w koleb-

ce... - Darby westchnął z emfazą. - Nie ukrywam jednak, że moja piastunka miała ciężką rękę i nader chętnie korzystała z brzozonej witki, gdy tylko zdarzyło mi się zgarbić.

Cooper przeniósł spojrzenie na matkę, kobietę wysoką, z obfitym biustem i o haczykowatym nosie, która doskonale sprawdziłaby się jako aflaston na dziobie okrętu wojennego.

Naraz obaj panowie zapragnęli poszukać dyskretniejszego miejsca do rozmowy.

- Być może za mało stosowałam dyscyplinę, z uszczerbkiem dla ciebie, Cooperze. Wszystko przez to moje gołębnie serce. Co jednak miałam począć, skoro zawsze byłeś taki śliczniusi. - Uszczypnęła go w policzki. - Tylko popatrz na tę buziuchnę, Darby. No spójrz sam, przyjrzyj się jej dobrze. Jak można się gniewać na kogoś o takiej twarzyczce? Bije z niej taka dobroć, tak bezgraniczne zrozumienie...

- Minerwo, przestań, bardzo cię proszę. - Cooper cofnął się, żeby nie zdążyła trwale zniekształcić mu policzków.

Po szesnastych urodzinach otrzymał surowy zakaz zwracania się do matki inaczej niż po imieniu, gdyż właśnie wtedy uświadomiła sobie, że jej syn musi się golić. Właściwie nie miała ochoty być matką i czuła, że znacznie lepiej się porozumieją jako przyjaciele.

Cooper skierował spojrzenie ku otwartym drzwiom na korytarz, gdzie czekała pokojówka Rose, objuczona niemal tuzinem wielkich pudeł.

- Moja wyrozumiałość nie jest niewyczerpana, Minerwo - westchnął ciężko. - Czy mogę spytać, ile mnie kosztował twój ostatni najazd na Bond Street?

Rose odkaszlnęła wymownie, co w ich wypracowanym przez lata systemie sygnałów oznaczało, że Cooper powinien się spodziewać ostrej reprimendy.

- Jestem w pełni świadoma twojego skąpstwa - powiedziała wyniośle Minerwa. - Wiedz jednak, że muszę dbać o reputację, choć ty konsekwentnie nie zwracasz uwagi na moje obowiązki związane z rolą dumnej matrony rodu Townsendów. Chyba nie ośmieliłbyś się posłać mnie w łachmanach na salony? W łachmanach, Cooperze.

Cooper ponownie przeniósł wzrok na Rose, pokojówkę i damę do towarzystwa w jednym, odległą krewną, która go znała, odkąd przyszedł na świat. Tym razem przewróciła oczami, poprawiając paski pudeł na przedramionach. Najwyraźniej wcześniejsze kasznięcie nie w pełni oddawało powagę sytuacji. Cooper pomyślał, że ten dzień nie będzie należał do najłżejszych.

- Wybacz mi nienaturalną skłonność do unikania bankructwa - zwrócił się do matki. - Z pewnością dostarczysz mi mnóstwa powodów do dumy za każdym razem, gdy wkroczysz między ludzi.

- Otóż to - zgodziła się Minerwa, nieco naiwnie biorąc jego słowa za dobrą monetę. - Jestem stworzona do popularności, choć urodziłam się ogromnie nieśmiała. Umiem jednak przewycięzać naturalną skromność i prezentować się z najlepszej strony.

Rose raz jeszcze wymownie odkaszlnęła, ale Minerwa ostentacyjnie ją zignorowała. Uniosła groźnie brew i ostro popatrzyła na Coopera, na wypadek gdyby nieopatrznie postanowił w jakikolwiek sposób skomentować jej słowa.

- Cokolwiek robię, robię to z myślą o tobie - podkreśliła z przekonaniem. - Nie można przecież ustalić ceny na synowską miłość i powinności rodzicielskie matki, mój drogi. Choć niewiele czasu spędziłam w Londynie, mówiono mi dużo dobrego o pewnej krawcowej, u której zaopatruje się nawet Vivien. Nie rób takiej zdumionej miny, Cooperze. Mam na myśli Vivien Sinclair, ciotkę Gabriela i księżną Cranbrook. Nie widziałam jej od niepamiętnych czasów, gdyż wraz z Basilem nieustannie krążyli po świecie, aż tu wczoraj spotkałyśmy się w parku. Można by pomyśleć, że nie rozstałyśmy się ani na moment. Jak zapewne wiesz, stara przyjaźń nie rdzewieje. Wystarczyło, że powiedziałam „ogrody Vauxhall” i obie rozchichotałyśmy się niczym pensjonarki, a potem przypomniało mi się, jak zaczepił mnie ten młody drapichrust i zaproponował wyprawę do Ciemnej Galerii...

- Ogromnie się cieszę, że ty i ciotka Gabe'a ponownie się odnalazłyście - przerwał jej Cooper, chcąc uniknąć tasiemcowych i niekoniecznie przyzwoitych wspomnień. - A krawcowa?

- Dlaczego wasze pokolenie jest tak osobliwie przyzwoite, tego nie rozumiem. - Minerwa pokręciła głową. - Zdaję sobie sprawę, że Vauxhall nie jest już modne w towarzystwie, niemniej za moich

czasów ludzie ogromnie sobie cenili to miejsce. Powinieneś się cieszyć, że twoja matka używała życia w kwiecie wieku. Ależ wtedy byłam rozbrykana i niesforna, ho! ho! Bardzo cię proszę, nie warcz, to niegrzeczne. Co do krawcowej, właśnie od niej wracam. Pani Yothers to urocza kobieta. Podarowała mi jedną z sukni, a do tego prześliczny fioletowy turban. Trochę swędzi mnie w nim głowa, ale da się wytrzymać.

- Dlaczego? - zainteresował się Coop. - Nie, nie pytam, dlaczego da się wytrzymać swędzenie głowy pod turbanem. Z jakiego powodu krawcowa podarowała ci cokolwiek?

- Ach, Cooperze, nadal nie rozumiesz, jak funkcjonuje ten świat... - matka westchnęła. - I po co ci były te świetne szkoły, które ukończyłeś? Z przyjemnością pogawędziłam z tą panią, bardzo zresztą otwartą, wręcz wylewną. Cóż, z pewnością nie powierzyłabym jej żadnych swoich tajemnic, gdyż następnego dnia wiedzieliby o nich wszyscy w Mayfair, niemniej sama czujnie nadstawiałam uszu.

- Któregoś dnia musi pani koniecznie pogawędzić także ze mną - odezwał się Darby.

Jego szeroki uśmiech niewątpliwie miał wyprowadzić Coopera z równowagi.

- Och, to raczej nie wchodzi w grę, nicponiu. - Minerwa również się uśmiechnęła. - Wiesz o wyższych sferach więcej niż ktokolwiek, a ja rzecz jasna jestem zobowiązana zachować dyskrecję bez względu na okoliczności. A teraz chciałabym wrócić do pani Yothers i życzyłabym sobie, aby mi więcej nie przerywano. Doprawdy, to okropny zwyczaj. W zamian za suknię i drobiazgi mam tylko napomknąć dwóm lub trzem damom, naturalnie zupełnie od niechcienia, mimochodem - a jak wiecie jestem uosobieniem dyskrecji - że w całym tym mieście tylko i wyłącznie pani Yothers jest krawcową z prawdziwego zdarzenia.

- Najmocniej przepraszam, że się wtrącam, Minerwo, ale czy dobrze usłyszałam, że jesteś uosobieniem dyskrecji? - Cooper nie wierzył własnym uszom.

- Potrafię być, jeśli tylko zechcę - odparła z godnością. - Rzecz w tym, że nie zawsze mam na to ochotę. A teraz będę mówić dalej, o ile pozwolisz. Co się tyczy pani Yothers, w pewnym sensie

doszliśmy do porozumienia. Na tej samej zasadzie porozumiałam się wcześniej z modystką, panią Bell, oraz szewcem, panem Woodem. Ten to dopiero sobie liczy! Ale są jeszcze inni. Och, i w twoim imieniu otworzyłam rachunek u pana Westona, który zaklina się, że byłbyś źle obsługiwany przez Stolza. Zatrudniani przez niego krawcy podobno mają dwie lewe ręce. Z panem Westonem jakoś nie udało mi się dojść do porozumienia, ale i tak jest najlepszy, a przynajmniej tak słyszałam. Jutro o jedenastej masz przymiarkę. Podziękuj mi.

Coop już dawno temu przekonał się, że dyskusje i polemiki z matką są bezcelowe.

- Dziękuję - odparł niemal bezgłośnie.

- I bardzo dobrze. Już skończyłam mówić to, co miałam do powiedzenia, więc biedna Rose może przestać kaszleć jak galopująca suchotniczka. Tak? A teraz mówcie, moi drodzy, w czym rzecz. Gdy tu weszłam, rozmawialiście dziwnie cicho, więc wiem, że nie chcecie czegoś wyjawić. No dalej, Cooperze, wyrzuć to z siebie. I uważaj, bo jak dobrze wiesz, kłamstwo wyczuwam na kilometr. Nie jesteś pozbawiony sumienia, więc mnie nie oszukasz. Co do ciebie, Darby, jestem odmiennego zdania, więc milcz, dopóki nie pozwolę ci mówić.

Darby uniósł rękę i poruszył palcami.

- Przepraszam, mogę wyjść? - spytał zuchwale.

- Ależ oczywiście, że nie - odparła pani Townsend surowo.

Wicehrabia popatrzył na Coopera, licząc na jego pomoc, Coop jednak nie miał najmniejszego zamiaru wspierać przyjaciela. Doszedł do wniosku, że Darby powinien przynajmniej pozostać na miejscu, żeby Minerwa choć trochę uważała na to, co mówi.

- Doprawdy, pani Townsend, to drobiazg i nie ma z panią nic wspólnego, więc po co się przejmować? - spytał Darby, jednak bez szczególnego przekonania.

- Nie odniosłam wrażenia, by to był drobiazg. Bez względu na to, o jaki problem chodzi, z pewnością ty zań odpowiadasz. Ty i jeszcze tych dwóch innych nicponi. To wy nieustannie wciągacie mojego biednego Coopera w te swoje bezeceństwa. A teraz usiądę. Rose, na litość boską, nadal tam tkwisz jak słup soli? - zirytowała się Minerwa. - No dalej, zmykaj stąd. Sprawiasz wrażenie

do cna wycieńczonej. Kto by pomyślał, jestem od ciebie dwadzieścia lat starsza, a nie czuję ani krzty zmęczenia.

Cooper pomyślał, że raczej trzydzieści, ostrożnie licząc.

- Minerwo, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, prawda, Darby? - zwrócił się do przyjaciela. - Na pewno nie poruszaliśmy tematów, które powinny cię niepokoić.

Pani Townsend poprawiła okulary. Jak podkreślała, w gruncie rzeczy wcale ich nie potrzebuje, gdyż ma sokoli wzrok, ale są dla niej użytecznym rekwizytem i przydają jej powagi. Coop musiał przyznać, że kiedy patrzyła na niego znad złotych oprawek, powaga zdawała się z niej płynąć strugami niczym lawa na zaskoczonych wieśniaków u stóp wulkanu.

Ponownie przeniosła spojrzenie na wicehrabiego.

- Poddaję się... - Darby odetchnął po kilku sekundach i uśmiechnął się ze skruchą do przyjaciela. - Na swoją obronę pragnę podkreślić, że miała przewagę jednego oka. Powiedz jej, Coop, gdyż jeśli tego nie zrobisz, weźmie mnie na tortury i będę skrzeczał jak te przeklęte papugi Gabe'a.

- Właściwie dlaczego nie. - Cooper wzruszył ramionami. - Przecież i tak tkwię w dole, który sam sobie wykopałem, i wygląda na to, że będzie on moim grobowcem po wsze czasy.

- Cooperze! Skąd u ciebie ten dramatyzm? Wykopałeś sobie grób? Po wsze czasy? Cóż to za nonsens? Znowu czytasz poezję? - zasypała go gradem pytań matka. - Przecież tyle razy cię ostrzegałam, że to niebezpieczne. Nie rób tego, proszę! To tylko pełne pustych ozdobników, smutne opowieści o nieodwzajemnionej miłości, to historie, których nie strawi żaden zdrowy na umyśle człowiek. Wiesz, czego potrzebujesz? Solidnego podręcznika o uprawie roli. Masz teraz posiadłość, którą musisz zarządzać. Naucz się sadzić i pielęgnować rzepę, ot co. Rzepa nie zwiedzie cię na manowce.

- Sam nie ująłbym tego lepiej, droga pani - przytaknął Darby. - Rzepa to klucz do sukcesu i spokoju ducha. Zapamiętaj to sobie, przyjacielu, gdyż to święte słowa.

Po tej mowie oddalił się do barku, zapewne po krzepiący kielišek wina.

- I jeszcze jedno. - Minerwa w końcu usiadła. - Sprawa nazew-

nictwa, a konkretnie, używania mojego imienia. Dotąd wszystko wydawało się w porządku, ale teraz mam świadomość wielkiego brzemienia odpowiedzialności, która na mnie zaciążyła za sprawą twojego heroizmu. Z tego względu uważam, że jedynym rozsądnym dla mnie wyjściem jest ponownie przyjęcie roli... matki.

- Westchnęła ciężko. - A może raczej mamy?

- Żartujesz? - zdumiał się Cooper. - Przecież nie cierpisz, kiedy zwracam się do ciebie „mamo”.

- W najmniejszym stopniu nie żartuję - zapewniła go. - Od tej chwili, przynajmniej w towarzystwie, będziesz tytułował mnie mamą. Zaznaczam, że tego nicponia w żadnym razie nie uważam za towarzystwo.

- Coop, ty szczęściarzu - powiedział Darby z podziwem. - Dary spływają na ciebie z niebios jeden po drugim. Jak ty je udźwigniesz na swoich wątych barkach?

- Ani słowa więcej, Darby - warknął Cooper ostrzegawczym tonem. - Dobrze... mamó. Skoro nalegasz, niech tak będzie. Może teraz pójdziesz odpocząć w swoich pokojach? Jestem pewien, że Rose przygotowała już coś na ząb.

- Kto wie, może nawet placek z rzepą - dodał Darby półgłosem.

Powiedział to zbyt cicho, żeby Minerva zdołała cokolwiek usłyszeć, ale Coop doskonale zrozumiał słowa przyjaciela. Szczęśliwie udało mu się stłumić śmiech.

- On coś powiedział, prawda? - Minerva bardzo podejrzliwie spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. - Coś zabawnego. Chciałabym sama to usłyszeć.

- Nic takiego, Min... mamó. - Cooper uśmiechnął się do niej. - Darby porusza wargami, ale rzadko kiedy udaje mu się powiedzieć coś, co miałoby jakiś większy sens.

Minerva wygładziła przód sukni, niewątpliwie przygotowując się na dłuższą pogawędkę.

- Przynajmniej pod tym względem się zgadzamy. - Skinęła głową. - W takim razie powróćmy do problemu, który nie jest naszym problemem, choć wydawał się nim, gdy przyszłam. No dalej, młodzieży, powiedzcie coś istotnego, inaczej stąd nie wyjdę.

- Pędem do drzwi - wyszeptał Darby, nie poruszając ustami. -

Chyba że wymyślisz jakąś wiarygodną bajeczkę. Coop, hrabina nie powinna zaszywać się w swoich pokojach. Panna Foster musi się znaleźć na salonach. Nie zapominaj o tym.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dany stała w holu tuż przed wejściem do salonu i niecierpliwie uderzała rękawiczkami o udo, kiedy zjawił się lokaj.

- Jaśnie pan baron, nasz bohater, zajechał - oświadczył. - Panienska raczej nie powinna kazać czekać takim pięknym gniadoszom.

- Panno Foster - odezwał się czuwający obok pan Timmerly, od wielu lat wierny sługa rodziny. - Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale panienska chyba powinna delikatniej traktować jaśnie panią hrabinę, która jest przecież w odmiennym stanie.

Dany skierowała na niego pytające spojrzenie.

- Moja siostra nie jest... Dobry Boże, wcale niewykluczone, że jest. Znając Mari, ona ostatnia by się zorientowała. - Pokręciła głową. - Mów zaraz, co wiesz.

- Rozmowa z młodymi damami na tak skomplikowane tematy to niestosowność - odparł oschle pan Timmerly.

Dany doszła do wniosku, że ten nieprzyjemny dla niej dzień z każdą chwilą staje się coraz gorszy.

- Będzie niestosownością, jeśli młoda dama wymierzy kamerdynerowi fangę w nos - wycedziła. - A gdybyś chciał potem pójść na skargę do kogoś z moich bliskich, to usłyszysz od nich, że nigdy nie przywiązywałam szczególnej wagi do tego, co stosowne.

Kamerdyner odkaszlnął, bezskutecznie usiłując zapanować nad rumieńcami, które powoli wykwiwały mu na policzkach.

- Dość powiedzieć, że zdaniem pani Timmerly będziemy witali dziedzica Cockermouth jeszcze przed urodzinami króla - oświadczył.

Dany szybko przesunęła językiem po górnych zębach, licząc do dziewięciu.

- Och, to niedobrze - jęknęła, gdyż mimo młodego wieku nie była całkiem nieuświadomiona. - To bardzo niedobrze.

- Że co proszę, panienko? - Timmerly wyprostował się z obu-

rzeniem i wypiął pierś.

- O, przepraszam, to oczywiście wspaniała wiadomość, prawda? Hrabia nie będzie się posiadał ze szczęścia, kiedy wróci. - O ile nie uzna, że jego żona znalazła sobie kochankę, dodała w myślach. - Na mnie już czas, nie mogę kazać koniom czekać.

Lokaj właśnie otwierał drzwi przed baronem, kiedy Dany ruszyła do wyjścia.

- Spóźnił się pan - poinformowała Coopera w przelocie, zanim zdążył powiedzieć jej to samo. - Mamy nowy problem do omówienia.

- Jaki dobry dzień - wymamrotał Cooper.

Ruszył za Dany, a następnie zaczekał, aż stajenny w liberii pomoże jej zająć miejsce w zgrabnej, lecz skromnej dwukółce z dwoma nadzwyczajnej urody gniadoszami.

- Pańskie są piękne i efektowne - powiedziała z podziwem, gdy Cooper obszedł powóz i usadowił się obok niej.

- Że co proszę? - Zrobił komicznie zdumioną minę, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Pańskie konie są śliczne, mocne i idealnie dobrane - wyjaśniła, zastanawiając się, czy baron przypadkiem nie nadużył alkoholu. Wolałaby nie powtarzać wszystkiego po dwa razy. - Chyba pan nie pił, prawda?

- Nawet jeśli coś wypilem, to stanowczo za mało. - Cooper nawet nie krył oszołomienia. - Ruszamy?

- Tak sędzę. Im szybciej pojedziemy, tym wcześniej wrócimy, co powinno być dla pana niezmiernie satysfakcjonujące.

- Aż dziw bierze, że mimo tak krótkiej znajomości wie pani o mnie tak dużo. - Coop popędził konie, jakby nie zauważając, że stajenny pozostał na chodniku.

- Chyba o kimś pan zapomniał. - Dany przyglądała się, jak chłopak, najwyżej dwunastoletni, idzie w kierunku zaułka prowadzącego na tyły posiadłości.

- Harry wejdzie drzwiami dla służby i zaczeka w domu - odparł Coop. - Ktoś poczęstuje go ciastem czy czymś innym do jedzenia. Wszystko już ustaliłem. Nie potrzebujemy małoletniego opiekuna, panno Foster, w parku zawsze jest sporo ludzi.

- Szczerze powiedziawszy, zastanawiałam się już nad tym. Wy-

glądalibyśmy dość komicznie, gdyby zasiadła między nami moja pokojówka, zatkała sobie uszy palcami, a my musielibyśmy rozmawiać tak, jakby jej nie było.

- W istocie - zgodził się. - Wiem, że jest pani świeżo po przyjeździe ze wsi, ale proszę mi powiedzieć, czy siostra nic pani nie wyjaśniła?

- Niestety, była zbyt zajęta wypłakiwaniem się do poduszki - wyjaśniła Dany. Nie interesowało jej, co sobie pomyśli baron. Wystarczyło, że był tutaj i najwyraźniej nadal miał chęć wcielić się w rolę bohatera. - I w ten sposób dotarliśmy do naszego nowego problemu. Zdaniem żony kamerdynera, hrabina może być przy nadziei.

Cooper sprawnie, ale bez popisywania się skręcił do Hyde Parku i wpasował się między inne powozy. Dany w najśmielszych marzeniach nie sądziła, że bohater może być tak skromny. Coop po prostu wkraczał do akcji, gdy sytuacja tego wymagała, dokonywał heroiczych czynów i ponownie usuwał się w cień.

- Doprawdy. Przy nadziei - powtórzył. - No cóż, panno Foster, to raczej nie jest odpowiedni temat naszej rozmowy. Poprawka - to z całą pewnością nie jest odpowiedni temat. Ponieważ jednak nie wątpię, że go pani poruszy, pozwolę sobie zainteresować się, czy powstał problem... opóźnienia?

- Dobrze, że pan pyta - odetchnęła Dany. - Zastanawiałam się, jak poruszyć ten temat kulturalnie i z gracją. Tak, właśnie na to wygląda. Zapewne tylko pani Timmerly wie to na pewno, gdyż jak mniemam, Mari dopiero dzisiaj połapała się w sytuacji. Jak zatem pan widzi, w tym momencie jest dla nas podwójnie ważne, by udało się wytropić szantażystę i odzyskać napisane przez Mari listy. Oliver nie może się dowiedzieć...Ba, nie może nawet pomyśleć, że mógłby zostać...

- Zdradzony? - dokończył za nią Coop.

Popatrzyła na niego z determinacją w oczach.

- Chyba oboje wiemy, w czym rzecz - mruknęła. - Doszłam do wniosku, że powinien pan o tym wiedzieć, skoro podjęliśmy tak ścisłą współpracę, która prędko się nie skończy.

- Podjęliśmy współpracę? - powtórzył powoli. - Nie przypominam sobie, żebym wyraził zgodę na jakiegokolwiek partnerstwo.

Nie pierwszy raz przyszło jej do głowy, że mężczyźni bywają irytująco tępawi.

- A czy ma pan wybór? - zapytała.

- Nie mam wyboru? Doprawdy? Wobec tego może zechciałyby pani mnie oświecić?

- Ależ jak najbardziej. Dla pełnej jasności spieszę podkreślić, że pana nie lubię. Owszem, mogę pana podziwiać, a nawet, nie kryję, dostrzegam w panu pewien powab, niemniej pana nie lubię. Ponad wszelką wątpliwość nie podoba się panu, że przybyłam do pana z prośbą o wsparcie i z lubością wprawia mnie pan w zakłopotanie.

- Wet za wet, panno Foster. Ani przez chwilę nie miałem spokoju, odkąd rzuciła się pani na mnie na Bond Street.

- Wcale się na pana... - zaprotestowała z oburzeniem, ale na widok jego miny umilkła. - Ach, uśmiecha się pan. Chyba powinienam częściej spoglądać na pana.

- Albo rzadziej przebywać w moim towarzystwie - odparł. - Właściwie na cóż takiego pani patrzy? Z pewnością nie zwraca pani uwagi na innych spacerowiczów, gdyż skomentowałyby pani ich w taki czy inny sposób. W okolicy da się zauważyć niemało egzotycznych ptaków o imponującym upierzeniu.

- Ptaków? - Rozejrzała się zdumiona. - O matko, czy ten jegoś na dużym siwku jedzie z papugą na ramieniu? Cóż za osobliwy pomysł.

- Osobliwy to niedomówienie, panno Foster. - Cooper uśmiechnął się na wspomnienie niezbyt odległej przeszłości. - Któregoś dnia chętnie opowiem pani dość zabawną historię o tym, jak to się stało, że spętane i pozamykane w klatkach ptaki nadal bywają pokazywane w Mayfair przez tych zbyt mało inteligentnych, aby się połapać w dowcipie. Nasi skrzydlaci przyjaciele szczęśliwie zdążyli już wyjść z mody.

- Tak, niech pan o tym opowie. - Dany nie interesowała się ptakami, ani modnymi, ani niemodnymi. - Ale dlaczego ludzie robią coś takiego? Przecież to tylko naśladowanie innych.

- Chodzi o to, moja droga panno z prowincji, że ludzie zauważają i pragną zostać zauważeni. Dla przykładu, pani pokazuje się w tej chwili w towarzystwie bohatera spod Quatre Bras i uczest-

nika kilkunastu całkowicie fikcyjnych brawurowych wyskoków tutaj, w Londynie. Nawet teraz ludzie szepczą między sobą. Zastanawiają się, kim ona jest, czy on ją uratował, czy jest dziewczką. Nie wiedzą, czy powinni przystanąć i o to spytać, czy też bohater poczuje się urażony ich wścibstwem.

- Co za absurd - obruszyła się.

- Podobnie jak większość rzeczy, które tyczą towarzystwa, panno Foster. Proszę jednak pamiętać, że to był pani pomysł.

- Ma pan słuszność - przyznała po krótkim namyśle. - To ja na to wpadłam. Przyszło mi do głowy, że będzie ciekawie. Chciałam pokazać się w nowym czepku, a nie mogłam, gdyż skróciłam sobie włosy. Nawet to czako, które teraz noszę, trzeba było wypchać papierami, żeby nie opadało mi na uszy. Miałam ich całą furę.

- Uszu? Czy papierów?

- Włosów, naturalnie. Hodowałam je latami, na polecenie mamy. Czy ma pan pojęcie, ile kłopotu mogą sprawiać włosy? - Spojrzała na niego.

- Niezupełnie. Czy ten kłopot jest porównywalny z uciążliwością wypychania czepków papierami?

- Czepki się nosi od czasu do czasu, a włosy nieustannie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Tak czy owak, to, co zostało po mojej wcześniejszej fryzurze, jest chyba całkiem atrakcyjne, a już na pewno inne.

- Tak, inne. No dobrze, gawędzimy sobie o tym i o owym, a przecież mamy konkretną sprawę do przedyskutowania. Choć nie wiem, za jakie grzechy - dodał cicho.

Mimo to zdołała go usłyszeć.

- A jakie grzechy pan popełnił? - zaciekawiała się. - Jeśli o mnie chodzi, z całą pewnością nie dopuściłam się żadnych, a przynajmniej nie były one związane z piwem, którego nawarzyła sobie moja siostra. Co nie oznacza, że uważam się za nieomylny ideał.

Cooper wyjechał z parku równie sprawnie, jak do niego wjechał i po chwili ponownie jechali ulicą.

- Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że nie wygłoszę teraz rycerskich peanów na temat pani doskonałości? - spytał z ledwie skrywaną kpinią w głosie.

- Pozwolę sobie puścić pańską uwagę mimo uszu. A tak na marginesie, chyba coraz lepiej się rozumiemy, nieprawdaż, wasza lordowska mość? - Uśmiechnęła się wbrew sobie.

Nie odrywał wzroku od drogi przed sobą i wydawał się całkowicie skupiony na powożeniu, niemniej zauważyła, że lekko uniół brew, jakby chciał wyrazić zdumienie.

- Czy ta świadomość jest dla pani tak samo przerażająca jak dla mnie? - zapytał i skierował powóz w jedną z wąskich uliczek.

- Sama nie wiem. - Zawahała się. - Przynajmniej nie musimy marnować czasu i strzępić sobie języków na uprzejme pogawędki. To chyba dobrze, gdyż nie mamy czasu do stracenia. Oliver już za niespełna dwa tygodnie przyjedzie do domu.

- Zgadzam się, że pośpiech jest wskazany. Lada moment otrzymamy kolejny list od szantażysty.

- Tak, a to oznacza, że musi pan ponownie rozważyć możliwość skorzystania z punktu obserwacyjnego w mojej sypialni. Dokąd jedziemy? - zainteresowała się nieoczekiwanie. - Nie obawiam się, że zamierza pan narazić na szwank moją reputację, ale jeśli chce się pan udać w jakieś konkretne miejsce, proponuję nie wracać jeszcze na Portman Square, gdyż nadal mamy sporo spraw do omówienia.

- Więcej, niż mogłaby pani sobie wyobrazić, panno Foster. - Coop zatrzymał dwukólkę przed starym kościołem, wciśniętym między pasmanterię i sklep tytoniowy, a następnie zaciągnął hamulec i owinał wokół niego wodze. - Proszę pozostać na miejscu. Teraz wysiądę, obejdę powóz i pomogę pani zejść. Tak nakazuje obyczaj, a poza tym nie powinna pani próbować samodzielnego zeskakiwania na ziemię.

- Poradziłabym sobie.

- Wcale w to nie wątpię. - Westchnął ciężko. - Po prostu... proszę tego nie robić.

Powiodła za nim spojrzeniem, kiedy obchodził dwukólkę od tyłu, i zauważyła, jak rzuca monetę młodzieńcowi, który zjawił się znikąd i zaproponował, że „podogłąda koników”.

- Może jednak trzeba było zabrać stajennego - zauważyła, gdy Coop pomógł jej zejść na nierówny chodnik.

- Stajenny w liberii niewątpliwie wygląda widowiskowo i dlate-

go wozi się ich na pokaz. Poza tym pożytku z nich niewiele, chyba że ktoś zatrudni podstarzałego pięściarza, ale taki nie wygląda dobrze w liberii. W tej okolicy Harry nie poradziłby sobie przez pięć minut. Zmieniając temat – nadal nie wiem, jakie ma pani inne talenty poza doliniarstwem.

- Słucham? - Zamrugła z oburzeniem. - To nie jest w porządku. Przypominam, że tylko odebrałam moją własność. Czy ma pan jakieś konkretne talenty na myśli?

- Na przykład aktorski. Żywię nadzieję, że bez trudu przychodzi pani konfabulowanie i plecenie koszałek-opałek.

- Owszem, zdarzało mi się uciekać do plecenia andronów – przyznała i uniosła głowę. - Ale tylko dlatego, że czasem bywa to przejawem życzliwości i współczucia. Zwłaszcza wtedy, gdy czyjaś matka zadaje nader niefortunne pytania.

- Doskonale. Nieugięta uczciwość i twarda prawdomówność nie na wiele by się nam przydały w obecnej sytuacji. - Nadstawił ramię. - Czy możemy przejść w ustronne miejsce, z dala od przechodniów?

Dany pomyślała, że jak najbardziej, i natychmiast dotarło do niej, że nie powinna przebywać w tej okolicy, a już na pewno nie z tym człowiekiem. Zachowywali się podejrzanie, kryjąc się po ciemnych zaułkach. Jak mogła choć przez chwilę sądzić, że baron jest poważnym i statecznym mężczyzną? Przecież świetnie się bawili.

- Kaplica zazwyczaj stoi pusta, jeśli nie liczyć sporadycznych ślubów, ale znajdujące się w niej freski są znakomite i świetnie zachowane. Ciotka Mildred powiedziała, że koniecznie powinniśmy je obejrzeć przed wyjazdem z Londynu.

Ciotka Mildred? Ach, więc nastał czas koszałek-opałek.

- A zatem bardzo niedobrze, że mnie nie uprzedziłeś – zwróciła się do niego z wyrzutem. - Mogłam przecież wziąć szkicownik. Zawsze byłeś taki roztrzepany, kuzynie Mortimerze. Tylko z tego względu zamierzam szczegółowo obejrzeć każdy fresk z osobna i będziesz skazany na opiekę nade mną jeszcze przez co najmniej godzinę. Dopiero potem będziesz mógł odejść do swoich pożałuj Boże przyjaciół.

Baron mrugnął do niej porozumiewawczo, wiedząc już na pew-

no, że Dany będzie dla niego wsparciem, a nie przeszkodą.

Weszli po schodkach, a gdy zatrzymali się przed wspaniale rzeźbionymi, podwójnymi drzwiami, Cooper wręczył pensa staruszkowi, który siedział tam na drewnianym stołku. Co zastanawiające, starzec nie wydawał się ani trochę zdumiony, że ktoś zjawia się o tak późnej porze.

- Odkąd sięgam pamięcią, zawsze brakowało ci rozumu, kuzynko Gertrudo - odparł głosem stosownie nasyconym niesmakiem, gdy staruszek powoli wstawał i otwierał jedne z drzwi. - Jak miemam, zaraz zażądasz, bym ponownie przywiózł cię tu jutro, a tego nie uczynię, nawet jeśli spróbujesz błagać mnie na kolana.

Staruszek odkaszlnął, po czym powiedział:

- Za pozwoleniem, jaśnie panienko, w środku są kartki papieru oraz węgiel do rysowania dla tych, którzy pragną zrobić frotaż kamieni nagrobnych na tyłach kaplicy. Co poniektóre z naszych nagrobków są naprawdę bardzo ładne, naprawdę. A kosztuje to ledwie pensa za pięć sztuk.

Dany szeroko uśmiechnęła się do dozorczy.

- Dziękujemy panu ogromnie - powiedziała z wyraźną sympatią w głosie. - Kuzynie, nie stój jak ciele, którym jesteś. Daj panu pensa, przecież to nie lada okazja.

- Potrzebujesz jeszcze więcej papieru do wypychania czepków? - zainteresował się złośliwie, ale sięgnął do sakiewki. - Masz tutaj, dobry człowieku, sześć pensów dla ciebie. Będziemy wdzięczni, jeśli nikt nam nie przeszkodzi.

- Ci, co tu bywają, wolą zajmować się sobą niż innymi - wymamrotał staruszek i jakby nigdy nic powrócił na swój stołek.

Cooper chwycił Dany za rękę i pociągnął ją do środka, zanim zdążyła zapytać dziadka, co miał na myśli.

Ledwie zamknęli za sobą drzwi, gdy Dany popatrzyła na Coopera i wybuchnęła śmiechem.

- Słyszałeś? - zapytała ze szczerym rozbawieniem. Korzystając z sytuacji, postanowiła darować sobie formalności. - To miejsce schadzek, prawda? Staruszek niemal powiedział to wprost. Czyżbyś należał do grona stałych bywalców tej kaplicy?

W środku paliło się ledwie kilka świeczek, a witraże prawie nie

przepuszczają światła z zewnątrz. Coop chwycił dłoń Dany i zaprowadził ją do ławki pod jedną ze ścian.

- Prawdę powiedziawszy, sądziłem, że jestem w tym oryginalny - odparł szczerze. - Proszę, zajmij miejsce. Kłamiesz stanowczo nazbyt gładko jak na mój gust, Gertrudo.

- Gertie. Wolę, kiedy mówi się do mnie Gertie. Zatem nie masz, że dozorca nam nie uwierzył?

- A ty sądzisz, że uwierzył?

Dany zastanawiała się przez moment.

- Nie mam pewności - odparła w końcu. - Nie chciałabym być uważana za kobietę rozwiązłą ani też równie głupią jak moja siostra. Ona niewątpliwie doszłaby do wniosku, że schadzka z nieznanym wielbicielem w starej kaplicy to szczyt romantyzmu. W obu wypadkach na szuję wychodzisz ty, niestety. Wstydź się, kuzynie.

Coop zasiadł u jej boku.

- Masz nerwy jak postronki, nieprawdaż? - spytał.

- Można tak to ująć - przyznała. - Tata się zaklina, że jestem kukułczym podrzutkiem. Słyszałeś o kukułkach, prawda? O tym, że składają jajka w gniazdach innych ptaków? Gdyby moja babka cioteczna ze strony ojca, Isobel, nie miała równie koszmarnej barwy włosów, mama z pewnością musiałaby się gęsto tłumaczyć. I nie patrz na mnie takim wzrokiem. Owszem, w ten sposób dowiedziałam się niemało o... uzurpacji. Brat wszystko mi wyjaśnił. Czy możemy więc przejść do sedna sprawy? O której się spotkamy przy wejściu dla dostawców? Timmerly zamyka wszystkie drzwi o północy, ale udało mi się znaleźć dodatkowy klucz do bocznych, które prowadzą do kuchni. Emmaline po prostu wpuści cię do środka, a ty przekradniesz się schodami dla służby.

- Nie zamierzam wślizgiwać się do twojej sypialni.

- Przecież już ci wszystko wyjaśniłam i zgodziliśmy się, że czas odgrywa kluczową rolę - upierała się Dany. - Nikt się o niczym nie dowie, a Emmaline potrafi zachować dyskrecję. Nie ma innego sposobu.

- Wręcz przeciwnie, istnieje inny sposób. Proszę mnie posłuchać, panno Foster, gdyż goni nas czas - zniecierpliwił się Coop.

- Skąd ten nagły dystans? Teraz jesteśmy konspiratorami. Bardzo proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. Jestem Dany. Tak będzie znacznie prościej.

- Czas mija - burknął chłodno, a w jego zielonych oczach dostrzegła frustrację.

- Tik tak, tik tak. Rozumiem, choć zastanawiam się, czy do ciebie to dotarło. Mów dalej.

- Puszczam twoje słowa mimo uszu. A teraz pozwól, że przybliżę ci zasady, których będziemy przestrzegać. Przede wszystkim nie ma mowy o tworzeniu zakamuflowanych ośrodków obserwacyjnych. Dotyczy to ciebie, mnie, a także wszelkich kombinacji osób trzecich, z których żadna nie mogłaby zostać uznana za przyzwoitkę, nawet przy nader bogatej wyobraźni oceniającego.

- Czy to dotyczy także arcybiskupa Canterbury? - spytała Dany, nie mogąc oprzeć się pokusie.

Cooper wyglądał całkiem przystojnie ze zdesperowaną i sfrustrowaną miną. Gdyby był jej bratem, zapewne strzeliłby ją w ucho lub zdecydował się na równie przykrą naganę. Nie był nim jednak, a wyższe sfery przymusiły go do traktowania jej jak młodą, szlachetnie urodzoną damę. Niestety, Dany nie miała pojęcia, jak powinna się zachowywać młoda, szlachetnie urodzona dama.

A mówiąc ściślej, po latach nauki miała o tym pojęcie, lecz nie chciała się stosować do reguł, gdyż ich łamanie sprawiało jej olbrzymią przyjemność.

- Chwilowo zrezygnujemy z poszukiwania odpowiedzi na to pytanie - odparł sztywno. - Druga sprawa. Nie prosiłem się o to zadanie, nie domagałem się go i go nie chcę. To ty i twoje chybione pomysły sprawiły, że teraz borykam się z trudnościami, których dotąd nie znałem. Podsumowując - to ja podejmuję decyzje związane z tym, co robić, żeby pomóc hrabinie.

Zrozumiała, że tym razem to on staje okoniem. Musiała zareagować. Natychmiast splotła dłonie, przycisnęła je do piersi i za-trzepotała rzęsami.

- Mój bohaterze... - westchnęła z nabożną czcią. - Szczerze się obawiam, że mogę omdleć z wrażenia.

W końcu się uśmiechnął. Nawet jeśli mimo wszystko okazałby

się człowiekiem statecznym i pełnym powagi, to przynajmniej wiedziała już, jak go rozśmieszyć.

- Żadną miarą nie będę cię powstrzymywał - odparł. - Jestem przekonany, że w tym wazonie z przywiedłym bukietem pozostało jeszcze trochę wody. Zamierzam wylać ją w całości na twoją wypchaną papierem łepetynę. To będzie moja jedyna przyjemność, odkąd wstałem dzisiejszego ranka.

Dany doszła do wniosku, że chyba jednak nie był aż tak rozbawiony, jak sądziła. Zapewne tylko delektował się perspektywą zemsty za to, na co go naraziła - a musiała przyznać, że naraziła go na całkiem sporo.

- Ponad wszelką wątpliwość wstałeś dziś lewą nogą. - Wiedziała, kiedy się wycofać. Tym razem zabrnęła zdecydowanie za daleko. - Doskonale, przepraszam. Nie będę ci już przeszkadzać. Oddajesz mnie i Mari wielką przysługę, a ja rewanżuję ci się zmartwieniami i kłopotami. Niemniej jednak nie musisz zachowywać się tak niegodziwie - dodała, zanim zdążyła ugryźć się w język. - Staram się pomagać, nic ponadto.

Coop wstał, odszedł kilka kroków od ławki, a następnie odwrócił się do Dany.

- Wiem i tym trudniej jest mi powiedzieć to, co zaraz usłyszysz - oświadczył. - Sądzisz, że pomagasz, a raczej jesteś przekonana, że mogłabyś być pomocna. Powiedz, czy twoim zdaniem znalazłbym się w trudniejszej sytuacji, gdybym nie uwzględnił cię w swoich planach?

Dany natychmiast zerwała się z miejsca.

- Wiedziałam, że jesteś jedyny w swoim rodzaju - burknęła. - Dotąd nikt nie zadał mi tego pytania.

- Ale i tak wszyscy otrzymali odpowiedź, prawda? - zapytał z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

- W rzeczy samej, otrzymali. Obawiam się, że w niczym nie przypominam ani Mari, ani mamy, ani też większości kobiet. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym potulnie pochylać się nad haftem, kiedy działałoby się coś naprawdę ważnego. To zwyczajnie wbrew mojej naturze. Bezczyenne oczekiwanie, być może w połączeniu z modłami w jakiejś kaplicy, najzwyczajniej w świecie doprowadziłoby mnie do szaleństwa.

- Tropię drobnego szantażystę - zauważył chłodno. - Nie wybieram się na wyprawę krzyżową z twoją chustką przywiązaną do rękawa.

- Nie kpij sobie, proszę - nadała się. - Ale skoro już mowa o szantażystach, co teraz zrobimy? I proszę cię, nie mów tylko, że dołączy do nas wicehrabia. Nie wierzę, że mógłby z należytą powagą zaangażować się w naszą sprawę.

- Uprzedził mnie, że to powiesz. Obawiam się jednak, że raczej nie mamy wyboru. Proponuję, żebyś ponownie usiadła.

- Dziękuję, postoję.

- Jak sobie życzysz. - Podrapał się za uchem. - Chyba mogę dać ci przyzwolenie na pewną dozę uporów, kiedy nie ma on wpływu na moje poczynania.

Dany dumnie uniosła głowę.

- Proponuję, żebyś przeszedł do rzeczy i przestał wreszcie skupiać się na kwestii mojego uporów - powiedziała.

- Jako osoba podejmująca w tym gronie decyzje w sposób naturalny zakładam, że będziesz wykonywała moje polecenia - ciągnął Coop. - Nie wolno ci ich ignorować, masz zakaz improwizowania i z całą stanowczością zabraniam ci kwestionowania moich słów. Powstrzymasz się od wymyślania rzekomo lepszych rozwiązań i nie będziesz wykazywała się samodzielnością. Nie mam ochoty cię szukać, kiedy się zgubisz.

- Z prawdziwą przykrością spieszę zauważyć, że zachowujesz się bardziej jak tyran niż jak bohater. - Westchnęła. - Mimo to muszę przyjąć do wiadomości twoje słowa. Wiedziałeś, że zaakceptuję te warunki, gdyż nie mam innego wyboru. Ten tykający zegar jest niczym nóż na gardle, rozumiesz.

- Dziękuję za te krzepiące słowa. Niestety, dano mi do zrozumienia, i to w sposób niepozostawiający najmniejszych wątpliwości, że i ja nie mam wyboru w związku z twoją osobą. Tak się składa, że nie tylko twoja siostra jest szantażowana. Ja również padłem ofiarą jej cichego wielbiciela.

Dany usiadła tak szybko, że gdyby nie złapała się krawędzi ławki, z pewnością by się przewróciła.

- Słucham? - wyjąkała. - Czy dobrze usłyszałam? Szantażuje cię ten sam drań?

Cooper wznosił oczy ku sufitowi kaplicy, jakby ponownie rozważał swoje słowa.

- Nasz szantażysta odbiera pieniądze nieostrożnej, lecz niewinnej hrabinie, a pod moim adresem kieruje pogróżki, których treść nie powinna cię interesować - odparł. - To chyba jasne.

- Niezupełnie. - Pokręciła głową. - Raczej nie. Czyżbyś nie był bohaterem w każdym calu?

- W ogóle nie jestem bohaterem. Zrobiłem tylko to, co w swoim czasie wydawało się naturalne i oczywiste. Gdyby nie te przeklęte książeczki, byłbym teraz w swojej posiadłości, gdzie zgłębiałbym tajniki uprawy rzepy. Z pewnością już dawno temu wymazałbym z pamięci sprawę Quatre Bras. - Przycesał włosy palcami i ten gest wydał się Dany uroczy. - Przykro mi. Naprawdę nie musisz wiedzieć, dlaczego padłem ofiarą szantażu. Istotne jest tylko to, że ta sama osoba prześladowa twoją siostrę i zapewne nie tylko ją.

- Dlaczego sądzisz, że ten szantażysta nęka jeszcze innych ludzi, nie tylko was dwoje?

Ponownie usiadł obok niej, żeby wyjaśnić, co o tym myśli. Zdaniem Coopa i wicehrabiego szantażysta sporządził listę ofiar, niewątpliwie przy pomocy tych, których najął do kradzieży tajemnic.

- W grę wchodzi służba, karczmarki, sklepikarze - oznajmił. - Jego najbardziej prawdopodobni sprzymierzeńcy wywodzą się z Bond Street, ze sklepów i miejsc, w których bywają wyższe sfery.

- Sklepikarze z Bond Street? - wyszeptała Dany z przejęciem, a po jej plecach przebiegł dreszcz. - Niemożliwe. Przecież była bardzo usłużna. A może zbyt usłużna? W istocie, dziwnie długo kręciła się za zasłoną, a do tego odprawiła pokojówkę Mari. I jeszcze tak gładko mówiła... Jak mogłam być taka głupia!

- Czy dobrze się bawisz, kiedy tak rozmawiasz sama ze sobą? Niech zgadnę... chyba nie. Jak rozumiem, myślisz o pewnej całkiem konkretnej sklepikarce.

Dany nie wytrzymała. Musiała zerwać się z miejsca i pospacerować kilka razy od ściany do ściany.

- I owszem, jak najbardziej - przytaknęła. - Chodzi mi o właścicielkę małego, ale dobrze prosperującego zakładu krawieckiego

i sklepu usytuowanego właśnie przy Bond Street. Dzisiaj rano, gdy prowadziłam jak najbardziej osobistą rozmowę z Mari, ta kobieta przez cały czas podsłuchiwała za zasłoną. Wówczas nie przejęłam się tym zbyt, ale teraz widzę, że jej zachowanie powinno być mi do myślenia. Otrzymałam od niej książeczkę wraz z wyraźną sugestią, że mojej siostrze przydałby się bohater z prawdziwego zdarzenia, a konkretnie... ty. Poza tym powiedziała nam, że Mari jest przy nadziei.

- Czy mogę spytać, skąd, u licha, ta kobieta mogła dysponować taką informacją? - Wstał, skupiając całą uwagę na Dany.

- Nie mogła tego wiedzieć. Ścisłe rzecz biorąc, powiedziała, że jej zdaniem Mari... chociaż my nie wspomnieliśmy o tym ani słowem. Teraz jednak wiemy, że miała rację. Jeśli zatem jest na usługach tego wstrętnego szantażysty, to teraz on wie jeszcze więcej i może tym bardziej zaszkodzić Mari. Moja siostra musi w tej chwili bardzo na siebie uważać i szczególnie dbać o zdrowie, a taka sytuacja... Zróbmy coś, na litość boską! - Chwyliła go za rękę. - Sklepy są jeszcze otwarte, prawda? Szybko, nie mamy chwili do stracenia. Trzeba koniecznie działać.

Cooper spojrzał na ich splecione dłonie.

- Cóż, trwało to dłużej, niż zakładałem - mruknął. - Chyba nawet dobrą minutę.

- Co masz na myśli? Och... - Dany nerwowo cofnęła rękę i uśmiechnęła się nieśmiało. - Zapomniałam...

- To całkowicie zrozumiałe - zauważył. - Nietrudno zapomnieć o czymś, czego wcale nie chce się pamiętać.

- To nie tak - zaprzeczyła. - Po prostu... byłam zbyt przejęta. A jeśli mimowolnie pogorszyliśmy sytuację Mari?

- Twoja siostra zaangażowała się w tę sprawę na długo, zanim ty się wtrąciłaś - odparł, a Dany nieco się uspokoiła.

- Chyba masz rację - przyznała. - Zjawiłam się w mieście zaledwie kilka dni temu.

- To także tłumaczy twoją niewiedzę na temat ptaków Gabe'a. Właściwie cieszę się, że to cię ominęło.

- A ty znowu o tych ptakach. Jeśli nie są istotne dla obecnego tematu, a śmiem twierdzić, że nie są, to czy możemy powrócić do sedna sprawy? Padłeś ofiarą szantażu, podobnie jak Mary i za-

pewne jeszcze więcej osób, jeśli się nie mylisz. Ciekawe, ilu ludzi w Mayfair wziął na cel ten niegodziwiec?

- Podejrzewam, że nawet kilkudziesięciu - odparł. - Trudno to jednak będzie zweryfikować. Przecież nie możemy prosić, kogo popadnie, by się przyznał do tak krępującej sytuacji.

- W istocie, byłoby to dość trudne. „Dobry wieczór, wasza lordowska mość. Za pozwoleniem, ale skąd ten smutny grymas na ustach? Czyżby wielmożny pan się trapił, gdyż jest szantażowany po tym, jak sprzedał brylanty żony, a w ich miejsce podłożył szkiełka?”

- W ten sposób szybko zapracowałamby na złamany nos - zauważył Cooper z uśmiechem.

- A pani Yothers, właścicielka sklepu z sukniami i zakładu krawieckiego? Czy i z nią nie możemy porozmawiać?

Cooper zamarł na ułamek sekundy.

- Czy dobrze usłyszałem? - zapytał powoli. - Powiedziałaś „pani Yothers”?

- Owszem - potwierdziła Dany i skierowała na niego uważne spojrzenie. - Dlaczego pytasz? Czyżbyś znał to nazwisko?

- Słyszałem, jak ktoś je wymienił, i to całkiem niedawno. To przesądza sprawę. Teraz już nie ma odwrotu. Chciałem zaproponować, żebyśmy poszli, ale w takiej sytuacji lepiej będzie, jeśli ponownie usiądziemy.

- Nie ma odwrotu? Od czego? - Zamrugła. - Spędziliśmy tutaj już dobry kwadrans. Nawet taka prowincjonalna prostytutka jak ja wie, że przekroczyliśmy granice przyzwoitości samym przyjściem w to miejsce. Czy twoim zdaniem to rozsądne, byśmy pozostawali tu jeszcze dłużej?

- W zaistniałych okolicznościach już się tym nie przejmuję - odparł sztywno.

- W jakich okolicznościach?

- Do diaska, Dany, usiądź wreszcie! - zirytował się.

- No cóż... - Uśmiechnęła się do niego szeroko. - Skoro tak ładnie prosisz, to chyba ci ustąpię.

Pomyślała, że jego zielone oczy cudownie błyszczą, kiedy się na nią złości. Był naprawdę uroczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Coop patrzył, jak Dany siada, starannie poprawia suknię, a następnie składa dłonie w małydrzyk, jakby za moment miała pociągnąć za niewidzialny sznur od dzwonka i przywołać służbę z herbatą i ciastkami.

Wyobrażał sobie, że niektórzy wzięliby takie zachowanie za uległość, ale nawet po tak krótkiej znajomości był absolutnie pewien, że Daniella Foster nie uznaje tego słowa.

Zerknął na kieszonkowy zegarek. Minęło dopiero dziesięć minut, choć w obecności Dany czas płynął wyjątkowo szybko.

- Coś wiesz, prawda? - zapytała domyślnie. - Coś wiesz i to nie jest nic dobrego, w dodatku zastanawiasz się, jak mi to zakomunikować. Dlatego mnie tu sprowadziłeś. Od dłuższego czasu usiłujesz znaleźć sposób na wyjawienie mi czegoś, co w gruncie rzeczy wolałbyś zataić. Chodzi o Olivera, prawda? Słyszałeś, że wraca do domu wcześniej, niż należało się spodziewać.

- O Olivera? - Coop dopiero po chwili zrozumiał, o co jej chodzi. - Nie, w tej chwili nie myślę o lordzie Cockermouth. Rzecz w tym, że mamy coraz mniej czasu na wytropienie szantażysty.

- Nie wyjawiałeś mi szczegółów swojego problemu w związku z tym niegodziwcem - przypomniała mu.

- Chodzi o tego samego człowieka. Nie musisz wiedzieć nic więcej.

- Może i nie muszę wiedzieć więcej, ale chcę. Jestem całkowicie pewna, że to byłoby nieporównanie ciekawsze niż doświadczenia Mari.

- Nie sądzę. Wbrew temu, co twierdzi mój anonimowy biograf, nie wdałem się w żaden romans.

- Czy to możliwe? - Nawet nie kryła niedowierzania. - Twoja historia nie ma nic wspólnego z kobietą? Przyznam uczciwie, że nie tego oczekiwałam. Wątpię, byś chronił wyłącznie siebie i nie zaprzeczaj, proszę, gdyż wiem swoje. Nikt nie uwierzy w bajecz-

kę dotyczącą pierścienia. Żadna kobieta nie oddałaby tak cennego przedmiotu służbie w ramach podziękowania. I jeszcze kwestia księcia regenta. Wiem, że jesteś bohaterem, ale żeby zaraz ofiarowywać ci tytuł i posiadłość? To nie lada nagroda. A może „nagroda” to nieodpowiednie słowo?

Coop skierował na nią surowe spojrzenie i zacisnął pięści. Miał wiele problemów z Dany, a jednym z nich była jej nadmierna inteligencja. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś, co dałoby jej do myślenia, ale nie udało mu się dobrać słów.

- Ile masz lat? - zapytał tylko.

- Siedemnaście - odparła bez namysłu. - Jestem trochę za stara jak na debiut wiosną przyszłego roku, ale powszechnie uznano, że już teraz powinnam oswoić się z salonami, nim pojawię się na nich za kilka miesięcy.

Mówiła spokojnie, rzeczowo i bez niechęci, a uśmiech ani na moment nie zniknął z jej ust.

- Nie wierzę ci - oznajmił bez ogródek Coop.

Dany demonstracyjnie przyłożyła dłonie do policzków.

- Ależ dlaczego? - zapytała z udawanym oburzeniem. - Czyżbyś uważał, że jestem zbyt wiekowa na zamążpójście? Naprawdę masz mnie za staruchę? Może dostrzegłeś na mojej twarzy zmarszczkę, której sama nie zauważyłam? Mów natychmiast.

- Nie, nie w tym rzecz. - Coop poczuł, że jego policzki płoną. - Najmocniej przepraszam. Po prostu... Trudno uwierzyć, że jesteś taka młoda. To znaczy, kiedy mówisz. Wybacz. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że mam za sobą męczący dzień.

- Nie tłumacz się. - Dany wzruszyła ramionami. - Mówiłam w domu, że nikt z choćby odrobiną oleju w głowie nie uwierzy w takie banialuki, ale się uparli. Czy prawda jest naprawdę taka ważna?

- Nie dla świata.

- A dla ciebie?

- Zapewne też nie, choć jej świadomość daje mi pewną satysfakcję. Liczę tylko na to, że nie masz szesnastu lat.

- Doprawdy. - Przyjrzała mu się uważnie. - Interesujące. Z twojego punktu widzenia jeden rok mógłby aż tyle zmienić?

- Tak sobie myślę, że nawet centymetr lub dwa mogą mieć zna-

czenie, jeśli na przykład w grę wchodzi nos – zażartował Coop.

Z coraz większym trudem zachowywał powagę, widząc, jak Dany zezuje, usiłując ocenić długość swojego nosa, który prezentował się po prostu uroczo, wręcz doskonale.

- Jedzenie zupy i popijanie wina to istotny problem dla osób obdarzonych wielkim nochem, prawda? - Pokiwała głową. - Rozumiem, w czym rzecz. Wiek zasadniczo nie jest problemem. Problemem jest to, do czego ten wiek się odnosi. - Podrapała się za uchem. - Nie, chyba jednak nadal nie rozumiem. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale mój papa nieco za bardzo wciągnął się w hazard, a nim się otrząsnął i stać go było na wyeksponowanie mnie w czymś odrobinę lepszym niż sfatygowane suknie po Mari, miałam czelność postarzyć się o okrągłe dwa lata.

- A zatem masz dziewiętnaście lub prawie dwadzieścia lat? - Coop odetchnął z wyraźną ulgą i nieco się odprężył.

- W styczniu skończę dwadzieścia jeden, gdyż przykrym trafem straciłam rok z powodu złamanej nogi. Co prawda, nie należała ona do mnie, tylko do mojej mamy, niemniej fakt pozostaje faktem. Mari była świeżo po ślubie, więc mama doszła do wniosku, że tak niedoświadczona osoba nie może się mną zajmować. Jak sądzę, mamie zrobiło się już wszystko jedno, więc teraz cieszę się większą swobodą. Czy naprawdę uważasz, że wiek cokolwiek znaczy? Moi rodzice, a także Mari, kazali mi przysiąc, że dochoвам tajemnicy. Powiedzieli, że zaprzepaszczę swoje szanse na korzystne zamążpójście, jeśli wieść się rozejdzie. To także tłumaczy, dlaczego Dexter, mój gadatliwy brat, został wysłany w podróż na kontynent w towarzystwie swoich beznadziejnych przyjaciół.

- Jego wielki objazd Europy raczej nie może trwać wiecznie - zauważył z uśmiechem Coop.

- Otóż to! Niestety, to jeden z argumentów, które ani trochę nie trafiły moim rodzicom do przekonania. Czyżbym naprawdę była wyjątkowo mądra jak na swój wiek?

- Mądra? Nie przypominam sobie, bym cokolwiek mówił o twojej mądrości. - Udał, że się zastanawia. - Powiedziałbym, że jak na debiutantkę sprawiasz wyjątkowo dużo kłopotów.

- Doprawdy? - nadała się Dany. - W takim razie może ze-

chciałbyś wyjawić mi, jakie cechy są pożądane u debiutantki?

- Nic nadzwyczajnego, jak sądzę. - Zerknął na nią z ukosa. - Powinna być słodka i posłuszna, nieśmiała i skromna.

- Kokieteryjna? - podsunęła mu Dany. - Ze skłonnością do chichotania? Jak pisał Byron, nie powinna pachnieć niczym poza chlebem i masłem? Musi płynnie rozmawiać o sytuacji atmosferycznej i trafnie oceniać, czy pogoda jest ładna, czy też zanoszą się na deszcz albo na upał?

Coop nieoczekiwanie uświadomił sobie, że mógłby godzinami rozmawiać z Dany o wszystkim i o niczym.

- Pamiętaj, że damy z wyższych sfer nie uznają upału - zauważył. - Ich zdaniem może być co najwyżej ciepło.

- Rzeczywiście, dobrze, że mi przypomniałeś. Na tej samej zasadzie damy się nie pocą, tylko co najwyżej wilgotnieją. Nawet na środku pustyni - dodała. - Jednak biorąc pod uwagę wszystkie czynniki, śmiem twierdzić, że lepiej ci będzie ze mną niż beze mnie.

- Tak, chyba jednak masz słuszość - mruknął Coop.

W tym samym momencie ciężkie drzwi kaplicy się uchyliły, a za nimi dało się słyszeć głosy.

- Aha! - wykrzyknęła jakaś kobieta. - Basilu, chodźże tu! Spójrz, co znalazłam. Co za szkoda, co za szkoda...

Dany odwróciła się, by spojrzeć na intruzów, ale Cooper chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, po czym pocałował prosto w usta. Jak później wspominał, równie dobrze mógłby przyciskać wargi do drewnianego słupa.

- Basilu, czy ich widzisz? - wrzasnęła dama, czyli księżna Cranbrook we własnej osobie. - Toż to syn Minerwy i jakieś nieszczęsne dziewczę! A niech mnie kule biją... Bohater spod Quatre Bras. Rozpoznałam go natychmiast z książki. Przyszli tu na schadzke.

- Tak, skarbie, widzę ich. - Księżę Cranbrook był tylko trochę zasapany w rezultacie wspinaczki po schodach. - Nie robią nic, czego myśmy nie robili, i to po wielokroć, prawda?

- Nie teraz, Basilu, kiedy jesteśmy dojrzały i obyczajni - upomniała męża księżna.

Następnie niemal popłynęła po kamiennej posadzce, okryta

licznymi warstwami spódnic oraz chust. Zapewne można by wziąć ją za ducha, gdyby w kaplicy było nieco ciemniej i gdyby duchy nosiły karbowane, tiulowe czepki.

Tymczasem oszołomiona Dany zamarła i wybałuszyła oczy, gdyż Cooper nieoczekiwanie padł na kolano i mocno uścisnął jej dłoń. Zrobił to, by przypadkiem nie uciekła ani też nie zbombardowała go gradem ciosów w głowę, co w wypadku Dany wydawało się całkiem prawdopodobne. Jej mina świadczyła o tym, że Cooper powinien się spodziewać najgorszego.

- Panno Foster - powiedział pospiesznie i lekko potrząsnął jej rękami, żeby skupiła na nim całą uwagę. - W zaistniałych okolicznościach mam zaszczyt i przywilej prosić cię o rękę, a czynię to w obecności tych oto świadków.

- Słyszałaś, Viv? Jesteśmy świadkami - wymamrotał ksiązę, gdy tylko dogonił żonę i objął ją w talii. - Zawsze chciałem być świadkiem.

- Cicho, Basilu. Ładniutka jest, prawda? Minerwa martwiła się, czy na pewno będzie urodziwa. Ojoj, jeszcze nie odpowiedziała. Śmiało, kochanieńka, twoja kolej. Powiedz „tak” - ponagliła Dany księżna, nadstawiając uszu, jakby nie chciała uronić ani słowa.

Cooper obserwował Dany, która ze zdumieniem spojrzała na rozpromienioną księżęcą parę, dygnęła lekko i ponownie przeniosła na niego wzrok.

- Powiedz „tak”, nic więcej, dobrze? - wyszeptał. - Później ci wszystko wyjaśnię.

- O tak, z pewnością mi to wyjaśnisz, i to szczegółowo - odszepnęła przez zaciśnięte usta.

- Viv, słyszę, że coś mówią, ale nie całkiem rozumiem, co takiego - poskarżył się ksiązę Cranbrook.

- Powiedziała „tak”, Wasza Księżęca Mość - poinformował go Coop i wstał, całując dłoń Dany.

- A zatem doskonale - uradował się ksiązę. - Życzę wszystkiego dobrego tobie, moja panno, i twojemu narzeczonemu również. Cieszę się waszym szczęściem, a także i swoim, albowiem nie spóźnię się na kolację. - Wsunął pod ramię rękę żony. - Chodź, kochanie, zostawmy te dwa gołąbeczki, nie przeszkadzajmy im w gruchaniu. Niech się trącają dzióbkami i w ogóle robią to, na

co im przyjdzie chętką.

Księżna klepnęła męża w ramię.

- Jesteś po prostu niepoprawny - powiedziała z aprobatą. - Musimy już iść, na nas czas.

Gdy odwrócili się do wyjścia, książę pochylił głowę i wyszeptał coś do ucha żonie, która natychmiast zachichotała.

- Och, Basilu. - Żartobliwie pogroziła mu palcem. - Oczywiście, że znajdziemy czas przed kolacją, ty stary rozpustniku.

- Książę i księżna Cranbrook, ciotka i stryj mojego przyjaciela i zarazem dziedzica ich majątku, Gabriela Sinclaira - wyjaśnił Coop, gdy tylko księżęca para zamknęła za sobą drzwi. - W zaistniałych okolicznościach doszedłem do wniosku, że oficjalnej prezentacji dokonam innym razem. - Puścił jej dłonie. - Dany? Dlaczego nic nie mówisz?

- Nie wiem, od czego zacząć... - westchnęła i wróciła do ławki po rękawiczki. - Zaraz, chyba już wiem.

Z tymi słowami odwróciła się do Coopa, który podążył za nią, i trzasnęła go rękawiczką w twarz.

- To kara za sprowadzenie mnie tutaj podstępem - wycedziła.

Coop nawet nie drgnął. Nie wątpił, że to dopiero początek.

I miał słuszość.

Trzask.

- I za to, że uległeś podszeptom wicehrabiego, ty kurzy mózdzku - wyjaśniła dobitnie.

- Przy całym szacunku dla Darby'ego, moja matka też brała w tym udział. Mieli nade mną przewagę co najmniej dziesięć do jednego.

- Powiedziałeś, że było ich dwoje - wicehrabia i twoja matka.

Trzask.

- Masz rację - przytaknął. - W takiej sytuacji przewaga wynosiła dwadzieścia do jednego. Zrozumiesz, kiedy poznasz Min... moją matkę. Nie miałem żadnego planu, czego nie mogę powiedzieć o niej i o Darbym. Kończył się nam czas, a nie ulegało wątpliwości, że i tak się zaangażujesz. I na tym koniec, nie ma o czym mówić.

- Jest o czym mówić, Cooperze, a do końca jeszcze bardzo daleko.

Trzask.

- Au - jęknął z niezadowoleniem. - Jeśli nie zauważyłaś, na tej rękawiczce są guziki.

- Nic mnie to nie obchodzi. Miałam ci okazywać posłuszeństwo. Ty przejąłeś kontrolę. „Ile masz lat?” Ciekawiło cię, czy jestem już dostatecznie dojrzała, żeby mnie skompromitować. Gdybym była za młoda, musiałbyś opracować inny plan, co? Nie mogłeś najzwyczajniej w świecie poprosić mnie o rękę? Czujesz się lepiej dzięki temu, że zostałeś wmanewrowany w małżeństwo ze mną? Miałeś mnie za idiotkę, prawda?

Trzask.

Coop czuł, że jest na skraju wytrzymałości, ale nie z powodu siły uderzeń, tylko wielokrotnych, bolesnych trafień guzikami.

- Będziemy musieli spędzać sporo czasu w swoim towarzystwie, a do tego potrzebny jest konkretny powód - zauważył cierpliwie. - Nie mamy czasu na ostentacyjne zaloty, zważywszy na to, że szantażysta coraz bardziej zagraża nie tylko nam, ale i wielu innym osobom. Moja obecna rezydencja w Pulteney ma pewne ograniczenia, potrzebny mi dostęp do Portman Square. Poza tym muszę wreszcie zniechęcić ambitne mamy i głupie młode damy, które garną się do mnie jak muchy do lepu i utrudniają mi życie. I jeszcze jedna sprawa - jak już wspomniałem, i tak będziesz mi wchodzić w paradę, więc dzięki rzekomemu narzeczeństwu zyskam nad tobą przynajmniej symboliczną kontrolę. Sama wiesz, że kogoś takiego jak ty trzeba pilnować. Nasze zaręczyny to tylko wygodna przykrywka. Nie martw się. Kiedy ta sprawa dobiegnie końca, powiem, że poszłaś po rozum do głowy i dałaś mi kosza. Do żadnego ślubu nie dojdzie, masz to jak w banku.

Nie spodziewał się, że Dany rzuci rękawiczki i wymierzy mu potężny cios pięścią w szczękę.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał z osłupieniem, rozcierając obolałe miejsce.

- Nie mów, że nie wiesz.

Zapewne za sprawą siły ciosu w końcu nieco oprzytomniał. Jak na dwudziestopięciolatka niespecjalnie interesował się kobietami i brakowało mu doświadczenia. Dotychczas za bardzo zajmowała

go służba wojskowa. Odkąd otrzymał pogrożki od szantażysty, niemal całkowicie zaangażował się w jego poszukiwania.

Doszedł do wniosku, że nie wziął pod uwagę wszystkich konsekwencji, kiedy w końcu przystał na plan Darby'ego i Minerwy.

- Chcesz za mnie wyjść? - zdumiał się. - Dlaczego, u licha, miałabyś to robić?

Dany pochyliła głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy. Zrozumiał, że wolałaby uniknąć odpowiedzi na jego pytanie.

- Wcale tego nie powiedziałam - odparła cicho.

- W takim razie wybaczone, ale naprawdę nie rozumiem - ciężko westchnął, nadal rozcierając szczękę. - Na pewno jednak na to zasłużyłem.

Po chwili Dany odważyła się na niego spojrzeć.

- Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam - mruknęła. - Chyba poczułam się nieco urażona.

Coop pochylił się i delikatnie pocałował Dany w usta. Pomyślał, że tym razem jej wargi były miękkie i wcale nie przypominały drewna. Ta przelotna pieszczota ogromnie przypadła mu do gustu, więc postanowił, że wkrótce pokusi się o nią ponownie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała lekko chrapliwym głosem, który intrygował go niemal tak samo jak jej niepowtarzalne oczy.

- Sam nie wiem - odparł, nawiązując do jej wcześniejszych słów. - Chyba poczułem nieodpartą chęć. Już napomknąłem, że dzisiaj nie myślę całkiem klarownie. Czy zamierzasz ponownie mnie spoliczkować?

- Nie, raczej nie - oznajmiła po chwili namysłu. - Teraz chciałabym, abyś odwiózł mnie z powrotem na Portman Square, gdyż muszę poinformować siostrę o zaręczynach. Powinna wiedzieć, że odtąd jestem narzeczoną bohatera spod Quatre Bras. Chyba nieco się ożywi na tę wieść. A co do ciebie, napiszesz list do mojego ojca, usilnie błagając go o przebaczenie za to, że miałeś czelność zagarnąć mnie bez jego zgody i wiedzy. Zdecydowanie sugeruję, byś dołączył do listu skrzynkę zacnego bordo. Za przednie czerwone wino tata jest skłonny puścić w niepamięć niemal każdą urazę.

Spokój Dany zdumiał Coopa, który był tak spięty, że niemal dygotał. Nie dało się ukryć, że istotnie przyczynił się do tego poca-

łunek. Coopowi przyszło do głowy, że nie od rzeczy byłoby rąbnąć w coś pięścią, tak dla rozładowania wewnętrznego napięcia. Opanował się jednak i pomógł Dany wsiąść do dwukółki. Potem rzucił chłopakowi od koni jeszcze jedną monetę i wyruszyli na Portman Square.

Dany znowu siedziała z dłońmi skromnie złożonymi w mały drzyk, co Coop uznał za zły znak.

- Bijesz się z myślami, prawda? - spytał ostrożnie. - Pewnie oczekujesz, że zamieszczę w gazetach informację o naszych zaręczynach.

- Jeśli tak nakazuje obyczaj, to właśnie należy uczynić - odparła, nie podnosząc wzroku. - Tym bardziej powinien to zrobić mężczyzna, który naraża na kompromitację damę z wyższych sfer. Jak się zazwyczaj postępuje, gdy dobre imię kobiety narażone zostanie na szwank?

- Zaufaj mi. Dobrze wiem, jak się zachować w takiej sytuacji - zapewnił ją.

Nie wspomniał jednak, że część swojej wiedzy zaczerpnął z książki *Listy lorda Chesterfielda do syna, poświęcone sztuce przemiany chłopca w mężczyznę światowego i dżentelmena*. Minerwa podarowała mu ten zbiorek epistolograficzny na piętnaste urodziny, oznajmiając, że skoro ojciec Coopera umarł i siłą rzeczy nie może wprowadzić syna w dorosłe życie, należy się posiłkować innym ojcem, który zresztą na pewno lepiej sobie z tym poradzi.

Rok później Minerwa cisnęła książkę do ognia, gdy zapoznała się ze spostrzeżeniami jego lordowskiej mości, który twierdził, że kobiety to w gruncie rzeczy przerośnięte dzieci, całkowicie pozbawione autentycznej inteligencji oraz zdrowego rozsądku, a w dodatku obdarzone predylekcją do ulegania głupiutkim namiętnościom.

- To dobrze - odparła bez przekonania Dany. - W takim razie pamiętaj, że za kwadrans północ boczne drzwi do domu będą otwarte. Pokojówka powita cię i zaprowadzi do mojej sypialni. Nie przejmuj się moją romantyczną siostrą. Twoja obecność w żaden sposób nią nie wstrząśnie, zważywszy na to, że i tak już naraziłeś na szwank moją reputację. Prawdę powiedziawszy,

Mari zapewne będzie wniebowzięta, mogąc wspierać nas w naszych przedsięwzięciach. Przyznaję, że zadałeś sobie mnóstwo trudu, aby uczynić to, co już wcześniej zaproponowałam.

Coop zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Zanim dotarli na Portman Square, uświadomił sobie, że nawet jeśli jest żołnierzem, patriotą, bohaterem i baronem, to w kwestiach związanych z kobietami zachowuje się niczym dziecko we mgle.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wystarczyło zaledwie kilka godzin, aby Dany doszła do wniosku, że świat to doprawdy bardzo dziwne miejsce, a Londyn jest najprawdziwszą stolicą osobliwości. W pewnym momencie swojego życia, gdzieś między debiutem a niemal czwartym rokiem małżeństwa, siostra Dany przemieniła się w oślicę. Cóż, zawsze była trochę niemądra i absurdalnie romantyczna, ale wpływ londyńskiej atmosfery w połączeniu z małżeńskim łóżem i głupkowatością wyższych sfer wywindowały Mari na wyżyny idiotyzmu.

Trudno się dziwić, że poznawszy nowiny o siostrze, Mari błyskawicznie przeszła ze stanu kompletnej rozpacz do niemal euforycznej ekstazy. Była zachwycona do tego stopnia, że nie zadała ani jednego pytania na temat zaręczyn, zupełnie jakby młode damy każdego ranka spotykały atrakcyjnych dżentelmenów na Bond Street i przed zachodem słońca przyjmowały ich oświadczenia.

Dla Mari nie liczyło się nic poza tym, jaki wpływ na nią samą mają nagle zaręczyny siostry. Hura, oto objawił się bohater, który z miejsca zapalał miłością do Dany i poprzysiągł na swój miecz, że uratuje całą rodzinę przed wstydem i bankructwem. Koniec zmartwień, koniec trosk! Oliver będzie przeszczęśliwy na wieść o potomku i obsypie Mari klejnotami, a jej życie będzie od-tąd pełne radości oraz wesela.

- Ach, droga siostrzyczko, weź te perły w podarunku ode mnie - powiedziała zachwycona, patrząc na Dany z czułością. - Przecież nie możesz paradować po mieście w przeraźliwie tanich granatach po babci. Ollie i tak mi kupi nowy sznur.

- Głuptaska. - Pokręciła głową Dany i usiadła po turecku przed kominkiem, rozczesując palcami wilgotne włosy. Jak na razie nie potrzebowała lepszego grzebienia. - Głuptaska, skończona głuptaska.

Najwyraźniej Mari doszła do wniosku, że Cooper Townsend

tylko groźnie spojrzy na szantażystę, a ten z miejsca się ukorzy i zwróci obciążające ją listy.

Dochodziła jeszcze kwestia Timmerly'ego. Kamerdyner, który dotąd uśmiechał się szyderczo za każdym razem, gdy widział Dany, teraz nieustannie kłaniał się jej i potakiwał.

- Tak jest, jaśnie panienko - powtarzał w irytujący przypochlebny sposób. - Czego tylko jaśnie panienka sobie zażyczy. Czy mogę mieć zaszczyt zamówić coś dla jaśnie panienki? Pani Timmerly zamierza przyrządzić wspaniałą biszkopt z bitą śmietaną i owocami na pierwszą wspólną kolację z baronem.

Dany spodziewała się, że jeszcze trochę, a kamerdyner rzuci się do jej stóp, aby zademonstrować skalę swego poświęcenia i oddania. Nie wierzyła własnym uszom, gdy przy kolacji Timmerly zaproponował, że pokroi jej mięso na talerzu.

A wszystko to z powodu tych nieszczęsnych książeczek oraz zaręczyn z baronem, bohaterem spod Quatre Bras. Dany pomyślała, że jeśli inni zachowują się równie niemądrze jak Mari i Timmerly, to życie Coopera jest naprawdę nie do pozazdroszczenia.

Dany przeczytała już drugą książkę - rozchichotana pani Timmerly wielkodusznie zgodziła się pożyczyć jej własny egzemplarz - i mogła śmiało powiedzieć, że nie wierzy choćby w połowę tego, co tam napisano. Nawet najdzielniejszemu bohaterowi zwyczajnie zabrakłoby czasu w ciągu dnia, żeby osiągnąć wszystko to, co przedstawiono.

Dany nie wiedziała też, jaki właściwie jest los gorszy od śmierci. Z całą pewnością nie istniał los bardziej ostateczny niż śmierć. Żaden z tomów nie precyzował tej kwestii. Nie było też wiadomo, co baron zrobił z uratowanymi damami. Szczególnie niejasne wydawało się zakończenie tomu drugiego.

Sięgnęła po książkę i ponownie przeczytała stosowny fragment.

...przytłoczona nawałą emocji, krzyczała bliska ekstazy i zarazem czepiała się jego barków, nie lękając się o swój honor, który złożyła w jego silne dłonie.

- Może i nie jestem pewna, czym jest los gorszy od śmierci, ale tylko kompletny bałwan nie rozumiałby, o co chodzi w tym opisie - oznajmiła.

- Panienska coś mówiła?

- Z całą pewnością nic wartego powtórzenia. - Dany uśmiechnęła się do pokojówki. - Życie jest dziwne, prawda, Emmaline? W jednej chwili myślisz, że wiesz wszystko, a w następnej jesteś pewna, że właściwie nigdy nic nie wiedziałaś. I pozwól, że uprzedzę to, co chcesz powiedzieć - tak, gdzieś między tymi dwoma przeciwnymi wnioskami trafia się moment, w którym człowiek całkiem obcina sobie włosy.

- Włosy panience odrosną, zresztą już są całkiem, całkiem - pocieszyła ją pokojówka. - Moim zdaniem to nawet ładnie, kiedy tak przywierają do policzków i szyi. Ale nie powiedziałabym tego samego, gdyby panienska biedna mamusia siedziała tutaj z nami.

- Aż tak cenisz swoją posadę? - Dany uśmiechnęła się do pokojówki i wstała, rozwiązując peniuar, który włożyła po kąpielu. - Pora się ubrać, Emmaline. Powiedz, co się nosi, kiedy trzeba powitać narzeczonego w sypialni tuż przed północą?

Pokojówka zarumieniła się i pokręciła siwą głową. Pracowała dla rodziny Fosterów od dziesiątków lat i była uroczą, prostą kobietą, która nigdy nie wyszła za mąż.

- Chyba to, co panienska ma na sobie - wydukała. - Tak mi się zdaje, panienko.

- Emmaline, wstydź się! - Dany zachichotała nerwowo, ale szybko się uspokoiła. - Chyba najodpowiedniejsza będzie niebieska dymka. Możesz mi ją podać?

- To ta z guziczkami, panienko? - Pokojówka niepewnie podrapała się po głowie.

- Naturalnie. Powiedz mi, Emmaline, co twoim zdaniem wydarzy się dzisiaj w nocy?

- Sama nie wiem, panienko. Za pozwoleniem, ale odkąd panienska nauczyła się chodzić, nie sposób przewidzieć, co panienska zamierza.

- Wiem, jestem beznadziejnym przypadkiem. - Dany krzepiąco uścisnęła służącą. - Gdyby Evie nie wyszła za mąż w zeszłym roku i nie zamieszkała ze swoim mężem karczmarzem, nadal by-

łabyś drugą pokojówką mamy i nie musiałabyś użerać się z jej niepoprawną córką. Czy możemy zatem obarczyć Evie odpowiedzialnością?

- Nie, panienko, bo gdyby nie wyszła za męża, to byłaby teraz tutaj, z panienką, a ja się naprawdę bardzo cieszę, że mogę być w Londynie i w wolne popołudnia odwiedzać Sama, który pracuje w stajni. Sam zawsze powtarzał, że nie jest stworzony do życia na wsi.

- Racja, wyleciało mi z głowy, że hrabia skierował twojego brata do pracy w Londynie. Muszę o tym pamiętać - dodała cicho Dany.

Nie wątpiła, że w swojej sytuacji powinna gromadzić jak najwięcej sprzymierzeńców. Sam, choć tak gruby, że zasłoniłby sobą co najmniej dwóch ludzi, mógł obserwować drzewo ze stajni, a do zaskarżenia sobie jego przychylności zapewne wystarczyłaby miska puddingu, który pozostał po kolacji. Dany postanowiła wspomnieć Coopowi o Samie.

Coop. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie mogła się doczekać jego przyjścia.

Emmaline wkrótce zjawiła się z niebieską dymką, ale Dany wiedziała, że jest już za późno na zapinanie tych wszystkich guziczków.

- Nie mamy na to czasu - oświadczyła i cisnęła suknię na łóżko.
- Wezmę inną. Daj mi zielony komplet do jazdy konnej i biegnij otworzyć panu baronowi boczne drzwi. Nie możemy kazać mu czekać.

- Panienka włoży komplet do konnej jazdy? Ależ, panienko, jeździć konno o tej godzinie? Oj, Samowi się to nie spodoba. Wszystkie zwierzęta już śpią o tej porze - zauważyła niespokojnie Emmaline.

- Sam bardzo dba o konie, prawda? - Dany położyła dłonie na ramionach pokojówki i delikatnie skierowała ją ku drzwiom. - Nie, nie wybieram się na przejażdżkę wierzchem. To strój, który mogę włożyć sama, bez twojej pomocy. A teraz ruszaj.

Nie wspomniała, że jest to także ubiór, w którym mogła biegać, a to za sprawą dzielonej spódnicy. Postanowiła brać pod uwagę każdą ewentualność. Baron z całą pewnością nie zakładał, że bę-

dzie potulnie wyglądała przez okno, kiedy pojawi się szantażysta, i nie pogna za nim, żeby wspomóc sprzymierzeńca w trakcie pościgu. Skoro już uczestniczyła w przygodzie, zamierzała się nią nacieszyć.

Zapiąwszy spódnicę, wzięła buty z krótkimi cholewkami, włożyła zakiet i właśnie się zastanawiała, czy Cooper nie zmienił zdania, gdy drzwi się otworzyły i do środka wszedł baron we własnej osobie. Ubrany był w elegancki strój wieczorowy, będący połączeniem poważnej czerni i nieskazitelnej bieli, a jego jasne loki przyjemnie komponowały się z zielenią błyszczących oczu.

Dotąd Dany nie uświadamiała sobie, że Coop jest aż tak potężnie zbudowany. Przestronna sypialnia nagle zrobiła się niekomfortowo ciasna.

Cooper powitał ją skinieniem głowy i zwrócił się ku Emmaline. Dany mogła tylko wyobrazić sobie jego spojrzenie. Spłoszona pokojówka nerwowo dygnęła i w pośpiechu zrejterowała, a zamykając za sobą drzwi, nawet nie rzuciła okiem w kierunku swojej pani.

- Poszło absurdalnie łatwo - oświadczył Coop i cisnął kapelusz na łóżko. - Tyle tylko że raczej obyłbym się bez oficjalnego powitania, którego dokonał kamerdyner z żoną oraz resztą służby. Wy tłumaczysz mi, dlaczego ustawili się w szeregu na całej długości korytarza? Kiedy się tu zjawię następnym razem, wejdem przez drzwi frontowe, przy akompaniamencie muzyki marszowej w wykonaniu orkiestry dętej.

- Nie miałam pojęcia... - Dany pokręciła głową. - Powinłam była to przewidzieć. Czy to się zdarza nieustannie? Czy ludzie tracą rozum na samą myśl o spotkaniu z tobą?

- Chodzi ci o to, co się dzieje, odkąd pojawiły się te nieszczęsne publikacje? Owszem, mnóstwo ludzi zachowuje się niedorzecznie. Jeśli nasz szantażysta ma informatora wśród osób zatrudnianych przez hrabiego, to już jutro będzie wiedział, że nie może tu wrócić. Zrozumie, że podtrzymywanie dziupłowej korespondencji z hrabiną stało się zbyt niebezpieczne. Dlatego nie pozostało nam nic innego, jak tylko w pełni wykorzystać tę noc.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś ze służby jest na usługach szantażysty? - zdumiała się Dany. - Aż trudno uwierzyć. - Nagle

zmarszczyła brwi. – Co ty wyprawiasz? Przecież będzie ciemno.

Coop kręcił się po całej sypialni i skrupulatnie gasił świece.

– Odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, niczego nie da się wykluczyć – odparł spokojnie. – Co do drugiej kwestii. Owszem, będzie ciemno i właśnie o to chodzi, gdyż trzeba rozsunąć zasłony.

– Och, więc popełniłam błąd? – Dany się zasępiła. – Szantażysta mógł zobaczyć zarys mojej sylwetki w oknie, prawda?

– Jako nowicjuszka możesz się czuć usprawiedliwiona. – Coop zdmuchnął ostatnie płomyki. Jedyne źródłem światła w sypialni był teraz kominek. – Zostaniesz tu ze mną czy planujesz przejażdżkę o północy?

Dany mimowolnie opuściła wzrok na swoje ubranie. Dopiero teraz dotarło do niej, że w pośpiechu zapomniała włożyć bluzkę i w rezultacie prezentowała wyjątkowo głęboki dekolt nad ostatnim guzikiem żakietu. Jak sądziła, wygaszenie ognia w kominku raczej nie wchodziło w grę, choć pogrążenie sypialni w egipskich ciemnościach bardzo by jej odpowiadało. Poza tym było oczywiste, że Coop już zwrócił uwagę na brakujący element garderoby i dlatego zadał kąśliwe pytanie.

Doszła do wniosku, że gdyby ludzie mieli okazję poznać barona bliżej, z pewnością nie traciliby rozumu w jego obecności. Był zwykłym mężczyzną, choć zapewne nieco bardziej irytującym od innych, zwłaszcza kiedy uśmiechał się tak szeroko jak teraz.

– Może wreszcie przystąpimy do działania? – prychnęła. – Czy też wolisz stać tutaj i zachowywać się w ten swój okropny sposób, choć szantażysta jest gotów lada moment zjawić się i umknąć?

Najchętniej osłoniłaby dekolt rękami, ale się powstrzymała. Jej wieczorowe suknie były bardziej wyzywające. Mimo to czuła, że w tych okolicznościach powinna zadbać o większą skromność.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że w ogóle dzisiaj przyjdzie – mruknął Cooper.

– To prawda – przytaknęła rzeczowo. – Jak na razie go nie ma, a to już piąty dzień czy też raczej noc, odkąd dał o sobie znać. W końcu jednak musi się pojawić.

Cooper ustawił ekran kominkowy, żeby choć trochę osłonić ja-

sne płomienie. Następnie podszedł do wysokiego okna, odciągnął zasłony i usiadł na ławeczce.

- Jeśli się nie mylę w sprawie jego człowieka w tym domu, tej nocy mamy ostatnią szansę - powiedział. - Czy twoja siostra napisała list i włożyła go do dziupli?

- Ja to zrobiłam. Wyobraź sobie, że w nagłówku napisała „Drogi Szantażysto”. Obiecała, że umieści w dziupli pięćset funtów, kiedy tylko znajdzie w niej swoje listy. Włożyłyśmy do dziupli także zawiniątko z granatami naszej babci.

- Z granatami? - zdumiał się Coop i spojrzał z ciekawością na Dany. - Dlaczego to zrobiłyście?

- Gdyż są brzydkie. Nigdy za nimi nie przepadałam, a poza tym jestem prawie pewna, że to falsyfikaty. Kilka lat temu dziadek wpadł w szpony hazardu i bardzo potrzebował pieniędzy, rozumiesz. - Widząc jego badawczy wzrok, podrapała się po głowie. - To chyba nie najgorszy sposób na okazanie dobrej woli, prawda?

Coop wyjrzał na stajnie i rząd drzew.

- A zatem postanowiłaś dowieść, że twoja siostra jest pełna dobrej woli i dlatego ofiarowałaś kryminaliście zapłatę z góry, tak? - zapytał z niedowierzaniem. - Dostał od ciebie fałszywe granaty, gdyż i tak za nimi nie przepadałaś. Jak na tak młodą kobietę jesteś dość niesamowita, ale zapewne o tym wiesz.

- Może i jestem, a szantażysta zapewne nie zorientuje się w podstępie. To bardzo starannie wykonane falsyfikaty - podkreśliła Dany.

Naprawdę uważała, że wpadła na błyskotliwy pomysł, ale i tak zrobiło się jej żal Coopera. Sama czasem z trudem wytrzymywała ze sobą, więc wyobrażała sobie, jak niekomfortowo czuli się w jej obecności inni ludzie. Coraz bardziej współczuła temu nieszczęśliwemu.

- W takim razie wszystko w porządku, prawda? - Umilkł, po czym dodał: - Chyba powinienem podziękować ci za zastosowanie się do co najmniej połowy moich zaleceń. To i tak niemało.

- Rzeczywiście niemało - przyznała szczerze. - Niezbyt dobrze sobie radzę w sprawach, które wymagają współpracy. To chyba dlatego, że mam swoje zdanie na każdy temat, ale mama uważa, że umiem tylko wyprowadzać innych z równowagi. Czy na pewno

widzisz na tyle dobrze, by zauważyć kogoś przy drzewach? Przez pierwsze dwie noce obserwacji niewiele udawało mi się dostrzec, ale teraz księżyc jest bliższy pełni.

- Pewnie właśnie na to czeka szantażysta. Ma dostatecznie dużo światła, żeby widzieć, ale do pełni jeszcze trochę brakuje, więc może się przemykać niezauważony. Tak na marginesie, na jednym końcu zaułka czuwa wicehrabia Nailbourne, a na drugim mój przyjaciel Jeremiasz Rigby. Obaj tylko czekają na mój sygnał.

- Jaki sygnał?

- Całkiem prosty. Jeśli dostrzeżemy coś niezwykłego, trzeba będzie uchylić jedno z okien i gwizdnąć - objaśnił. - To chyba jedyny skuteczny sposób, nie sądzisz?

Nagle dotarło do niej, że uzalanie się nad Cooperem jest absurdalne. Ten człowiek dobrze wiedział, co robi.

- W istocie, chyba jedyny - potwierdziła z kpina w głosie. - Ależ ze mnie głuptas. Nie powinnam nękać bohatera oczywistymi pytaniami. Plan jest doskonały. Jestem pełna podziwu, naprawdę. Jaka szkoda, że tych starych okien nie otwierano od kilkudziesięciu lat i zapewne skleiły się na amen pod wieloma warstwami farby.

- Psiakość - zaklął Coop i nacisnął kłamkę, która ustąpiła bez trudu. Z łatwością otworzył okno i pośpiesznie zamknął je z powrotem. - Jesteś nieznośna. Idź na miejsce.

Dany podeszła do ławeczki pod oknem i usiadła obok Coopera, zadowolona, że choć trochę mu dopiekła. Obróciwszy się nieco, mogła obserwować okolicę przez wąską szczelinę między zasłanami.

Siedzieli ramie przy ramieniu, a ich policzki niemal się dotykały. Czują, że Coop nie spuszcza z niej wzroku.

- Dany - odezwał się po chwili.

- Co znowu?

- Powiedziałem, żebyś poszła na miejsce, a nie przyszła na miejsce. Miałem na myśli ławkę przy drugim oknie. A tak na marginesie, źle zapięłaś żakiet. Lepiej to popraw, zanim ktoś wejdzie i uzna, że to przeze mnie jesteś taka rozchełstana. W takiej sytuacji stracisz wszelką nadzieję na pokojowe zerwanie naszych zażeczyn. Twój ojciec albo brat będą się czuli w obowiązku wy-

zwać mnie na pojedynek.

Zerwała się na równe nogi i pośpiesznie usiadła na ławeczce pod drugim oknem, gdzie mimo ciemności natychmiast poprawiła guziki. Jak się okazało, wszystkie były zapięte prawidłowo.

Musiała przyznać, że Coop potrafił się odgryźć. Kto wie, czy w innych okolicznościach nie byłiby bliskimi przyjaciółmi.

- Wystarczyło mi powiedzieć, żebym się przesiadła - burknęła.
- I kto by pomyślał, że zdaniem co najmniej połowy ludzi w tym domu, a w szczególności mojej siostry, wyprawiamy tutaj same niemoralne rzeczy. Niewiele brakowało, a użalałabym się nad tobą.

- Niepotrzebnie. Im więcej czasu z tobą spędzam, tym bardziej sam użalam się nad sobą - wyjaśnił i ostentacyjnie wzruszył ramionami, lecz już w następnej chwili zamarł ze spojrzeniem utkwionym w oddali. - A niech mnie, jeśli ktoś właśnie nie wychodzi ze stajni hrabiego. Oby tylko nie zabawił zbyt długo na zewnątrz, gdyż spłoszy szantażystę.

Dany odgarnęła zasłonę i wyteżyła wzrok. Mimo ciemności bez trudu rozpoznała pokaźnej tuszy brata swojej pokojówki, który usiłował skryć się w cieniu.

- To tylko Sam. - Pokręciła głową. - Sypia w stajni. Dlaczego tak się rozgląda? Może coś usłyszał i wyszedł, żeby sprawdzić? Miejmy nadzieję, że szantażysta nie ucieknie... Wielkie nieba!

Pospiesznie zasłoniła okno w chwili, gdy Sam odwrócił się do ściany i opuścił spodnie.

Śmiech Coopa, mocny i dźwięczny, był tak zaraźliwy, że Dany wbrew sobie zachichotała. Tylko skończona idiotka mogłaby udawać, że nie wie, do czego przymierza się Sam.

- Tak to jest, kiedy ktoś długo wygląda przez okno - skomentowała, gdy już udało się jej odzyskać panowanie nad sobą. - Poszedł czy nadal robi swoje?

- Poszedł. Jeśli hrabiemu zdarza się zastanawiać, dlaczego bluszcz nie rośnie po tej stronie bramy do stajni, to masz już odpowiedź. Ale lepiej nie spiesz się z informowaniem go o okolicznościach swojego odkrycia.

Dany odsłoniła okno, żeby kontynuować obserwację, a Cooper poszedł w jej ślady. Przez niemal dwie godziny w całkowitym mil-

czeniu patrzyli na przejeżdżające powozy, które powracały do stajni usytuowanych przy bocznej uliczce. Uprząż pobrzękiwała, stangreci i stajenni pokrzykiwali, bramy hałaśliwie otwierały się i zamykały. Londyn nie słychał z ciszy i spokoju, nawet o tak późnej porze.

Dany przyszło do głowy, że jeszcze nigdy w życiu aż tak się nie nudziła. Zupełnie zapomniała, że jest sam na sam w sypialni ze swoim rzekomym narzeczoną. W sytuacji nie było nic romantycznego. Doszła do wniosku, że jeśli jeszcze raz ziewnie, pozostanie jej tylko udać się do miski oraz dzbanka z wodą i wylać sobie wodę na głowę dla orzeźwienia.

- Nie przyszedł - oznajmiła w końcu. - Straciliśmy tylko czas. Sam powiedziałeś, że to nasza jedyna szansa pojmania tego człowieka, więc ponieśliśmy klęskę.

- Tak czy owak, moja matka i jej serdeczna przyjaciółka księżna Cranbrook, którą miałaś okazję poznać, były dziś gośćmi na tej samej uroczystej kolacji, więc można założyć, że wieści o naszych zaręczynach już z rana rozejdą się po całym Mayfair.

Dany opuściła posterunek i podeszła do Coopera.

- Wieści o naszych zaręczynach? - powtórzyła. - Powiedziałeś, że pozwolisz mi się wycofać.

- Pamiętam - odparł. - Rąbnęłaś mnie za to. Propozycja pozostaje otwarta, niemniej uświadomiłem sobie, że jedną rzeczą są korzyści wyliczane przez Darby'ego i Minerwę, a drugą wciągnięcie cię w tę awanturę. - Coop nieprzerwanie wyglądał przez okno. - Dlatego postanowiłem pozostawić decyzję tobie. Przybyłem do Londynu w poszukiwaniu żony, uznawszy, że jej znalezienie położy kres tej absurdalnej sytuacji. Może właśnie dlatego nie odrzuciłem ich pomysłu. - W końcu przeniósł na nią wzrok. - A ty nie miałaś nic przeciwko temu.

- Ach, zatem to między innymi z mojego powodu, tak? Mam dźwigać swoją część odpowiedzialności za to, w co ty nas wciągnęłaś? - Zmarszczyła brwi. - Kim właściwie jest ta cała Minerwa?

- To moja matka. Jutro ją poznasz. - Uśmiechnął się pod nosem. - Prawdę mówiąc, chętnie zobaczę was razem. Darby napomknął, że warto byłoby sprzedać bilety wstępu na to widowisko.

- Jestem przekonana, że jej nie polubię. Twoja matka wydaje się nieznośnie apodyktyczna, a ty cały czas chodzisz u niej na pa-sku. Im dłużej cię znam, Cooperze, tym trudniej mi pojąć, jakim cudem zostałeś bohaterem - oznajmiła Dany surowym tonem.

- Przynajmniej pod tym względem się zgadzamy. Na swoją obronę pragnę powiedzieć, że mam naprawdę solidne powody, by nie chcieć publikacji trzeciego tomu. Ponieważ tylko dzięki tobie i twojej siostrze jestem w stanie dopaść tego drania, siłą rzeczy przyznaję się do winy. Tak, wykorzystałem do swoich celów za-równo ciebie, jak i twoją siostrę.

Dany pomyślała, że wreszcie rozmawiają o konkretach. Długo czekała na tę chwilę.

- Jak rozumiem, nie chodzi tylko o to, że te książeczki budzą twoje zażenowanie. - Pokiwała głową. - Jesteś w poważnych ta-rapatach. Czułam to od samego początku, a przynajmniej tak mi się wydaje. Czy wicehrabia o tym wie? A twoja matka? Wyjawisz mi prawdę? Chyba jesteś mi to winien.

- Wybacz, ale nie mogę. - Uścisnął jej rękę. - Nikt o tym nie wie. Darby domyśla się tego i owego, podobnie jak ty, ale nie tyl-ko moja reputacja wchodzi teraz w grę. Zobowiązano mnie do dyskrecji i zostałem odpowiednio wynagrodzony za to, że zgodzi-łem się zachować milczenie. Wiem, co chcesz powiedzieć. Tak, masz rację, to też nieszczęśliwie świadczy o moim bohaterstwie, ale przynajmniej nadal żyję.

- A jak długo to potrwa? - Przykryła jego dłoń swoją, jakby chciała go podnieść na duchu.

- Słucham? - Ostrożnie przysunął twarz do szyby. - Co jak dłu-go potrwa?

- Jak długo jeszcze będziesz żył?

- Sam sobie zadawałem to pytanie... - Pokręcił głową i wes-tchnął. - Jedyna wiarygodna odpowiedź brzmi: tak długo, jak Bóg pozwoli, o ile znajdę szantażystę, nim zdąży opublikować to, co uważa za obciążającą mnie prawdę.

- A czy istnieje coś takiego jak obciążająca cię prawda? - zapy-tała niepewnie.

Cooper odwrócił się ku niej i uśmiechnął, a jej zdradzieckie serce zabiło zdecydowanie za szybko.

- Zawsze można znaleźć coś, co da się uznać za obciążającą prawdę - zauważył. - Chyba zgodzisz się ze mną.

- Tak, chyba tak - przyznała. - Przykro mi, tym bardziej że szantażysta nie pojawił się tej nocy.

- Liczyłaś na widowiskowy pościg ulicami Londynu? A może żałujesz, że nie udało ci się pozbyć fałszywych granatów swojej babci? - Cooper obserwował ją z ciekawością.

- Wiem, że żartujesz przez uprzejmość, ale naprawdę jesteś bardzo miłym człowiekiem. - Dany uśmiechnęła się blado. - Obiecuję, że nie będę już dla ciebie takim ciężarem. Kiedy tylko to się okaże możliwe - dodała, aby nie dręczyło jej zbyt silne poczucie winy.

Wiedziała, że w końcu nadarzy się okazja do samodzielnego działania. Należało tylko uzbroić się w cierpliwość.

Cooper popatrzył na nią w blasku księżyca.

- Dziękuję - powiedział. - Ale i tak ci nie wyjawię, dlaczego padłem ofiarą szantażu.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała podkreślić, że nie zamierza składać broni.

- W końcu to zrobisz - odparła. - Prędzej czy później nie zdołasz się powstrzymać. Jestem bardzo przekonująca. Spytaj kogośkolwiek, jeśli mi nie wierzysz.

- Wiem, w czym rzecz. Potrafisz zameczyć ludzi do tego stopnia, że ci ustępują, i w ten sposób dopinasz swego.

- Cofam to, co powiedziałam. - Skierowała wzrok na szczelinę między zasłonami. - Wcale nie jesteś aż tak miłym człowiekiem. Sądziłam, że kobiety mają być niezgłębioną tajemnicą dla mężczyzn.

- Doprawdy? W takim razie będziesz musiała stać się nieco mniej przejrzysta, gdyż jak na razie można z ciebie czytać jak z otwartej księgi. No dobrze, na dzisiaj wystarczy. - Przeciągnął się. - Nasz szantażysta już się nie zjawi.

- Jeszcze tylko pięć minut - poprosiła. - Już od dobrego kwadransa nie zjawił się ani jeden powóz. Szantażysta mógł uznać, że to odpowiedni moment, aby się zakraść i zrobić swoje. Do diaska, myliłam się. Kolejna bryczka zajeżdża do stajni.

Niemal zetknęli się policzkami, gdy Coop przysunął twarz do

okna, chcąc osobiście sprawdzić, co się dzieje.

- To nie bryczka - mruknął. - Ktoś wynajął dorożkę, żeby wrócić do domu. Dziwne.

- Dlaczego to jest dziwne?

- Gdyż w tej okolicy wszyscy mają swoje powozy oraz stangretów - wyjaśnił cicho. - Nie ma powodu, by jeździć dorożką. Przesuń się trochę, muszę otworzyć okno.

Dany musiała się przesunąć, żeby Coop nacisnął klamkę i otworzył okno. Dudniło jej w głowie z emocji, kiedy biegła do drugiego okna. Rzeczywiście, dorożka zatrzymała się przed stajniami Cockermouthów, a ze środka wyskoczył ktoś w czarnym ubraniu.

Tylko dlaczego trzymał w rękach stołek?

- Popatrz, ma ze sobą stołek - zauważyła rozgorączkowana. - Czemu, u licha, przywiózł ze sobą... Zaraz, co za absurd. Przecież to dziecko. Spójrz, stawia stołek, wspina się na niego... Tak, zabiera list Mari i moje granaty. A teraz wkłada coś do dziupli...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż przerwały jej dwa ogłuszające gwizdnięcia Coopera, jedno po drugim. Zresztą i tak była już w połowie drogi do drzwi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Coop dogonił Dany w chwili, gdy dobiegała do bocznych drzwi. Nie zdążyła ich otworzyć, ponieważ mocno chwycił ją w tali i podniósł, przyciągając do siebie.

- Niepotrzebnie tak się spieszysz, jego już tam nie ma - wysapał.

Z trudem chwytając powietrze, zastanawiał się, jak obarczeni tacami służący są w stanie wędrować w górę i w dół tak wąskich schodów, a przecież niejednokrotnie musieli dźwigać także dużo cięższe i bardziej nieporęczne przedmioty. On sam niemal się przewrócił, i to kilka razy. Niewiele brakowało, a upadłby na Dany i w efekcie oboje wylądowaliby na półpiętrze.

- Skąd wiesz? - spytała. - I postaw mnie wreszcie na podłozę, przecież ci nie ucieknę.

- Najpierw obiecaj, że nie rzucisz się przed siebie.

- Przecież mówię, że nie ucieknę. Puszczaj, zgniatasz mi żebra. - Szarpnęła się nerwowo.

Coop ustąpił, ale przed oswobodzeniem Dany na wszelki wypadek oparł się plecami o drzwi.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Dopiero teraz zauważyła, że zdążył włożyć kapelusz.

- Co to znaczy? - zapytała ze zdumieniem. - Znalazłeś czas na znalezienie kapelusza?

- Owszem, gdyż właśnie wychodzę. Jesteś gotowa sprawdzić zawartość dziupli?

- Zaraz, zaraz... Dlaczego nie ścigamy dorożki? Wiem, że byśmy jej nie dogonili, więc nie patrz na mnie jak na dwugłowe ciele. Dobrze byłoby przynajmniej przyjrzeć się woźnicy, a jutro go poszukać.

- W istocie, z pewnością nietrudno go będzie wyłowić spośród raptem kilkuset, jeśli nie kilku tysięcy dorożkarzy w Londynie. - Sięgnął po latarnię, którą wcześniej nakazał pozostawić w wą-

skim korytarzu, a następnie otworzył drzwi i puścił Dany przodem. – Jak zapewne pamiętasz, gwizdnąłem po dwakroć. W ten sposób uprzedziłem Rigby’ego, że nasz obiekt podąża w jego stronę. Niewykluczone, że udałoby się nam pojmać złoczyńcę, gdyby dorożka przyjechała z przeciwnego końca uliczki, kierując się ku Darby’emu. Rzecz w tym, że Rigby nie zna pojęcia umiarkowania w jedzeniu i piciu, więc pościgi per pedes nie są jego mocną stroną. Dogonienie dorożki z całą pewnością wykracza poza zakres możliwości naszego przyjaciela. Pozostaje nam tylko żywić nadzieję, że przynajmniej zdołał rzucić okiem na pasażera. I na dorożkarza, rzecz oczywista.

– Nie musisz mówić z tak ostentacyjną wyższością. – Dany wyraźnie się nadąsała.

– To nie jest wyższość, lecz głos rozsądku – odparł, kiedy zbliżali się do wysokiego drzewa.

– Dawałeś mi do zrozumienia, że rzucimy się za nim w pościg – podkreśliła.

– Teraz rozumiem, skąd ten komplet do konnej jazdy. – Pokiwał głową. – Pozwolisz, że jeszcze raz zastanowię się nad sensem twojego udziału w naszej przygodzie.

W świetle latarni dostrzegł zdeglustowaną minę coraz bardziej urażonej Dany.

– Zdecydowałam się na strój do konnej jazdy, albowiem dzięki temu łatwiej mi... – Zawahała się. – No dobrze, niech ci będzie. Wybrałam go celowo, ale pościg wzięłam pod uwagę dopiero w drugiej kolejności. Nie chodziło mi o to, żeby gonić szantażystę, jeśli się pojawi, a raczej nie tylko o to mi chodziło. Przede wszystkim zależało mi na wygodnie umieszczonych guzikach. Co do pościgu, byłam gotowa brać w nim udział, ale tylko gdyby istniała taka sposobność. Najbardziej chciałam zyskać pewność, że ubiór nie przeszkodzi mi w wydobyciu z dziupli notatki pozostawionej tam przez tego hultaja... Tak, już przestaję paplać. Wiem, że paplam, ale panuję nad tym i zaraz skończę. A teraz wyjmij wreszcie list z tego otworu po sęku.

– Tak jest, moja królowo – zgodził się Cooper i znieruchomiał z uniesioną ręką. – Nie, ty wyjmij przesyłkę. O ile się zorientowałem, sama umieściłaś w dziupli list od siostry.

- Jak sobie życzysz, tylko się odsuń - zażądała. - Mari jest dostatecznie wysoka, żeby dosięgnąć, ale ja muszę się wspiąć na ten stary i pęknięty schodek do wspinania się na konia. Och...

Coop sam sięgnął po złożoną kartkę.

- Tak, och - mruknął. - Czyżby odwiedził nas wynajęty młodzian, niedorównujący wzrostem szantażyście? A może to...

- Kobieta! - wykrzyknęła Dany triumfalnie. - Czyżbyśmy mieli do czynienia z szantażystką? Zatem niewykluczone, że Mari otworzyła się przed inną damą. Nic dziwnego, że ta niegodziwa osoba doskonale wiedziała, co pisać, by przekonać Mari, jak dobrze rozumie jej ból.

- Niektóre kobiety mają pełne współczucia i zrozumienia siostry, którym mogą się zwierzać. - Coop schował liścik do kieszeni kamizelki i pociągnął Dany za sobą w kierunku bocznych drzwi.

- Twoje słowa z pewnością by mnie uraziły, gdyby Mari nie rozpoczęła swojej nieroztropnej korespondencji przed moim przyjazdem do Londynu i gdybym była na tyle głupia, żeby pochwalić ją za coś równie idiotycznego. Mari nie potrzebuje współczucia. W tej chwili trzeba tylko odzyskać jej listy, nim Oliver wróci do domu. Jestem jej nieporównanie bardziej przydatna niż jakaś słodka idiotka, która tylko poklepywałaby ją po ramieniu, powtarzając: „Już dobrze, już dobrze”. Naturalnie, w efekcie musimy jakoś wytrzymać z tobą, a jak na razie niespecjalnie przysłużyłeś się sprawie. Stwierdzam to ze smutkiem i bez satysfakcji.

- Z prawdziwą przykrością muszę się z tobą zgodzić... Ale przynajmniej pozbyłaś się granatów - przypomniał jej. - A teraz wejdźmy do środka. Przekonamy się, co takiego ma do powiedzenia nasz wspólny prześladowca czy też raczej prześladowczyni.

- A co z wicehrabią i twoim drugim przyjacielem? - powstrzymała go Dany. - Czyżbyś nie zamierzał wysłuchać, co takiego mają do powiedzenia na temat szantażysty?

- Zaczekają na mnie w hotelu - odparł. - Mam tylko nadzieję, że moja matka będzie już słodko spała w łóżku, a ja wreszcie wypiję kieliszek czegoś mocniejszego, na co w pełni zasłużyłem. Czy chcesz, bym przeczytał ten list?

Dany wzięła się pod boki, a Cooperowi przyszło do głowy, że jej zachowanie jest nader pociągające. Od czasu bitwy pod Quatre

Bras nie spotkał żadnej innej kobiety, która nie robiłaby do niego maślanych oczu. Dany stanowiła absolutny wyjątek

- Skąd - powiedziała z przekąsem. - Wolałabym, abyś zrobił z tego listu papierowego ptaszka i rzucił go w kierunku stajni.

- Właśnie tak podejrzewałem. - Postawił latarnię na stole przy drzwiach. - Niemniej i tak go przeczytam. - Rozpostarł kartkę i zmełł w ustach przekleństwo. - Zwłaszcza że jest przeznaczony dla mnie.

- Dla ciebie? Nie dla Mari? Wielkie nieba! - przeraziła się Dany. - To chyba niedobrze, prawda? Co to oznacza?

Chwyliła Coopera za nadgarstek i opuściła jego rękę, żeby lepiej widzieć list.

Drogi lordzie Townsend!

Nadzwyczaj krnąbrny z Pana jegomość. Któż to widział tak się wtrącać w nie swoje sprawy. Muszę jednak przyznać, że wycofanie się z giełdy małżeńskiej było doprawdy pierwszorzędnym posunięciem, nawet jeśli wybrał Pan sobie zdecydowanie brzydkie kaczątko. Dzięki mnie, osobie zapewniającej Panu niezastępowaną sławę, mógł Pan zainteresować sobą dziedziczkę. Tak czy owak, gratuluję. Pańska mama wydaje się zadowolona, a do tego będzie Pan miał więcej czasu na rozważanie swoich pochopnych poczynań. Tak się bowiem składa, że czasem trzeba płacić za życiowe decyzje. Zechce Pan poinformować hrabinę, że cofam swą wielkoduszną propozycję. Hrabia otrzyma listy wkrótce po swoim powrocie, a moja cena właśnie wzrosła o tysiąc funtów. Muszę powetować sobie szkody związane z Pańską ingerencją. Księżę regent otrzyma tom trzeci za dziesięć dni, lub nawet wcześniej, jeśli ponownie wejdzie mi Pan w paradę. Proszę odliczać. Pozostaję w kontakcie.

- Już nie zamierza przyjąć pieniędzy w zamian za listy? - zaniepokoiła się Dany. - Przecież nie mogę przekazać tych wieści Mari. Cóż zatem zrobimy w takiej sytuacji?

Jej niebieskie oczy lśniły od łez rozpacz. Coop delikatnie wziął Dany za lodowate i lekko drżące ręce. Wiedział, że musi podnieść ją na duchu.

- Znajdziemy go, nie mamy innego wyjścia - oznajmił z przekonaniem. - Dopadniemy go... albo ją - poprawił się i podjął próbę zmiany tematu. - Czy masz ochotę na wycieczkę na Bond Street jutro rano, o jedenastej? Pragnę kupić ci upominek z okazji zaręczyn.

- Wybierasz się na zakupy? - Zrobiła wielkie oczy. - Niby po co, skoro... Och, zaraz. Zapomniałam. Pani Yo...

Przycisnął dłoń do jej ust.

- Cicho - wyszeptał jej do ucha. - Ani słowa więcej. Nie możesz nic powiedzieć ani swojej siostrze, ani pokojówce, ani w ogóle nikomu. I na litość boską, nie zapisuj w swoim pamiętniku absolutnie niczego, co ma związek z naszymi problemami!

Dany odsunęła jego dłoń.

- Skąd wiesz, że prowadzę pamiętnik? - spytała podejrzliwie.

- Zgadywałem. - Uśmiechnął się. - A teraz poczekaj chwilę. Gdy już wyjdę, zamknij drzwi na zasuwę i udaj się na górę. Muszę spotkać się z przyjaciółmi. Oby przynajmniej jeden z nich zobaczył coś, co okaże się nam pomocne.

- Chętnie poszłabym z tobą - przyznała.

Coop popatrzył na nią z czułością.

- Wiem - powiedział cichym, krzepiącym tonem. - Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

- Trzymam cię za słowo. - Ufnie pokiwała głową. - Na pewno nam się uda... mój bohaterze.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek - ten sam, który wcześniej po wielokroć uderzyła rękawiczką.

- O ile pamiętam, podawałaś w wątpliwość moje bohaterstwo - przypomniał jej.

- Owszem. Ale teraz po prostu musisz wykazać się heroizmem, prawda? - Z tymi słowy wypchnęła Coopera na zewnątrz i starannie zamknęła za nim boczne drzwi.

Z ręką przy policzku poczekał, aż ucichnie stukot kroków Dany. Zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi i właściwie dlaczego na jego twarzy zagościł uśmiech. Szybko przypomniał sobie, w jakich tarapatach się znaleźli, i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Na końcu placu zatrzymał dorożkę i kazał się wieźć do hotelu Pulteney.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Darby i Rigby czekali w jego apartamencie, a towarzyszył im starszy sierżant Ames. Wszyscy trzej sprawiali wrażenie odprężonych i zadowolonych z siebie. Cooper z pewnym zdumieniem wpatrywał się w przyjaciół, którzy rozsiedli się wygodnie na kanapach i fotelach, sącząc drinki.

- Jaśnie panie! - Ames zerwał się z miejsca, żeby mu zaszalutować. - Właśnie wspominaliśmy Champaubert. Tam to dopiero było. Postanowiliśmy wznieść toast na cześć biednego oka wicehrabiego. Ale teraz już pójdę, za pozwoleniem jaśnie pana.

- Tak, Ames, dziękuję. - Coop popatrzył na Darby'ego.

Nie miał pojęcia, jak jego przyjaciel znosi nieustanne żarty Amesa. Darby pozwalał nawet, by starszy sierżant komentował jego kalectwo. Cóż, rzeczą godną i wzniosłą jest poświęcić oko w walce, lecz jego utrata w całkiem niepotrzebnej i zakończonej klęską bitwie to zupełnie co innego. A wszystko to za sprawą tego przekłętą rosyjskiego generała Ołsufiewa, niech go piekło pochłonie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Darby, gdy tylko Ames opuścił pokój.

Nikt nie miał nic przeciwko temu, że starszy sierżant zabrał jedną z butelek. Przyjaciele wiedzieli, że jeszcze przez godzinę lub dwie będzie rozpamiętywał porażkę pod Champaubert i wielomiesięczną niewolę. Odzyskali wolność dopiero wtedy, gdy obalony cesarz został pojmany i posadzony za kratami, lecz ich życie zmieniło się na zawsze.

Ich przyjaciel Gabriel Sinclair, któremu francuski żołnierz niemal roztrzaskał czaszkę kolbą, czuł się winny klęsce, gdyż przewidywał atak. Rzecz jasna, nie mógł niczego zmienić, lecz i tak cierpiał. Coop dostał kulę w bok i niewielki był z niego pożytek, zwłaszcza kiedy w ranę wdało się zakażenie. Gdyby nie prowizoryczne zabiegi pielęgnacyjne Amesa i nieoczekiwane ujawnienie talent Rigby'ego do znajdowania żywności tam, gdzie z pozoru wcale jej nie było, Cooper zapewne szybko wyzionąłby ducha.

A Darby stracił wzrok w lewym oku.

Czterej przyjaciele ze szkolnej ławy stali się sobie bliżsi niż niejedni bracia. Udało się im powrócić do dawnego życia, wziąć

się w garść i stanąć na nogi. Zawsze mogli na siebie liczyć. Swego czasu, gdy Gabe poprosił druhów o pomoc, wszyscy przybyli od razu, w pełni gotowi narazić się na śmieszność przy okazji rozwiązywania problemu tych przeklętych ptaków. Teraz pragnęli podać pomocną dłoń Cooperowi i nie zadawali zbędnych pytań.

- Gabe się odezwał? - spytał Coop.

Sięgnął po butelkę i wypił potężny łyk, nie kłopotząc się nalewaniem trunku do stojącego obok kieliszka.

- Dzisiaj rano otrzymałem od niego list - odezwał się Rigby. - Ma nadzieję wkrótce powrócić do miasta, do tego jest gotów przyspieszyć przyjazd ze względu na ciebie. Nadal usiłuje zapamiętać nad sytuacją po przygodzie z ubiegłego tygodnia. Musi też dojść do ładu z Theą, która uznała, że ma sporo nowych obowiązków.

- Innymi słowy, oboje zamierzają się ukrywać tak długo, aż ludzie przestaną o nich mówić i wezmą na języki kogoś innego - dodał Darby. - Jeśli nie uśmiechnie się do nas szczęście, zapewne będziesz mógł się skupić na wspieraniu Gabe'a.

- Więc żaden z was nic nie widział? - spytał Cooper, tracąc resztki nadziei, którą żywił przez całą drogę powrotną do hotelu.

- *Au contraire, mon ami* - oświadczył Darby i uniósł kieliszek. - Jako człowiek obdarzony ponadprzeciętnym intelektem, w okamgnieniu uświadomiłem sobie, że nie ma żadnego powodu, by dorożka zjeżdżała w zaułek prowadzący do stajni na tyłach posiadłości. Z tego względu, nadal ukrywając się roztropnie w gęstwinie ciernistych krzewów, z wielkim zagrożeniem dla swego zdrowia i życia obserwowałem, jak dorożka się przybliżyła. W końcu, wybrawszy najodpowiedniejszy moment, wyskoczyłem niczym szybkonogi zając i pognałem do powozu. W tej samej chwili jakiś cymbał, którego nie wymienię z nazwiska, gwizdnął tak głośno, że zadrżały mury. Nic więc dziwnego, że pasażer owej dorożki pośpiesznie wcisnął się w jej najciemniejszy kąt, by pozostać nierozpoznanym.

- Wspaniale - burknął Cooper z przekąsem. - Właśnie takie mam szczęście. Kaprawe.

- Niezupełnie. Czy mogę powrócić do swej opowieści? Słyszac

gwizd, dorożkarska szkapa przeraziła się i stanęła dęba, ja zaś odskoczyłem z powrotem w kolczaste krzaki, by uniknąć stratomania. Zdołałem jednak wyłonić się ponownie w samą porę, by nożem przeorać tył pojazdu, a w każdym razie pozostawić na nim dość długą rysę.

- Miejmy nadzieję, że dzięki temu uda się nam rozpoznać dorożkę - dodał Rigby z podziwem. - Jeśli o mnie chodzi, osiągnąłem naprawdę niewiele. Dorożka przyjechała i pojechała, a ja ledwie zdołałem sobie uświadomić, że na pewno nie uda mi się jej dogonić. Niemniej poczyniłem pewne godne uwagi spostrzeżenie. Darby, to nie była dorożka.

- Słucham?

Rigby wypił łyk wina, wyraźnie stopniując napięcie.

- Pojazd miał wyglądać jak dorożka, lecz koń prezentował się stanowczo zbyt dobrze - oświadczył, gdy zyskał pewność, że przyjaciele niemal przebierają nogami ze zniecierpliwienia.

- To niewykluczone - przyznał Darby ostrożnie. - Osobiście nie przyjrzałem się zwierzęciu, gdyż całą uwagę skupiłem na pasażerze. Koń zachowywał się nerwowo, prawda? Dorożkarskie chabety snują się leniwie, nawet jeśli tuż obok nich wypali armata. - Zerknął na Coopa, który myślał intensywnie, przygryzając dolną wargę. - Co ty na to? Nikt nie zwraca uwagi na dorożki. Ciekawe, czy nasz szantażysta tylko udaje niezamożnego.

- To na pewno ktoś wykształcony - dodał Coop, pomyślawszy o książkach, które musiały wyjść spod pióra osoby doskonale znającej ortografię i gramatykę. - Ktoś, kto w wyższych sferach czuje się jak ryba w wodzie. Poza tym tej nocy doszedłem do wniosku, że w grę może wchodzić kobieta, ewentualnie niski mężczyzna. - Westchnął. - Albo też młody ulicznik.

- Niemało tych wniosków, co? - zauważył Darby przekornie. - Opowiedz mi raz jeszcze o tym swoim szantażystce. Właściwie nie wiem, co takiego zamierza ujawnić światu.

- Nie mogę ci opowiedzieć jeszcze raz, gdyż wcale ci tego nie opowiadałem. Muszę cię jednak pochwalić za to, że próbujesz dowiedzieć się tego teraz, gdy jestem osłabiony. Cóż, ty również nie byłbyś sobą po kilku długich godzinach w towarzystwie panny Foster. Dlatego siadaj z powrotem, Rigby. Nie obnażę duszy

przed żadnym z was.

- To fatalnie. - Rigby westchnął. - Szczerze powiedziawszy, obiecałem Clarice, że jutro będę miał dla niej nowiny, kiedy się zjawię z codzienną wizytą przy Grosvenor Square. Clarice jest szczególnie zainteresowana tymi kilkoma długimi godzinami, o których napomknąłeś.

- Ach, piękna panna Clarice Goodfellow z uroczymi dołeczkami, która wkrótce będzie lady Clarice Rigby, twoją żoną. - Darby pokiwał głową. - Wygląda na to, że z naszego grona zostałem tylko ja.

- Kim zostałeś, Darby?

- Zostałem kawalerem, Rigby. Czyżby miłość dokumentnie odjęła ci rozum?

Cooper dopiero po chwili pojął sens wcześniejszych słów Darby'ego, gdyż wciąż usiłował odtworzyć w myślach obraz osoby, którą widział w zaułku.

- Co takiego? - spytał rozkojarzonym głosem. - Zostałeś tylko ty? Co przez to rozumiesz?

- Coop, przecież jesteś zaręczony z panną Foster. - Darby z dezaprobatą pokręcił głową. - Trudno uwierzyć, że ludzie tak szybko zapominają o ważnych sprawach.

Rigby roześmiał się głośno, co ani trochę nie poprawiło samopoczucia Coopera.

- Ogromnie się cieszę, widząc was obu w szampańskim humorze - burknął. - Poinformowałem ją, że będzie mogła odprawić mnie z kwitkiem, kiedy ta cała sprawa dobiegnie końca.

- Czy dobrze zakładam, że panna Foster dobrze się odnajduje w „tej całej sprawie”?

- Tak, Darby, dobrze zakładasz. Tyle tylko że jeśli nie powstrzymam szantażysty przed publikacją, sytuacja stanie się jasna. Panna Foster będzie miała pełne prawo zerwać ze mną, a do tego zyska powszechne współczucie i zrozumienie.

- Powiedz mi, Rigby, dlaczego twoim zdaniem nagle się zastanawiam, czy obecny tu nasz przyjaciel bardziej się przejmuje perspektywą odwołania zaręczyn niż ujawnienia prawdy o sobie? Do diaska, Coop, powiedzże nam cokolwiek, uchyl rąbka tajemnicy.

- Pozwolę sobie przypomnieć wam, że przysięgałem dochować sekretu - odparł Coop.

- Nam też nic nie powiesz? Przecież bezinteresownie narażamy dla ciebie życie. Wstydz się, Cooperze, wstydz. - Rigby mruknął do niego wymownie.

- Mam pomysł - oświadczył Cooper po krótkim namyśle. - Zadzawajcie mi pytania, a ja będę odpowiadał „tak” lub „nie”. Zgoda?

- To brzmi w porządku, prawda, Darby? W takim razie ja zacznę, jeśli pozwolicie. Coop, jak się nazywa tamta dama z książki?

- Na litość boską, Rigby, nalej sobie jeszcze jednego drinka i pozwól, że ja się tym zajmę. - Darby pokręcił z dezaprobatą głową i westchnął. - Dobrze, zaczynamy od pierwszego pytania. Czy ta kobieta odgrywa istotną rolę?

- I to ma być lepsze pytanie niż moje? - zachnął się Rigby. - Nie czytałeś tych książczyn? Oczywiście, że ta kobieta odgrywa istotną rolę. Przecież z jej powodu tu jesteśmy. Nie odpowiadaj, Cooperze, będzie inne pytanie, oby lepsze.

- Pozostanę raczej przy tym pytaniu, jeśli nie masz nic przeciwko temu - upierał się Darby. - Coop? Czy ta kobieta odgrywa istotną rolę?

Najwyraźniej miał dar dostrzegania tego, co się skrywa pod podszewką.

- Sama w sobie nie - przyznał ostrożnie Coop.

- Nie?

- Nie, Rigby - powtórzył.

- Hm. Brałem to pod uwagę, ale przyznaję, twoja odpowiedź odrobinę mnie zaskakuje. Dobrze, spróbujemy z innej beczki. - Rigby podrapał się po głowie. - Czy pierścień istnieje?

- Nie - odparł. - Powinieneś bardziej się postarać, gdyż to nie było szczególnie błyskotliwe pytanie, niestety. Panna Foster sama wydedukowała, że nie ma żadnego pierścienia.

- Czy żywisz do panny Foster romantyczne uczucie?

- Rigby, na Boga, czy to ma być nasze trzecie pytanie? - zirytował się Darby.

- Musiałem je zadać - odparł Rigby ze skruchą. - Clarice dała

mi jasno do zrozumienia, że muszę złożyć szczegółowy raport zarówno przed nią, jak i przed księżną. Tak na marginesie, księżna jest zdania, że panna Foster to dziewczyna z ikłą. Księżna podziwia ludzi z ikłą, książę zaś był wielce zadowolony, że po wyjściu z kaplicy zauważył jegomościa, który na rogu ulicy sprzedawał mięsne paszteciki.

Po tym, jak Gabe i jego Thea wyjechali z Londynu, narzeczona Rigby'ego, niegdyś pokojówka Thei, a obecnie panna Clarice Godfellow rodem z Wirginii, zamieszkała z księżną i księciem Cranbrook, przy których zamierzała pozostać aż do ślubu. W praktyce oznaczało to, że Rigby niemal na stałe zagościł przy Grosvenor Square, bowiem nie mógł wytrzymać dłużej niż kilka godzin z dala od ukochanej.

- Spróbuj jeszcze raz, Darby - zachęcał Cooper. - Powiedzmy, że to pytanie się nie liczyło.

- To chyba szlachetnie z twojej strony - wymamrotał Rigby. - Ale jestem w kropce. Wygląda na to, że będę musiał sam coś wymyślić, choć nie rozumiem, dlaczego nie chcesz odpowiedzieć.

- Nie tyle nie chcę, ile nie mogę - odrzekł Coop. - Znam tę młodą damę od niespełna doby. W tak krótkim czasie nikt nie jest w stanie zorientować się w swoich uczuciach.

Pomyślał, że bardzo nieładnie jest okłamywać przyjaciół, ale wolał jeszcze nie wykladać kawy na ławę.

- To nieprawda - zaprotestował Rigby. - Wystarczył mi jeden rzut oka na pannę Frobisher i od razu wiedziałem, że nigdy nic do niej nie poczuję, nawet gdyby ktoś celował do mnie z pistoletu. Pamiętasz ją, Darby, prawda? Ciotka usiłowała mi ją narzucić kilka sezonów temu. Rozumując logicznie: skoro w jednej chwili wiadomo, kogo się nie chce, to na tej samej zasadzie od razu jasne jest, kogo się chce. Weźmy, na przykład, Clarice. Raz na nią spojrzałem, zobaczyłem ten jej uśmiech i proszę bardzo, wkrótce będę jej szczęśliwym mężem. To jak, Cooperze, odpowiesz?

- Nie.

Wyglądało jednak na to, że Rigby nie zamierza dać za wygraną, co Cooper natychmiast uznał za kolejny argument przeciwko małżeństwu. Teraz wiedział z niezachwianą pewnością, że niegdyś inteligentni mężczyźni po zaręczynach tracą rozum.

- „Nie” w znaczeniu „nie odpowiem”? - dopytywał się Rigby. - A może „nie” w znaczeniu „nie jestem nią zainteresowany”? Rozumiesz, Clarice będzie pytała, i księżna też. Mógłbyś się ulitować nad przyjacielem, któremu o poranku przyjdzie stawić czoło tym dwóm dociekliwym niewiastom.

- Biedny. Powiedzmy, że już się nad tobą ulitowałem. A teraz wróćmy do pytań. Macie jeszcze jedno. Lepiej się dobrze zastanówcie, żeby go nie zmarnować. Darby?

- Jedną chwilkę, jeśli pozwolisz. Kobieta nie odgrywa istotnej roli. Pierścień jest nie tylko nieważny, ale w dodatku nie istnieje, lecz mimo to zagrożenie w sposób oczywisty pozostaje realne. Nasz poczciwy druh jest w niebezpieczeństwie. Co więc mamy począć z tym fantem? Wybacz mi ten przydługi wstęp do pytania, ale odpowiedź będzie bardzo krótka. Tak albo nie, prawda?

- Czy mógłbyś się streszczać? - zapytał Cooper, plując sobie w brodę, że w ogóle okazał przyjacielom życzliwość.

- Ależ tak, naturalnie. Postaram się mówić krótko i węzłowato. Kobieta nieistotna, pierścień nieważny... Zatem chyba możemy też wykluczyć domek, tajemniczą damę, dozorcę... I należałoby między bajki włożyć kwestie bohaterskich wyczynów pod Quatre Bras. A mimo to szantażysta zagroził ujawnieniem czegoś, co jest tak ważne, że wezwałeś nas na pomoc. Co więcej, jesteś tak zdesperowany, że zaręczyłeś się z praktycznie nieznaną kobietą.

- Długo tak jeszcze będziesz? - Coop spiorunował go wzrokiem. - Mam za sobą ciężki dzień.

- Już prawie kończę, przyjacielu. Więc z czym zostaliśmy? Zostaliśmy z tą sprawą nadania naszemu bohaterowi ziemi i tytułu, a także ofiarowania mu pieniędzy przez księcia regenta, a dodam, że nasz panujący cierpi na niedobór gotówki. Słuchasz, Rigby?

- Mógł po prostu powiedzieć, że uważa pannę Foster za atrakcyjną. To by w pewnym stopniu zadowoliło Clarice - wymamrotał Rigby zza butelki wina, którą właśnie opróżniał.

- W takim razie będziemy kontynuowali bez ciebie - zdecydował Darby. - Chyba że zainteresuje cię moje pytanie, a właśnie teraz nadeszła pora, bym je zadał. Coop, oczekuję uczciwej od-

powiedzi – twierdzącej lub przeczącej. Jeśli nie uda się nam znaleźć i powstrzymać szantażysty, który w rezultacie spełni swoją groźbę i opublikuje taką lub inną prawdę w tomie trzecim, czy możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że stracisz życie?

Wreszcie, pomyślał Cooper.

– Tak – potwierdził.

Darby usiadł.

– Rozumiem – odparł powoli. – W takim razie co zamierzasz w najbliższej przyszłości?

– Najbliższa przyszłość to jutrzejszy ranek. Zamierzam odwołać wizytę u nowego krawca i zabrać pannę Foster na Bond Street, żeby kupić jej zaręczynowy podarek. A ty, Rigby... Zgadza się, odpowiedziałem twierdząco, więc może wreszcie zamkniesz usta? No więc co do ciebie, Rigby, pójdiesz ze swoją ukochaną do pani Yothers, która prowadzi sklep z sukniami. Clarice musi jej przekazać pewną plotkę.

– Plotkę? – powtórzył uradowany Rigby. – Clarice kocha plotki. Dziękuję, Cooperze, chyba właśnie uratowałeś mi skórę. Co takiego ma powiedzieć?

– Czuję, moi drodzy, że nie obędzie się bez jeszcze jednej butelki. Otóż nie wiem, który z was bezinteresownie zgłosi się na ochotnika do pewnej misji. – Popatrzył pytająco na przyjaciół.

– Ja się zgłaszam. – Darby nie wahał się ani chwili. – Jak rozumiesz, masz powody zakładać, że wspomniana pani Yothers pozostaje na usługach naszego szantażysty?

– Trudno mi stwierdzić to jednoznacznie, lecz Dany... – Cooper umilkł i natychmiast się poprawił: – lecz panna Foster sądzi, że to całkiem prawdopodobne. Jeżeli ma rację i jeżeli nasz szantażysta nie robi porządku ze swoimi ofiarami przed wyruszeniem w nieznaną, w przeciągu kilku najbliższych dni powinniśmy się spodziewać kolejnego listu z żądaniem sowitej zapłaty za milczenie.

Wicehrabia pokiwał głową.

– Ale wzięłeś pod uwagę możliwość, że pani Yothers to zwykła plotkara i powtórzy wszystko kilku swoim klientom, z których każdy może być na usługach szantażysty? – spytał.

– Tak, myślałem o tym – przyznał Cooper. – Niemniej musimy

od czegoś zacząć, prawda?

- Racja. Mam nadzieję, że ta plotka będzie stosownie nieobyczajna. Muszę dbać o reputację, sam rozumiesz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dany patrzyła z rozbawieniem, ale i z niejakim podziwem na swoją siostrę, która dopiero co klęczała z głową w nocniku, a teraz z niewymuszoną gracją wchodziła do salonu.

Mari, uwrażliwiona na wszelkiego typu niedoskonałości, z miejsca ruszyła ku wielkiemu bukietowi, który Dany zmodyfikowała poprzedniego popołudnia, najwyraźniej psując jej idealną koncepcję. Mari z niesmakiem zmarszczyła brwi, oceniła kompozycję zarówno wzrokiem, jak i dotykiem, a następnie usunęła cztery kwiaty – te same, które Dany wyszarpnęła, żeby zrobić wrażenie na lordzie Townsendzie.

Raz, dwa, trzy, cztery... i bukiet ponownie był idealny.

- Ktoś bardziej małostkowy zapewne by cię znienawidził – burknęła Dany, gdy Mari rozsiadła się na kanapie i poprawiwszy fałdy żółtej sukni, złożyła dłonie na podolku.

- Ktoś bardziej inteligentny zapewne by mnie naśladował – odparła Mari głosem ociekającym słodyczą. – Mama po wielokroć zachęcała cię do tego. Spójrz tylko na mnie. Jedna z niezliczonych prowincjonalnych panien z szanowanej, lecz, sama przyznasz, dość przeciętnej rodziny, teraz jest hrabiną. Ciężko pracowałam, by to osiągnąć. Latami chodziłam z książką na głowie, chcąc poprawić posturę. Całymi dniami musiałam znosić deskę przytroczoną do pleców. Brałam lekcje sposobu bycia, muzyki, szkoliłam głos, malowałam akwarelami, haftowałam. I trwało to długie lata, Dany.

Jej uśmiech zniknął.

- A ty? – spytała smutno siostrę. – Wystarczyło, że przez niezdarność złamałaś obcas, a niespełna dwanaście godzin później byłaś już narzeczoną bohatera spod Quatre Bras, najbardziej pożądanego i najwyżej ocenianego kawalera w całej Anglii. Danielo, jeśli ktokolwiek miałby tutaj kogokolwiek nienawidzić, to raczej ja ciebie niż ty mnie.

Dany uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- A ten bohater odzyska twoje listy, dzięki czemu Oliver o niczym się nie dowie - zauważyła przytomnie. - Wierzysz w to, prawda?

- Muszę w to wierzyć. Jeśli tak się nie stanie, moje życie będzie całkowicie i definitywnie skończone.

- Hrabia się odezwał? - zapytała ostrożnie.

Mari pokręciła głową.

- Ani słowem, odkąd zawiadomił mnie listownie, że wraca za dwa tygodnie - odetchnęła ciężko. - To było trzy dni temu. Pół miesiąca to wystarczająco dużo czasu, prawda? Powiedz, że tak.

Dany dyskretnie skrzyżowała palce.

- Już wcześniej ci mówiłam, że wiadomość od szantażysty nie pozostawiała cienia wątpliwości - podkreśliła. - Skontaktuje się z tobą w inny sposób, już nie poprzez dziuplę. Zwróci ci listy w dobrej wierze, a wówczas wybrany przez ciebie wysłannik przekaże jego listy we wskazanym miejscu i czasie. Szantażysta doskonale rozumie, że nie dysponujesz już absolutnie żadnymi funduszami, co przecież wyjaśniłaś w swoim liście, dlatego przyjął granaty jako zapłatę.

Dany pomyślała, że musi dopilnować, aby listy trafiły do ognia, a nie zostały zachowane przez Mari jako romantyczna pamiątka. Tylko tego brakowało, by pewnego dnia ktoś je znalazł i ponownie rozpętał burzę!

Dany kochała siostrę, lecz nie bez powodu uważała, że bywa ona głupia jak but.

- To bardzo miło z jego strony, zważywszy na okoliczności, prawda? - zapytała Mari, dając dowód na to, że w istocie czasami całkiem traci zdolność logicznego myślenia.

Dany dyskretnie wzniosła oczy ku niebu.

- Twój szantażysta to najmilszy z pocziwców, bez dwóch zdań - potwierdziła nieco zbyt szybko i zbyt kąśliwie. - Kto wie, czy nie jest dżentelmenem w każdym calu.

Mari uniosła głowę.

- A teraz stroisz sobie żarty - burknęła, wyraźnie nadąsana. - Mam świadomość, że to ohydny złoczyńca, ale przecież mógłby być gorszy, sama przyznasz.

- Och, jak najbardziej. Mógłby, na ten przykład, napisać jakąś tanią książkę na twój temat.

- Tanią książkę? - Mari zadrżała. - Czemu przyszło ci do głowy coś tak niemądrego?

- Och, zupełnie bez powodu. - Dany pomyślała, że jest równie głupia jak siostra, a na dodatek w ogóle nie umie trzymać języka za zębami. - Chyba właśnie usłyszałam, jak lokaj otwiera drzwi wejściowe. Tak, na pewno. - Szybko sięgnęła po torebkę i rękawiczki, po czym w pośpiechu ruszyła w kierunku holu. - Pa! Mari. Jadę na Bond Street, żeby doprowadzić barona do bankructwa.

Coop właśnie wchodził, kiedy wypadła z salonu.

- Za dużo mówię - wymamrotała, mijając go. - Wychodzimy, i to natychmiast.

Posłusznie włożył kapelusz z bobrowego futra, który dopiero co zdjął na widok Dany.

- Czy mogę się zgodzić? - zapytał, ruszając za nią. - Czy też bezpieczniej będzie powitać cię najzwyczajniejszym w świecie: „Dzień dobry, moja droga”?

Zatrzymała się na chodniku i ze zdumieniem wbiła wzrok w wielki, kryty powóz.

- A cóż to takiego? - Przeniosła spojrzenie na Coopera. - Przecież nie pada. Świeci słońce, jest całkiem ciepło. Dlaczego mamy się poruszać tą landarą? Wstydzisz się mnie? Chcesz mnie ukryć przed światem? - zasypała go gradem pytań.

Zrobiło się jej gorąco, gdy Cooper wziął ją pod rękę.

- Wstałaś lewą nową, co? - spytał łagodnie. - Trafiałaś w dziesiątkę, chcę cię ukryć.

- Wcale nie. W powozie ktoś siedzi, prawda? Tylko mi nie mów, że to wicehrabia. Znam go raptem jeden dzień, ale i tak już wiem, że na pewno jeszcze nie podźwignął się z łóżka.

- Albo do niego nie dotarł - zauważył Coop. - Wybrałem dyskretnie zabudowany powóz, gdyż będziemy podróżowali wspólnie, ale na Bond Street dotrzemy o różnych porach. O naszym spotkaniu zadecyduje przypadek, jeśli mnie rozumiesz.

- Tak, rozumiem. - Skinęła głową. - A zatem obmyśliłeś plan. Dzięki Bogu, że przynajmniej ty na coś wpadłeś.

- W rzeczy samej, mam pewien plan - przyznał. - Nie jest

może szczególnie błyskotliwy, ale trudno. Teraz chodź, przedstawie cię moim przyjaciółom i sprzymierzeńcom.

- Czy twoi sprzymierzeńcy są również moimi? - zapytała ostrożnie Dany.

- Nie sądziłem, że potrzebujesz sprzymierzeńców.

- Przecież jesteśmy razem, prawda? Moim zdaniem byłoby nie od rzeczy, gdyby wsparła mnie cała armia sojuszników.

- Widzę, że zapowiada się przyjemny poranek. - Ciężko westchnął.

- Może byłabym przyjemniejsza, gdyby udało mi się zasnąć po tym, jak do mnie dotarło, że Mari wpadła w podwójne tarapaty, kiedy znalazłam tak potrzebnego jej bohatera.

- Ostrzegałem cię, że marny ze mnie bohater - przypomniał jej Cooper. - Wsiądź, a ja spróbuję wytłumaczyć sam sobie, dlaczego twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność.

Stangret pospiesznie rozłożył schodki przed drzwiami do luksusowego powozu.

- Moje towarzystwo sprawia ci przyjemność? - zdumiała się. - Mówisz poważnie?

- Dlaczego sprawiasz wrażenie wstrząśniętej? - spytał z zainteresowaniem. - Czyżbyś również lubiła przebywać blisko mnie? Lepiej już wsiądźmy, nie powinniśmy tak długo zwlekać.

Dany powiedziała sobie, że nie ma innego sensownego wyjścia. Wsiadła i zajęła miejsce w powozie. Po chwili dołączył do niej Coop, dając znać stangretowi, że pora ruszać. W środku siedziały jeszcze dwie elegancko ubrane osoby, obie z szerokimi uśmiechami na twarzach.

- Och, Coop, jest piękna! - zawołała młoda blondynka z dołeczkami na policzkach.

Miała na sobie szokująco różowy zakiet oraz słomkowy czepek z czerwonymi wisienkami i wielką zieloną kokardą pod brodą. Mówiła nieco piskliwym, lecz uroczym głosem, słodko przeciągając samogłoski, co świadczyło o tym, że nie urodziła się w Anglii.

- Jerry, nie powiedziałeś mi, że jest taka piękna. - Lekko pacnęła towarzysza w przedramię. - Szczegóły, skarbie. Jak powiada księżna, jeśli masz się nam do czegoś przydać, musisz pamiętać o szczegółach.

- Tak, Clarice - przytaknął skruszonym tonem pucułowaty mężczyzna.

Dany doszła do wniosku, że to musi być baronet Jeremiasz Rigby, o którym mówił wczoraj Coop. Rigby był rudy jak marchewka, a kolor jego włosów silnie kontrastował z intensywnymi rumieńcami.

- Niemniej napomknąłem o fryzurze, prawda? - dodał pośpiesznie.

Clarice pochyliła się i z czułością pocałowała Rigby'ego w pulchny policzek.

- A jakże, w rzeczy samej, mój kochany. - Przeniosła spojrzenie na Dany, która na próżno czekała, aż Coop wyjaśni jej zaistniałą sytuację. - Dzień dobry, panno Foster. Jestem Clarice Goodfellow, z Fairfax w Wirginii, ale już za niedługo to będę lady Clarice Goodfellow Rigby. A ten tu to mój Jerry. - Wskazała narzeczonego kciukiem. - Ale z niego przystojniak co się zowie, nie? No pewnie, że tak. Jerry, przywitaj się.

- Dzień dobry, panno Foster - wydusił z siebie Rigby i uchylił kapelusza. - Przepraszam, że nie wstanę. To wielki zaszczyt panią poznać.

Z zauważalną rozpaczą popatrzył na Coopera.

- Witam pana - odparła Dany. - I panią, naturalnie. Cieszę się, że mogę państwa poznać.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podać Rigby'emu ręki, nad którą mógłby się pochylić, ale szybko doszła do wniosku, że byłoby to niebezpieczne dla wszystkich, zważywszy, że powóz przez cały czas się kołysał.

- No i co, widzisz? - zapytała Clarice i z zadowoleniem popatrzyła na narzeczonego. - Wcale nie było tak strasznie. W Anglii niezwykle trudno się przedstawić. Nigdy nie wiadomo, kto ma być pierwszy, kto ostatni. A ja tam mówię, że trudności trzeba szybko pokonywać. I najlepiej będzie, jak od razu ustalimy, że do mnie najlepiej mówić Clarice, a Jerry to niech będzie Rigby, bo oprócz mnie to wszyscy tak na niego wołają. No a Cooper to Coop, a ty jesteś Dany, dobrze mówię? I już, wszystko ustalone. Lubię kiedy sytuacja jest jasna, zwłaszcza wśród przyjaciół, no i konspiratorów, to już zupełnie niesamowicie. Tak jak o tym my-

śle, to chyba zawsze miałam chętkę konspirować w dobrym towarzystwie.

Dany pomyślała, że jej siostra na szczęście nie musi wysłuchiwać opinii Clarice Goodfellow. Zarówno Dany, jak i Mari doskonale znały zasady etykiety, gdyż zostały one im wpojone w dzieciństwie. Gdyby Mari znajdowała się teraz w powozie, z pewnością wytrzeszczyłaby oczy i z szeroko otwartymi ustami poddawałaby się trzeźwiącym zabiegom pokojówki, która szperałaby w torebce swej pani w poszukiwaniu piór do podpalenia, po czym okadziłaby nimi nos Mari.

- To cudowna propozycja, Clarice - powiedziała Dany życzliwie. - Prawda, Coop?

Ponownie zerknęła na swojego towarzysza, który usilnie unikał kontaktu wzrokowego zarówno z nią, jak i z pozostałymi pasażerami powozu. Przyszło jej do głowy, że jest zbulwersowany, ewentualnie oszołomiony lub zażenowany. Dopiero po chwili zauważyła, że Cooper z trudem oddycha, a jego oczy szkliście lśnią w półmroku.

Innymi słowy, z najwyższym trudem powstrzymywał się od śmiechu.

Nie mogła pozwolić, żeby tak się męczył. Groziło mu, że lada moment straci panowanie nad sobą i powie coś, czego potem oboje będą żałowali.

- Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości, Clarice - oświadczyła. - Formalności są takie... Och, zabrakło mi słowa. Coop, mój drogi, jeszcze nie uczestniczyłeś w tej ze wszech miar sympatycznej pogawędce. Może zechciałbyś mnie wesprzeć?

Coop tylko zacisnął wargi i energicznie pokręcił głową. Wolał nie otwierać ust.

- Nie? - westchnęła. - A to szkoda. Zaraz, już wiem. Tylko powiedzcie mi, czy dobrze to ujęłam. Formalności są takie... formalne.

- Właśnie tak! - Clarice wycelowała palec w Dany. - Nic dodać, nic ująć, prawda?

Dany podejrzewała, że lord Cooper Townsend nie śmiał się szczerze i głośno już od bardzo dawna, a teraz nadrabiał zaległości. Zanosił się, chichotał i rechotał, a gdy na moment udało mu

się zaczerpnąć powietrza, wyszeptał do Dany „zabiję cię” i ponownie się roześmiał.

- To ze zdenerwowania - oceniła Clarice i ze znawstwem pokiwała głową. - Od mojego Jerry'ego wiem, że Coop ma okropne problemy. Jerry nie chce wyjawiać jakie, bo dobry i dyskretny z niego przyjaciel, ale i tak w końcu to z niego wyciągnę. Ojej, teraz ma czkawkę, prawda? Jerry, zerknij no do skrytki, może schowała się tam jaka butelczyna. Żeby pozbyć się uporczywej czkawki, nie ma jak wychylić kapkę mocniejszego trunku. Jak powiada mój wujek, co to go nazywamy Grząski, bo kopie doły pod wygodki i tak na życie zarabia, „Jak kto ma czkawkę i nic na to nie poradzi, niech na nią nie baczy”. Tak, Jerry, wiem, nie musisz mnie trącać. Nie powinnam była tego mówić, choć sama pojęcia nie mam, czemu właściwie, skoro każdy z wygodki korzysta, i to nie raz dziennie, jak kto ma wygodkę, rzecz oczywista. Wygodka to wygodka i tyle, to się już nie zmieni, Jerry, choćbyś nie wiem jak mnie szturchał. No bo przecież w Anglii też są wygodki, no nie?

- Są, lecz to nie powód, żeby o tym dyskutować - jęknął Rigby zduszonym głosem. - Wygodki istnieją, ale po co o nich mówić?

- Po mojemu to jest tak, że w wygodce niejedno można usłyszeć. - Clarice wydeła usta.

Dany obawiała się przez chwilę, że baron pęknie ze śmiechu lub przynajmniej, zgięty w pół, stoczy się z kanapy. Udało mu się jednak opanować i wyprostować z godnością, jak na dżentelmena przystało.

- Najmocniej przepraszam - powiedział i czknął po raz ostatni. - Clarice, jesteś najprawdziwszym skarbem, który nie sposób przecenić.

- Dziękuję, Coop, ale to nieprawda. Na ten przykład dzisiejszą ceną za upominanie mnie, choć nie powiedziałam nic szczególnie drożnego, będzie nowy czepek. Prawda, Jerry, skarbie?

- Nawet dwa, jeśli tylko zechcesz - obiecał jej Rigby. W tym samym momencie powóz zatrzymał się przy krawężniku. - I oto jesteśmy, zaledwie ulicę od Bond Street.

Coop wyciągnął zegarek, a Rigby poszedł w jego ślady.

- O w pół do pierwszej macie być w sklepie - zdecydował Co-

oper. - Pamiętajcie, my wejdziemy parę minut później, żeby nie wzbudzić podejrzeń pani Yothers. Wiesz, co masz mówić, Clarice?

Clarice podniosła wzrok znad drobiazgów, które właśnie zbierała. Rękawiczki i torebkę postanowiła wziąć ze sobą, a obszytą koronką parasolkę wręczyła Rigby'emu.

- O mnie się nie martw, głuptasie - powiedziała niefrasobliwie.
- Księżna powiada, że kłamię jak z nut. To komplement, skarbie - wyjaśniła Rigby'emu.

Gdy oboje wysiedli, stangret zamknął drzwi i powóz, z Cooperem i Dany w środku, ruszył powoli.

- Dany? - Coop uniósł brwi. - Dlaczego nie interweniowałeś, kiedy robiłem z siebie skończonego głupek? Nie byłeś ani trochę rozbawiona?

- Byłam rozbawiona - odparła, powstrzymując się od śmiechu.
- Nie jestem taka jak moja siostra. Ona z pewnością zareagowałaby inaczej.

- W takim razie gratuluję ci samokontroli. Na swoją obronę dodam, że nie nabijałem się z Clarice.

- Skądże, oczywiście, że nie. Ta dziewczyna ma ogromne poczucie humoru. Zwijając się ze śmiechu, zapewne nie zauważyłaś, że do mnie mrugnęła. Właściwie kim ona jest, poza tym, że panną Goodfellow z Fairfax w Wirginii?

- Wychowała się z Theą, narzeczoną Gabe'a, a przybyła tutaj jako jej pokojówka. Nikt jednak o tym nie wie. Rigby tylko na nią spojrzał i od razu się zakochał, a księżna próbuje zrobić z niej damę. Clarice całkiem nieźle sobie radzi. Minęło zaledwie kilka tygodni, więc trudno się dziwić, że od czasu do czasu coś jej się wymysknie.

- Z pewnością bardzo ją polubię - odparła Dany. - Ale w tej chwili, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym bliżej poznać twoje plany. Dotąd zakładałam, że wybieramy się do pani Yothers na... rekonesans. Czyżbym była w błędzie?

- Nie, nie byłeś w błędzie, ale wczoraj w nocy porozmawiałem z Darbym oraz Rigbym i wpadliśmy na inny pomysł. Jak rozumiesz, nie chcemy sprawiać wrażenia zbyt podejrzliwych, więc musimy postępować ostrożnie. A może planowałeś wmaszerować

do środka i grożąc szpilką do kapelusza, zmusić panią Yothers do mówienia?

- Nie, już po pięciu minutach namysłu porzuciłam ten zamiar. - Uśmiechnęła się. - Przez resztę nocy na próżno czekałam na natchnienie. To szalenie przygnębiające, gdyż zwykle dość dobrze sobie radzę w takich sytuacjach. Moja matka wręcz uważa mnie za osobę przebiegłą. Na swoją obronę mogę tylko dodać, że troska o Mari przyćmiła mi umysł. Cóż, w trakcie tej misji muszę zdać się na twoje przywództwo, co stwierdzam z przykrością.

- Czy mogłabyś zapisać to, co przed chwilą powiedziałaś? Warto odnotować te wiekopomne słowa.

- A zdaniem Mari to moje dowcipy są wysilone - odparła i westchnęła ostentacyjnie. - Skoro o mojej siostrze mowa, powiedziałam jej to, co kazałeś, więc teraz jest szczęśliwa i odprężona. Sądzi, że już nie ma się czym przejmować. Po raz pierwszy w życiu okłamałam ją bez najmniejszej satysfakcji.

- Nie mogłaś wyjawić jej prawdy - podkreślił Coop, gdy powóz ponownie się zatrzymał. - Jesteś gotowa?

Dany wyjrzała przez okno.

- To nie jest zakład pani Yothers - zauważyła z lekkim zaskoczeniem. - Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Cooper odczekał krótką chwilę, a gdy lokaj rozłożył już schodki, pomógł Dany wysiąść z powozu.

- Ale nie zrobisz sceny, prawda? - spytał ostrożnie i popatrzył jej w oczy. - Obiecuj.

- Dlaczego miałabym cokolwiek obiecywać? - zdumiała się. - Dokąd mnie prowadzisz?

- Minerwa, moja matka, powiedziała, że w całym Londynie jest tylko jeden lepszy zakład jubilerski. - Lokaj pobiegł przodem, żeby otworzyć przed nimi drzwi do małego sklepu. - Och, nie opieraj się. Za chwilę wybierzesz pierścioneł zaręczynowy Townsendów. Następne pokolenia będą patrzyły na klejnot, który dzisiaj stanie się twoją własnością.

- Nie będzie następnych pokoleń, jeśli nietrafnie wybierzesz narzeczoną - zauważyła z mocno bijącym sercem.

- Świat musi widzieć, że zostaniesz moją żoną, więc nie obędzie się bez pierścionka. Moja matka oraz księżna przez cały

wczorajszy wieczór rozpowiadały na lewo i prawo, że bohater spod Quatre Bras wkrótce zostanie szczęśliwym małżonkiem. Na tę wieść jedna z rodzicielek obwieściła, że nie postąpiłem, jak należy, zaręczając się, nim jej córka zdążyła stanąć na nogi po od-rze i pospieszyć do Londynu. Jak butnie stwierdziła ta matrona, pozostaje mi tylko pogonić to łase na mój majątek, prowincjonal-ne pomiotło i paść na kolana przed jej urodziwą córką.

- Łase na majątek pomiotło? - oburzyła się Dany. - Naprawdę ktoś śmiał tak powiedzieć? Jestem siostrą hrabiny Cockermouth i córką Henry'ego Erasmusa Fostera. Moja krewna, lady... Zresztą mniejsza z nią. W ubiegłym roku uciekła do Włoch ze swoim stajennym, ale to bez znaczenia. Nazywam się Daniella Foster i nie jestem żadnym pomiotłem.

Nie posiadała się ze zdumienia, kiedy Cooper wziął ją za rękę i ucałował każdą z osobna, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Nerwowo oswobodziła dłonie, w których poczuła wielce niepokojące mrowienie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała podejrzliwie.

Coop pokręcił głową.

- Zapewne dlatego, że całując cię w usta, ostatecznie przypie-czętowałbym twój los - odrzekł. - Przecież stoimy jeszcze na chodniku i kilka osób udaje obojętność, jednocześnie z uwagą ob-serwując każdy nasz ruch. Właśnie sobie uświadomiłem, że nie mam wyboru. Wystarczyło, że okazałaś życzliwość Clarice, celo-wo wprawiłaś mnie w lepszy humor udawanym brakiem rozumu i spokojnie się broniłaś.

- Ach. Hm. No tak. - Dany podwinęła palce u stóp. - Mówisz to wszystko tylko po to, żebym grzecznie weszła z tobą do środka.

- Raczej nie - odparł niemal całkowicie szczerym głosem Coop. - A wejdiesz?

- Tylko pod warunkiem, że nie kupisz mi żadnych granatów - zastrzegła się Dany.

- Daję ci słowo honoru, że tego nie zrobię - oświadczył.

Wzięła go pod rękę i ruszyli do zakładu jubilerskiego, w którym Dany po raz pierwszy w życiu miała wybrać dla siebie biżuterię.

Pierwsze, co rzuciło się jej w oczy w długim, wąskim sklepie, to całkowity brak wyeksponowanych świecidełek. Nie było tam ani

naszyjników, ani kolczyków, ani pierścionków, ani nawet szpilek do krawatów. Pod bocznymi ścianami ustawiono regały z niezliczonymi szufladami. Każda była wyposażona w mosiężny uchwyt, zamek oraz białą tabliczkę z informacją o zawartości. Do szuflad zainstalowanych wyżej przysuwało się drewniane drabiny, sięgające wysokości pięciu metrów.

Tak wyglądał magazyn biżuterii.

Obok długich, wąskich gablot bliżej środka pomieszczenia na gości czekały wysokie stołki obite fioletowym aksamitem. Po sklepie kręciło się sześciu subiektów z czarnymi skórzanymi daszkami na czołach i w koszulach z rękawami owiniętymi aż po nadgarstki białym papierem, który nie zsuwał się dzięki czarnym tasiemkom. Nie ulegało wątpliwości, że nikt tutaj nie ma szansy ukryć precjozów w rękawie i wynieść ich chyłkiem.

Dla większego bezpieczeństwa klejnotów w pokoju czuwało kilku krzepkich jegomościów o nadzwyczaj srogim wyglądzie.

W tym momencie w sklepie znajdowało się jeszcze dwóch klientów. Jeden dżentelmen z uwagą wpatrywał się w wyłożone na tacy brosze ozdobione brylantami, a drugi rozmawiał ze sprzedawcą, najwyraźniej na tyle godnym zaufania, że miał prawo nosić frak.

- Wielkie nieba - wymamrotała Dany. - Trudno powiedzieć, czy weszliśmy do kościoła, czy do więzienia.

- Niezbyt tu przytulnie, prawda? - zgodził się Cooper. - Chyba wolałbym stawić czoło paru plutonom doborowych wojaków Bonapartego. Pamiętaj, jesteś klientką. To nie jedyny jubiler w Mayfair.

- W takim razie będę naśladowała Mari. Ostrzegam cię, moja siostra bywa żenująca. Posłuchaj, ten klient kłóci się z subiektem we fraku.

- Z właścicielem - poprawił ją Cooper. - Ale masz słuszość, doszło do jakiegoś sporu. Skoro i tak nikt nie zwraca na nas uwagi, gdyż wszyscy strzygą uszami, może również spróbujemy podsłuchać, o czym mowa?

- To samo przyszło mi do głowy. Całkiem dobrze się rozumiemy, prawda? Może nie doprowadzę do całkowitej ruiny twoje przyszłe pokolenia.

- Cicho - burknął Cooper ze zniecierpliwieniem, najwyraźniej puszczając jej słowa mimo uszu.

- Wiesz, chyba jednak zrujnuję i ciebie, i twoich następców - wymamrotała niezadowolona. - Au!

Coop bezceremonialnie pociągnął ją za siebie, widząc, jak rozłoszczony klient maszeruje obok nich do wyjścia. Po chwili mężczyzna zatrzasnął za sobą drzwi i zapadła cisza.

- Rety. - Dany wyłoniła się ze swojej kryjówki pomiędzy plecami Coopera a jedną z długich gablot. - Co tu się wydarzyło?

- Zaraz sprawdzimy. - Coop wziął ją za rękę.

Na widok nowych klientów właściciel przestał wachlować się chusteczką. Był niski i niemal dramatycznie chudy, a jego kartoflowaty nos dziwnie kontrastował z resztą drobnego ciała. Głowę miał łysą jak kolano, za to kruczoczarne, krzaczaste brwi imponująco sterczały na wszystkie strony. Trudno było uwierzyć, że taki człowiek istnieje naprawdę, gdyż wyglądał jak nakreślona atramentem karykatura.

- Proszę przyjąć najszczerze przeprosiny w związku tym, czego szanowni państwo byli świadkami w moim sklepie - powiedział piskliwym głosem, o oktawę wyższym od głosu Dany. - Rzecz w tym, że niektórzy fatalnie przyjmują słowa prawdy.

- Nie przypadła mu do gustu cena, którą pan podał? - spytał Cooper z zainteresowaniem.

- Musiałbym być naiwnym głupcem, żeby zapłacić mu tyle, ile żądał za te świecidełka.

Jubiler wskazał naszyjnik z granatami, bransoletę i kolczyki, walające się po ladzie.

- Jejku. - Dany zrobiła wielkie oczy.

- Jak mniemam, cały ten komplet należy teraz do mojej skromnej osoby, biorąc pod uwagę, że tamten dżentelmen niemal rzucił nim we mnie - dodał właściciel.

- Doprawdy? - Cooper sięgnął po naszyjnik i obejrzał go z uwagą. - Podoba ci się, skarbie?

- Ogromnie przypomina mi biżuterię, którą otrzymałam od babki - odparła Dany ze stoickim spokojem.

- Jaśnie wielmożny pan z pewnością nie będzie zainteresowany tymi świecidełkami - wtrącił się jubiler. - Są niebrzydkie, lecz to

tylko szkiełka, w dodatku pośledniej jakości, o czym napomknąłem mojemu niezadowolonemu klientowi. Nazywam się Jonathan Birdwell i jestem właścicielem tego sklepu – dodał, wyprostowując się z godnością. – Czym mogę służyć jaśnie wielmożnemu panu?

Dany spojrzała na siebie w lustrze, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie stała się niewidzialna.

Cooper odłożył naszyjnik na czarny skrawek aksamitu, ten sam, w który on i Dany owinęli biżuterię przed ukryciem jej w dziupli. Następnie zerknął w stronę drzwi, ale nie miał najmniejszego zamiaru gonić za niezadowolonym klientem, który zapewne i tak był już daleko.

– Prawdę powiedziawszy, kusi mnie, by z czystej ciekawości spytać o godność tego rozczarowanego klienta – wyznał Coop.

Właściciel zawiązał biżuterię w aksamit i rzucił pakunek jednemu ze strażników.

– Przynajmniej złoto jest prawdziwe. Stopimy je – wyjaśnił mu i ponownie przeniósł wzrok na Coopera. – Obawiam się, że nie mogę udostępnić jaśnie wielmożnemu panu tej informacji, gdyż wszyscy klienci mogą liczyć na moją daleko posuniętą dyskrecję, a ten dżentelmen życzy sobie pozostać incognito.

Dany zauważyła, że Coop sięga po portfel, i postanowiła interweniować, żeby nie trzeba było się uciekać do wręczania łapówki.

– Odmawiasz udzielenia nam informacji? – oburzyła się głośno.
– To obraza! Cóż za skrajna bezczelność! Kto by pomyślał! Czy wiesz, z kim rozmawiasz, człowieczku?

– Na litość boską... – zaczął Coop, lecz Dany nie dopuściła go do głosu.

– Właśnie, na litość boską! – krzyknęła. – Lord Townsend ma rację! Chodź, mój drogi, zrobimy zakupy gdzie indziej. Może i jeszcze nie jestem twoją żoną, ale jako narzeczona mam świadomość, że otoczenie jest ci winne należny szacunek!

– Proszę zaczekać! – zawołał pan Birdwell z rozpaczą. – Najmocniej przepraszam, wasza lordowska mość. Sam nie rozumiem, jak to możliwe, że nie rozpoznałem bohatera spod Quatre Bras...

- I nie tylko stamtąd - oznajmił lodowato Coop, wysuwając fioleto-
letowy stołek dla Dany, która uśmiechnęła się szeroko, gdy posłał
jej wyjątkowo ponure spojrzenie.

- Na pewno życzysz sobie pozostać w tym przybytku, mój dro-
gi? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, położyła torebkę na
ladzie. - W takim razie mniemam, że obecny tu subiekt zechce
się wykazać większą otwartością...

- Nie znam tego człowieka z nazwiska, wasza lordowska mość
- pospieszył z wyjaśnieniem jubiler. - Takich pytań nie zadaje się
lichwiarzowi. Nic na to nie poradzę.

- Rozumiem - mruknął Coop i popatrzył na Dany. - Przyszedł
tutaj, by sprzedać granaty?

- W rzeczy samej. Dobijamy targu, od czasu do czasu. Jego
klient przekazał mu biżuterię, by w ten sposób spłacić dług, tak
to przynajmniej rozumiem. Resztę wasza lordowska mość już
zna.

- Ale nuda! - Dany demonstracyjnie westchnęła. - A ja sądzi-
łam, że usłyszę tu jakąś soczystą ploteczkę.

- Nigdy nie plotkuję, panienko. - Kosmate brwi niemal wpełzły
na czoło jubilera. - Owszem, zajmuję się kupnem i sprzedażą, ale
nie nabyłbym czegoś, co uznałbym za... Chciałem powiedzieć, że
w ogóle rzadko kiedy kupuję gotową biżuterię.

- To dobrze się składa. - Coop zajął miejsce obok Dany. - Moja
narzeczona, panna Foster, chciałaby wybrać pierścionek zarę-
czynowy, ale z nowym kamieniem, który nigdy nie był noszony.

- Tak, jasnie wielmożna matka waszej lordowskiej mości wyra-
ziła się całkiem jasno w liście, który otrzymałem dzisiaj rano. To
wspaniała dama - dodał pospiesznie na widok zmarszczonych
brwi Coopera i Dany. - I ma bardzo silną osobowość. Wczoraj
otworzyła rachunek dla waszej lordowskiej mości. Ale może
przejdziemy do jednego z naszych pokojów dla specjalnych klien-
tów, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał?

- A mnie się tu podoba - obwieściła Dany, która co prawda nie
czuła się już całkiem niewidzialna, ale nadal miała ochotę robić
usłudznemu jubilerowi na przekór.

- Pozostaniemy tutaj - zdecydował Coop. - Panna Foster ma
zawroty głowy w małych pomieszczeniach.

Dany kopnęła go w kostkę, choć uważała, że zasłużył na znacznie dotkliwszą karę.

- Naturalnie, wasza lordowska mość - zgodził się jubiler usłużnie. - Przyniosę najpiękniejsze pierścionki.

- Nawet nie pytaj - wymamrotał Coop, kiedy właściciel odszedł, przeganiając jednego ze stojących mu na drodze strażników.

- Przykro mi, ale muszę. To silniejsze ode mnie. Twoja matka założyła ci rachunek?

- To żenujące, wiem - przyznał. - Wyjaśnię ci to wszystko w stosowniejszej chwili, dobrze?

- Tak, zdecydowanie oczekuję wyjaśnień. Obiecałeś, że mi ją przedstawisz.

- Pamiętam. Obiecałem sobie również, że przeczytam poradnik młodego pszczelarza, który mi podarowała, ale niestety, nie dotrzymuję wszystkich obietnic.

- Doprawdy? Muszę to zapamiętać. - Energicznie pokiwała głową. - A zatem nasz szantażysta jest zadłużony u lichwiarza? To raczej niepokojąca informacja, gdyż ludzie tonący w długach stają się zdesperowani.

- Człowieczek, jak go niezbyt elegancko nazwałaś, powiedział coś nieco innego - zaproponował Cooper. - On tylko założył, że granaty twojej babki zostały wykorzystane do spłaty długu. Równie prawdopodobne jest jednak to, że szantażysta po prostu sprzedał je lichwiarzowi... Zaraz, zaraz. Przecież człowiek, którego widzieliśmy, wcale nie musi być lichwiarzem! - wykrzyknął. - Nawet się nie przedstawił. Psiakrew. Kto wie, czy nie widzieliśmy szantażysty we własnej osobie. Skoro dostał granaty, to zapewne postanowił je szybko sprzedać. Jak uważasz?

- To dość prawdopodobne. Nie widziałam twarzy tego człowieka, gdyż ukryłeś mnie za plecami. Czy dobrze mu się przyjrzałeś?

- Nie. Zapamiętałem tylko, że ze złością wkładał kapelusz, przy czym prawie całkiem osłaniał twarz ręką. Gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że mógł to robić rozmyślnie, o ile mnie rozpoznał. Był wysoki, lecz niższy ode mnie, ubrany dobrze, ale nie kosztownie. I nic przy nas nie powiedział. A zatem to

mógł być ktokolwiek.

- Owszem, ale skoro był wysoki, zdołałby bez trudu dosięgnąć do dziupli. To chyba dowodzi, że mamy do czynienia więcej niż z jedną osobą. - Rozentuzjasmowana Dany po chwili przygasła. - Ale tak naprawdę to niczego nie zmienia, prawda? Nie jesteśmy ani trochę mądrzejsi?

- Nieszczęśliwie - przyznał łagodnie. - A właśnie, moje gratulacje. Świetnie sobie poradziłaś z panem Birdwellem.

- Zasłużył na to. Przecież wziął mnie za twoją metresę.

- Psiakość. - Coop pokręcił głową. - Liczyłem na to, że nie zauważysz. Nie jestem szczególnie dobrze zaznajomiony z obyczajami towarzyskimi. Przepraszam, że cię tu przyprowadziłem. Wygląda na to, że wybór pierścionka należy do obowiązków pana młodego.

- Nie rozumiem dlaczego. - Zmarszczyła brwi. - Przecież to nie pan młody nosi pierścionek zaręczynowy.

- To prawda, ale raczej powstrzymamy się od przytaczania tego argumentu, dobrze?

- Nie spytamy też o cenę.

- Miałbym pytać o cenę prezentu dla narzeczonej? - oburzył się Coop. - W żadnym wypadku. To w ogóle nie wchodzi w grę.

Dany nie potrafiła się powstrzymać. Położyła dłoń na jego przedramieniu i zatrzepotała długimi rękami tak samo, jak Mari w trakcie niektórych rozmów z Oliverem.

- Jak wiadomo, prawdziwa miłość jest bezcenna - zauważyła słodkim głosem. - Jaki jesteś kochany.

- Skończyłaś? - Coop poruszył się niespokojnie.

- Nie, jeszcze nie. Jak sądzisz, czy moje włosy są rude? Dexter wielokrotnie powtarzał, że rudowłose są równie często co błędnie uważane za kobiety niestałe w uczuciach, a wręcz takie, których sympatię można kupić. Kto wie, czy pan Birdwell po prostu nie wyszedł z tak oczywistego założenia.

- Co byś powiedziała na to, żebyśmy przełożyli tę pogawędkę? - westchnął. - A może mścisz się na mnie za coś, co uczyniłem?

- Właściwie sama nie wiem. Zastanowię się nad tym. W każdym razie całkiem dobrze się bawię - wyznała szczerze. - A ty? Czy ty też dobrze się bawisz?

- Lepiej, niż zakładałem. I przez cały czas się zastanawiam, co znowu wymyślisz i zrobisz.

- Cóż, mogłabym zachowywać się grzecznie i potulnie, ale to nieznośnie trąci nudą.

- Owszem, trudno się nie zgodzić. - Cooper pokiwał głową. - A oto wraca szanowny pan właściciel. Ciekawe dlaczego uśmiecha się tak chytrze? Parada subiektów za jego plecami z pewnością niesie w tych szufladach całe naręczka klejnotów.

Dany z zaciekawieniem patrzyła, jak sprzedawcy jednocześnie kładą na ladzie siedem szuflad i z namaszczeniem ściągają z nich płachty fioletowego aksamitu. Z trudem powstrzymała chichot.

Subiekci cofnęli się o krok, stuknęli obcasami i odmaszerowali. Za plecami drobnego pana Birdwella pozostał tylko wielki niczym góra strażnik. Jego obecność dowodziła, że precjoza są naprawdę wyjątkowo cenne i że wszelkie próby kradzieży nieuchronnie zakończą się roztrzaskaniem czaszki złodziejowi.

- Wasza lordowska mość zechce popatrzeć - przemówił z powagą pan Birdwell i wskazał dłonią imponującą kolekcję. - Oto moja najwspanialsza biżuteria, do dyspozycji waszej lordowskiej mości. Diamenty, rubiny, szafiry, szmaragdy, perły, akwamaryny, topazy!

Dany najchętniej zeskoczyłaby ze stołka i zatańczyła z radości, krzycząc i śmiejąc się głośno. Nigdy w życiu nie widziała niczego równie pięknego. Z wrażenia zaparło jej dech i z trudem przełykała.

Tymczasem jubiler ponownie ją ignorował. Wybraną biżuterię pokazywał wyłącznie Cooperowi, zupełnie jakby Dany nie istniała.

- Nie - wyrwało się jej, kiedy pan Birdwell zademonstrował bogato zdobioną, złotą bransoletę z brylantami, z których największy wydawał się wręcz nierzeczywisty.

Cooper i jubiler skierowali na nią pytające spojrzenia. Dopiero wówczas dotarło do niej, że się odezwała.

- Czyżby bransoleta nie przypadła ci do gustu, moja droga? - spytał zachęcająco Coop.

- Masz mi pomóc - zwróciła się do niego władczym tonem i wyciągnęła rękę, którą ujął, żeby asystować jej przy ostrożnym zsu-

waniu się ze stołka. Dany pomyślała, że damy rzadko odwiedzały sklepy jubilerskie i dlatego meble w tego rodzaju przybytkach były tak wysokie. – Dziękuję. A teraz się cofnij, z łaski swojej.

– Nie podobają ci się brylanty? – Cooper krzepiąco zacisnął palce na jej dłoni.

– Nie podoba mi się, że pierścionek zaręczynowy Townsendów, który będzie przechodził z pokolenia na pokolenie, ma być wybrany przez dwóch dżentelmenów. Skoro sami panowie się tym zajmują, to chyba niepotrzebnie się tu fatygowałam.

– A poza tym nudzi ci się, prawda? – wyszeptał domyślnie tuż przy jej uchu.

Przygryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Cooper niewątpliwie pragnął dać jej wolną rękę. Mogła robić, co chciała, nawet jeśli to by go krępowało.

W tym momencie wpadł jej do głowy pomysł, nieświadomie podsunięty przez Coopera. Powoli i wyniośle przemaszerowała wzdłuż lady, wskazując palcem zawartość najpierw pierwszej wyscianej aksamitem szuflady, a potem drugiej.

– Nie, tego nie chcę – oświadczyła. – Z całą pewnością nie o to mi chodzi, proszę to zabrać. W żadnym razie nie diamenty. Ale to wydaje się całkiem stosowne.

Zatrzymała się przed szufladą pełną pierścionków z mniejszymi i większymi szmaragdami. Zwróciła uwagę na tę szufladę już w chwili, gdy subiekci wyłożyli towar na ladę.

Pan Birdwell szybkim ruchem ręki dał pracownikom znać, by wynieśli resztę szuflad. Po chwili pozostała już tylko jedna, więc Dany z powrotem zajęła stołek i pochyliła się nad jej zawartością.

Pierścionki prezentowały się imponująco i wyglądały na bardzo ciężkie. Dany przypomniała sobie, że Mari często narzekała, nosząc tradycyjny, masywny pierścień Cockermouthów, który utrudniał jej poruszanie palcami. Można było podejrzewać, że pierwsza panna młoda z tego rodu nie należała do filigranowych niewiast, a wszystkie pozostałe damy nie miały wyboru, musiały dźwigać narzucony przez nią ciężar. Mari nieustannie się zaklinała, że uwielbia swój pierścień, ale w takiej sprawie nie wyjawiałyby prawdy nawet w obliczu śmierci

Dany zdecydowała, że przyszłe panny młode w rodzinie Townsendów nie powinny cierpieć, nosząc nedorzecznie wielki i masywny pierścień. Zdjęła rękawiczki, gotowa przymierzyć kilkadziesiąt sztuk drogiej biżuterii, ale już w następnej sekundzie uświadomiła sobie, że to niepotrzebne.

- Ten. - Wskazała duży prostokątny kamień w skromnej oprawie, osadzony na dość szerokiej, płaskiej obrączce bez grawerunku i ozdób.

Pierścień był prosty, elegancki i zapewne tylko umiarkowanie drogi, więc Cooperowi raczej nie groziło bankructwo.

- Dama waszej lordowskiej mości ma znakomity gust. Ten kamień dopiero co przyплыł z dalekiej Kolumbii, będącej domem dla najwykwintniejszych szmaragdów na świecie.

Gdyby natura obdarzyła pana Birdwella skrzydłami, z zachwytu zapewne wzbiłby się w powietrze. Ponieważ jednak latać nie mógł, wspiął się tylko na palce i wyciągnął rękę po klejnot.

Dany okazała się szybsza. Błyskawicznie chwyciła pierścień i wsunęła na palec. Leżał jak ulał, a przy tym naprawdę idealnie pasował do barwy oczu Coopera. Szczególnie odpowiedni wydawał się wówczas, gdy zachowanie Dany wywoływało u niego szczególnie silne emocje, takie jak rozbawienie, frustracja czy złość, znajdujące odzwierciedlenie w odcieniu jego tęczywek.

- Wasza lordowska mość! - zawołał jęklawie pan Birdwell, nie spuszczać oka z dłoni Dany, jakby pierścionek mógł lada moment rozpląnąć się w powietrzu. - To oczywiste, że szmaragd został osadzony w tej obrączce jedynie tymczasowo, dla wyeksponowania jego niepowtarzalnej urody. Pierścień nie jest jeszcze kompletny, należy wybrać do niego odpowiednią oprawę. Pozwolę sobie zasugerować diamenty, i to w dużej liczbie, na różyczkach po obu stronach kamienia. Odpowiednia oprawa wyraźnie uniesie klejnot ponad misternie grawerowaną obrączkę.

- W żadnym razie. Dodatkowe zdobienia tylko przyćmią kamień. - Dany zacisnęła pięść.

Nie zamierzała rozstawać się ze swoim pierścieniem.

Rozprostowała palce, gdy Cooper wziął ją za rękę, żeby popatrzeć na klejnot.

- Czy jesteś pewna? - zapytał. - Kamień jest przepiękny, bez

wątpienia, lecz dość skromny.

- W tym jego uroda. A poza tym mam na względzie twoje dobro - wyszeptała, gdy pan Birdwell się oddalił, zapewne z zamiarem przyniesienia oprawy, o której wspominał. - Napomknąłeś, że mogę sama wybrać, a ten pierścień naprawdę mi się podoba.

Popatrzyła w oczy Coopera, lecz nie zdołała niczego wyczytać z jego spojrzenia.

- Niech więc pozostanie na twoim palcu do czasu, gdy sama postanowisz go zdjąć. Zapewne po to, by cisnąć mi go w twarz - dodał, złożywszy pocałunek na jej dłoni, a następnie odwrócił się do powracającego pana Birdwella. - Już postanowiliśmy. Kupujemy pierścień od ręki.

Dany przyjrzała się uważnie twarzy jubilera i dostrzegła na niej silne emocje. Zorientowała się, że pan Birdwell zмага się z zachwytem wywołanym szybką transakcją i niepokojem o własną reputację, wynikającym ze sprzedaży dość ekscentrycznie skromnego pierścienia.

Zachwyt najwyraźniej zwyciężył w tej potyczce, gdyż pan Birdwell nakazał zwałistemu strażnikowi odniesienie szuflady, zupełnie jakby jej pośledniejsza zawartość nie zasługiwała na szacunek.

Dany ponownie przeniosła spojrzenie na duży, intensywnie zielony najczystszej wody kamień. Pan Birdwell umieścił ten klejnot w prostej oprawie tylko dla wyeksponowania jego urody. Innymi słowy, to nie pierścień będzie kosztował majątek, tylko soliter.

Wielkie nieba, pomyślała.

- Hm - odchrząknęła i złapała Coopera za rękaw. - Może mimo wszystko spytasz go o cenę. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie popełniłam błędu w szacunkach...

- Dopiero teraz na to wpadłaś? - wyszeptał Cooper. - Uszy do góry. Moja chytra matka już uzyskała rabat, więc doprowadziłaś mnie tylko do połowicznej ruiny. - Uśmiechnął się szeroko na widok jej miny.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dany, spacerując u boku Coopera po Bond Street, wciąż się trapiła. Sądziła, że jest sprytna, a doprowadziła do wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

Inna sprawa, że pierścień ogromnie się jej podobał.

- Ejże - odezwał się Cooper z rozbawieniem. - Jesteś gotowa?

Zamrugła i odwróciła głowę. Dopiero teraz dotarło do niej, że pogrążona w rozmyślaniach nie dostrzegła, jak Cooper przystaje. Szła ze zwieszoną głową, nie patrząc wokoło, więc mogli pokonać już kilka przecznic, a nawet opuścić Bond Street.

- Hm... Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Jeśli o mnie chodzi, stoję nieopodal sklepu z sukniami pani Yothers. Nie wiem, gdzie ty jesteś, choć powiedziałbym, że stałaś się przedmiotem zainteresowania przechodniów, gdyż ignorowałam absolutnie wszystkich, podczas gdy ja przepraszając uchylałem kapelusza przed zdumionymi ludźmi.

Dany rozejrzała się na boki, czując, jak krew napływa jej do policzków.

- Bujałam w obłokach? - spytała z niedowierzaniem, zupełnie jakby nigdy dotąd to się jej nie przytrafiło.

- Raczej krążyłaś wokół księżycy - sprecyzował. - Inna rzecz, że nie miałem nic przeciwko temu. Spokojne kobiety są w moim typie.

- Zatem źle trafiłeś, mój drogi - warknęła Dany, nadal trochę na siebie zła. - Albowiem moje uczucia nie mają nic wspólnego ze spokojem. To moja wina, wiem to dobrze. Przez chwilę wyobrażałam sobie, że powinnam zachowywać się jak Mari. Gdyby nie to, byłabym sobą i zorientowałabym się, że kamień jest stanowczo zbyt piękny, więc jego cena... Nie uśmiechaj się, mówię całkiem poważnie. Doprowadziłam cię do ruiny.

- Zapominasz o rabacie, z którego korzysta Minerwa - przypomniał jej łagodnie.

- Tak, twoja matka. Pamiętam, ale nie rozumiem, z czego wynika ten jej rabat.

- Kilka osób, a wśród nich pan Birdwell, pojęło, że możliwość pochwalenia się takim klientem jak bohater spod Quatre Bras to doskonała szansa dla ich interesu. Nawet jeśli nie uświadomili sobie tego sami, to Minerwa z pewnością podsunęła im tę myśl. Zanim cokolwiek powiesz: tak, byłem wstrząśnięty na wieść o tym, co zrobiła. - Uśmiechnął się. - Mój wstrząs jednak minął, gdy wybrałaś sobie pierścień, ponieważ rabat uzyskany przez Minerwę to okrągłe pięćdziesiąt procent zniżki. Czy teraz jesteś gotowa wejść do środka i udawać zachwyty na widok swojej nowej przyjaciółki Clarice? Już jesteśmy spóźnieni, co może oznaczać, że nie mnie, lecz Rigby'emu grozi plajta.

- Wciąż nie raczyłeś mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego mam się z nią spotkać.

- Wiem - odparł spokojnie. - Chcę, byś była zaskoczona i zareagowała naturalnie. Bez obaw, Clarice wie, co robić.

- A ja nie powinnam tego wiedzieć, tak?

- Widzisz? Wiedziałem, że zrozumiesz. Grzeczna dziewczynka. Więc jak, wchodzimy?

- A cóż innego mi pozostaje? - Dany niemal zgrzytała zębami ze złości, która w niej narosła.

- Zawsze będziesz miała inne wyjście, Dany - podkreślił Coop z nieoczekiwaną powagą. - Gwarantuję ci to.

- O rety - mruknęła, usiłując złapać oddech. - Tego się nie spodziewałam. - Zmarszczyła brwi, uświadomiwszy sobie, jak zabrzmiały jej słowa. - To znaczy... Chcę powiedzieć... Mówimy o tym, co teraz... Coop, o czym właściwie mówimy?

- Sam nie jestem pewien. - Ujął ją pod brodę. - Nagle ogarnęła mnie przemożna potrzeba wypowiedzenia tych słów. I może jeszcze skoncentrowania się na bieżących sprawach, gdyż udało ci się oderwać mnie od palących problemów. Jak ty to robisz?

Dany zwilżyła wargi końcem języka.

- Sama nie wiem - wyznała. - Na pewno nie rozmyślnie. Czy jest coś, co cię rozprasza w szczególny sposób?

- Tak. Ty. - Uśmiechnął się, a jej serce szybciej zabiło. - Szczegóły chętnie wyjawię później, przy innej okazji i mniej licznej pu-

bliczności. Na razie musi ci wystarczyć, że chodzi właśnie o ciebie.

- Och... - westchnęła Dany niemal niesłyszalnie.

Czuła się tak, jakby jej świat zachwiał się w posadach. Mimoswolnie przysunęła się do Coopera, przyciągana niewidzialną siłą.

- Och, wreszcie jesteście! - rozległ się znajomy męski głos. - Spóźniliście się.

Dany pokręciła głową, żeby wyrwać się z oszołomienia. Od strony sklepu szedł zdyszany Rigby. Na jego twarzy pojawiły się czerwone plamy.

- Wybacz, przyjacielu - powitał go Cooper. - Jak bardzo się spóźniliśmy?

- O dwa czepki i jedną torebkę - poskarżył się Rigby i otarł czoło chustką, którą wyciągnął z kieszeni. - Dany, czy mogłabyś wejść do sklepu i w miarę możliwości wyperswadować jej kupno tej nieszczęsnej, ze wszystkich stron obszytej perłami torebki?

- Prawdziwymi perłami? - Dany szeroko otworzyła oczy.

- Tego nie wiem. - Rigby pokręcił głową. - Clarice zamierza je gryźć, by sprawdzić, ale udało mi się ją przekonać, by na ciebie zaczekała. Podkreśliłem, że doskonale znasz się na perłach.

Dany roześmiała się z ulgą. Najchętniej pocałowała by Rigby'ego w policzek za to, że odciągnął jej uwagę od innych, bardziej osobistych spraw.

- Wolę jeszcze się nie ujawniać, dlatego zachowamy się tak, jak zaraz ci wytłumaczę - zapowiedział Cooper. - Wyjaśnisz, że napotkawszy Rigby'ego, wysłałaś swoją pokojówkę do powozu, aby zostawiła tam twoje paczki z zakupami, a Rigby zaproponował, że odprowadzi cię do Clarice, która jest twoją bardzo dobrą przyjaciółką. - Cooper wskazał ręką sklep pani Yothers. - Gotowi? No to w drogę.

- Pomyślałaś o wszystkim, prawda? - Dany westchnęła, niespecjalnie tym ukontentowana.

Zastanawiała się, dlaczego pozwoliła mu przejąć dowodzenie. Inna rzecz, że ta sprawa zapewne odgrywała drugorzędną rolę, gdyż wkrótce mieli się wycofać ze swoich udawanych zaręczyn. Nie była pewna, czy Cooper już wiedział, jak to robi.

- Mogłam wymyślić własną historyjkę - zauważyła z lekką pre-

tensją w głosie.

- Uczynisz to następnym razem - odparł od niechcienia. - Kto wie, może powinniśmy wymyślać historyjki na zmianę.

- Znowu sobie dworujesz, ale i tak trzymam cię za słowo. Jakkolwiek patrzeć, to, że się dobrze dogadujemy, nie oznacza, że jesteśmy na siebie skazani - podkreśliła.

- Chcesz powiedzieć, że prowadzimy coś w rodzaju gry, która nie zawsze bywa przyjemna dla obu stron. Tak czy owak, każda gra ma swój koniec. - Uchylił kapelusza, odwrócił się i odszedł.

Dany dostrzegła Clarice od razu po wejściu do sklepu.

- Ha! - zawołała do niej radośnie.

Uniosła rękę i pomachała energicznie, zupełnie tak samo jak jej matka na widok kogoś znajomego. Zarówno Dany, jak i Mari zawsze były w takich wypadkach zażenowane.

Clarice odmachała i natychmiast podeszła, żeby się przywitać, po czym bez owijania w bawełnę poinformowała Rigby'ego, że jego obecność nie jest niezbędna.

Odszedł bez wahania, zapewne z zamiarem ponownego dołączenia do dam i Coopera, kiedy przejdą do sklepu z produktami bardziej godnymi zainteresowania dżentelmena, jak cygara.

Clarice wzięła Dany pod rękę i pociągnęła ją w kierunku kąta pomieszczenia, nie zważając na panią Yothers, która właśnie wyszła z przymierzalni.

- Chodź szybko, muszę wyjawić ci sekret - oświadczyła Clarice teatralnym szeptem. - Właśnie dlatego odprawiłam biednego Jerry'ego. Prawdę mówiąc, to niemal przebierałam nogami z niecierpliwości, tak bardzo chciałam podzielić się z kimś tą tajemnicą. Nigdy w życiu nie słyszałaś ciekawszych nowin, gwarantuję ci, moja droga. Na pewno skreca cię z ciekawości, co? Przyznaj zaraz, nie rób takiej wyniosłej miny.

Dany uśmiechnęła się ze zrozumieniem. A zatem na tym polegała intryga - Clarice miała przekazać jej i pani Yothers jakiś rzekomy sekret, Dany zaś powinna udawać szczere zaskoczenie. Właśnie dlatego Cooper nie wtajemniczył jej w szczegóły.

Doskonale, skoro tak, mogła udawać zdumioną. Najpierw jednak należało poczekać, aż pani Yothers znajdzie się w zasięgu słuchu, a jak na razie poprawiała szale na ekspozycji, jakby nie

zauważyła, że ma klientki.

- Sekret, Clarice? Och, przyznaj, że to silniejsze od ciebie. Po prostu musisz plotkować. - Dany pokręciła głową i zacmokała z dezaprobatą. - Wolałabym tego nie słuchać, jeśli pozwolisz. Zresztą nie należę do osób, które dają wiarę plotkom.

Clarice szeroko otworzyła niebieskie oczy.

- Ale jak to tak? - wyjąkała. - Wszyscy lubią plotki. Ty też, na pewno. Tak tylko gadasz, bo jesteś damą i inni tego oczekują. To rozumiem. Ale i tak chcesz posłuchać, prawda? No, przyznaj się.

Pani Yothers krzątała się już nieco bliżej.

- Przejrzałaś mnie, co? - Dany roześmiała się cicho. - Czy jesteś pod wrażeniem mojej ogłady?

- Chyba tak. - Clarice wzruszyła ramionami. - Na szczęście nie stroisz fochów i nie zadzieraszą nosa, bo inaczej to trudno byłoby cię znieść i w dodatku musiałabym się zachowywać najbardziej dystyngowanie, jak potrafię, a nie potrafię, i wiem to od samej księżnej. Jest okropnie kochana, naprawdę, ale brakuje mi mojej... mojej przyjaciółki od serca, Thei. - Pokręciła głową. - Mojej naprawdę wspaniałej przyjaciółki, panny Dorothei Neville. Wiesz, Thea wkrótce wyjdzie za pana Gabriela Sinclaira, przyszłego księcia. I ty, i Thea to obie jesteście miłe i ani trochę nie napuszone, więc na pewno nie będziesz miała mi za złe, jak mi się przytrafi jakie potknięcie, no góra dwa, prawda? Sama rozumiesz, moja droga, jakie to dla mnie ważne, żebym nie przyniosła wstydu mojemu kochanemu Jerry'emu.

- Wątpię, by się tym przejmował. - Dany sięgnęła po małą torebkę, którą Clarice mocno trzymała w objęciach. - Och, jaki uroczy drobiazg. Czy mogę rzucić okiem?

Clarice niechętnie przekazała jej torebkę. W ten sposób Dany, słynna specjalistka od pereł, mogła ostrożnie obrócić ją w dłoniach, z dezaprobatą pociągnąć nosem i odłożyć na najbliższym stole.

- Tak, tak - powiedziała ze znawstwem. - Ładna, ale niechlujnie uszyta. Wystarczy jeden nieostrożny ruch i nieszczęsna właścicielka torebki będzie wchodziła do sali balowej, rozsiewając wokół sztuczne perły. O czym mówiłaś, kochana?

- Nie pamiętam. - Clarice nie odrywała wzroku od torebki. -

Niechlujnie uszyta?

Dany wiedziała, że pani Yothers już na pewno zbliżyła się na tyle, by bez trudu je podsłuchiwać.

- Ależ owszem - potwierdziła. - W takich sklepach często mieszają się dobre produkty z marnymi, w nadziei, że nikt tego nie zauważy. Mama szczegółowo mi to wyjaśniła, zanim przyjechałam do Londynu. - Przynęła się do Clarice, udając dyskrecję. - Jestem gotowa założyć się o nową chusteczkę z koronki, że te perły stracą połysk, gdy tylko skapnie na nie kropla deszczu.

- Naprawdę? - wyszeptała głośno Clarice. - A gdybym tak, dajmy na to, napłuła sobie na palce, a potem tak niby przypadkiem potarła jedną z perełek na torebce...?

- Dzień dobry, drogie panie! - przywitała się pogodnie pani Yothers i pospiesznie do nich podeszła, niemal się potykając. - Najmocniej przepraszam, ale dopiero teraz zauważyłam, że Hilda pań nie obsługuje. Głupia dziewczyna, wiecznie gdzieś się włóczy. - Popatrzyła na Dany. - Och, panna Foster, prawda? Ależ naturalnie, że to pani. Jeśli wolno spytać, jak się miewa hrabina, pani siostra?

- Nie najgorzej, bardzo dziękuję. - Dany chciało się śmiać, gdy obserwowała, jak pani Yothers przebiegle narzuca szal na obszytą perłami torebkę. - I jest niezmiennie zachwycona sukniami, które wybrała.

- To doprawdy cudownie - odparła pani Yothers, po czym zmarszczyła brwi. - Czy może znalazła pani czas, aby delektować się książką, którą pani dałam, panno Foster?

- Niestety, zajmowały mnie inne sprawy.

- No coś podobnego. Jaka milutka i rozkoszna pogaduszka - wycedziła Clarice złowrogo. - Panna Foster to może i została wychowana na uprzejmą damę, więc jest gotowa tak tutaj grzecznie stać przez całe popołudnie, prowadząc bezsensowną rozmowę, ale ja to co innego. Dlatego niechże pani raczy się stąd zabrać razem z tą nędzną torebeczką. Naprawdę się pani zdaje, że nie widziałam, jak pani usiłowała ją schować? Lepiej niech no pani pomyśli, co się stanie, jak powiem księżnej! Jak będzie nam pani do czego potrzebna, to zawołamy.

Pani Yothers zrobiła taką minę, jakby chciała przypomnieć

klientce, że nie da się wyprosić z własnego sklepu. Ostatecznie jednak poszła po rozum do głowy, dygnęła najpierw przed Clarice, potem przed Dany, wymamrotała coś o szalach, które Hilda powinna była poukładać, a na koniec zwiesiła głowę i oddaliła się dyskretnie.

Dany wzięła Clarice pod rękę i poprowadziła ją bliżej kąta.

- Zapewne staniesz się królową salonów, wiesz o tym? - spytała. - Wszyscy chodzą na paluszkach wokół osób, które w każdej chwili są gotowe otworzyć usta i głośno powiedzieć to, co myślą.

- Jerry tak nie uważa. Jego zdaniem powinnam się uśmiechać i dygać jeszcze przez pewien czas, może do wiosennego sezonu. Kochany, chciałby jak najszybciej zabrać mnie z Londynu. Jakby nie wiedział, że się stąd nie ruszę. Och, właśnie mi się przypomniało, dlaczego tak się ucieszyłam. Jerry coś mi powiedział wczoraj, i to coś naprawdę niezwykłego, trudnego do uwierzenia, a w dodatku najprawdziwszego w świecie. No, ale nie wolno mi powtarzać tego, co od niego usłyszałam. Tyle tylko że zaraz wyjdę z siebie, jak ci tego nie powiem, więc chyba jednak powiem.

- Dany rozejrzała się dyskretnie, upewniając się, że pani Yothers przez cały czas strzyże uszami w pobliżu.

- Skoro to prawda, to chyba nie będzie plotkowanie, dobrze myślę? - zapytała teatralnym szeptem.

- Bardzo dobrze! - Clarice zatarła rękę. - Poznałaś Darby'ego, prawda? O ile pamiętam, Jerry mówił mi, że zawarliście znajomość. Darby Travers, wicehrabia Nailbourne. Nosi opaskę na oku, jest przystojny i lubi rozrywki, jeśli wiesz, co mam na myśli. Gabe, znaczy się narzeczony Thei, to wesoły chłop, gotów figlować i brykać, a Coop to taki wyniosły i roztropny jegomość. Mój Jerry jest dla nich niemal jak maskotka, biedaczysko, nigdy bym mu tego nie powiedziała. Tacy z nich dobrzy przyjaciele, od tak dawna. A teraz coś takiego... - Pokręciła głową. - Nawet Jerry jest zbulwersowany. Naprawdę się zgadzasz, żebyś ci powiedziała?

Dany zastanawiała się, kto pierwszy, pani Yothers czy ona, chwyci Clarice Goodfellow za gardło i wydusi z niej domniemany sekret.

- Skoro w ten sposób zapewnię ci spokój sumienia... - wes-

tchnęła, z trudem kryjąc irytację. – Tak, Clarice, chętnie się dowiem, cóż to za niezwykła tajemnica.

– No nareszcie – wymamrotała tym razem naprawdę cicho, żeby pani Yothers jej nie usłyszała.

Nawet Dany ledwie mogła zrozumieć jej słowa, więc z uwagą nadstawiała uszu.

Clarice wzięła głęboki oddech.

– Jest właścicielem lupanaru – wyrzuciła z siebie. – Tak, właśnie on. Wicehrabia Nailbourne. Ma burdel.

Dany pokręciła głową, jakby nie całkiem rozumiała to, co wyjawiała Clarice. W rzeczywistości jednak nie mogła uwierzyć, że właśnie ten sekret miała usłyszeć pani Yothers.

– Słucham? Na pewno coś ci się pokręciło – wymamrotała. – Nie sądzisz, że coś pomyliłaś?

Clarice wyniosłym gestem odgarnęła jasne loki.

– Mój Jerry nigdy nie kłamie – oświadczyła dobitnie.

– Skąd, oczywiście, że nie. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby sugerować coś podobnego. Ale to straszna informacja, Clarice. Zupełnie skandaliczna. Już lepiej, żeby został piratem albo handlował węglem. Coś okropnego!

– Jerry też tak sądzi... – Clarice westchnęła. – Powiedział, że ten cały lupanar jest tutaj, w Mayfair. To oznacza, że wicehrabia obraca się w towarzystwie mężczyzn, którzy płacą za jego usługi. Znaczy się, nie za jego usługi, tylko za usługi, które dostarcza, te, no... damskie usługi. Oj, wiesz przecież, o co mi chodzi!

– Nie mam bladego pojęcia – skłamała Dany, serdecznie żałując, że z uwagą wysłuchiwała tego, co mówił jej brat na temat spraw, o których nic nie powinna wiedzieć. – Clarice, Rigby niepotrzebnie cię o tym poinformował. Rozumiem, że koniecznie chciałaś podzielić się z kimś tą nowiną, ale odtąd musisz zachować daleko idącą dyskrecję. W żadnym razie nie powtarzaj tego nikomu. Wicehrabia byłby zrujnowany. Takie zajęcie jest hańbiące. Bez wątplenia zostałyby wykluczone z towarzystwa.

Zastanawiała się, czy tyle argumentów wystarczy, czy też powinna przytoczyć jeszcze kilka. Clarice z zapalem pokiwała głową, więc Dany doszła do wniosku, że wyraziła się dostatecznie jasno i dosadnie.

- Nie będziemy już wracać do tej sprawy, dobrze? - zapytała. - Zastanawiam się tylko, czy Coop o tym wie. Chyba mu powiem, ale tylko jemu i nikomu więcej. To teraz jest nasz wspólny sekret, Clarice, w dodatku naprawdę okropny. Nadal nie mogę zebrać myśli. Nawet nie jestem w stanie patrzeć na towary w sklepie, choć wróciłam specjalnie po materiały na suknie, które obiecała mi siostra. Może wyjdziemy już teraz, licząc na to, że nie przegoniłaś Rigby'ego zbyt daleko? Co ty na to?

Na chodniku natychmiast dostrzegły Rigby'ego, spacerującego nerwowo tam i z powrotem.

- Jesteś! - zawołał na widok Clarice, która wyciągnęła do niego rękę, zupełnie jakby nie widzieli się od bardzo dawna. - Udało ci się? Słyszała cię? Gdzie twoje zakupy? Tylko nie mów, że nic nie kupiłaś. To wydałoby się zbyt podejrzane.

- Nie jestem tak beznadziejnie głupia. - Clarice wzięła go pod rękę, a Dany dołączyła do nich tak, jakby szli na krótki spacer. - Czepki zostaną dostarczone na Grosvenor Square, ale dałam się przekonać Dany, żeby nie kupować torebki. Tak jak tego sobie życzyłeś.

- Przyłapałaś mnie na gorącym uczynku. - Dany roześmiała się. - Co mnie zdradziło?

- Nic. - Clarice mrugnęła porozumiewawczo. - Tak tylko zgadywałam. Wstydź się, Jerry. Wystarczyło powiedzieć.

- Nie mógłbym ci odmówić, Clary - wyznał z nieskrywaną czułością. - Nie potrafiłbym.

Za rogiem Dany ujrzała Coopera, który z założonymi rękami opierał się o latarnię. Sprawiał wrażenie znudzonego, a ją nagle ogarnęła przemożna chęć, by rzucić mu się w ramiona.

Rigby i Clarice powitali go radośnie i wsiedli do powozu, ale Dany zatrzymała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Lupanar? - powiedziała. - Co za pomysł! Z pewnością nie wymyśliłeś tego sam.

- W istocie. Darby na to wpadł. Potrzebował czegoś nader nieobyczajnego. Wiesz, jaki będzie nasz następny krok?

- Wiem, a przynajmniej się domyślam. Wrócimy pod sklep wieczorem, w porze zamknięcia, licząc na to, że uda się nam śledzić panią Yothers, kiedy pogna na spotkanie z szantażystą, na które-

go usługach pozostaje.

Cooper podał jej rękę, gdy wsiadała, a potem spojrzął na nią z uwagą.

- Darby panuje nad sytuacją - oświadczył. - Pójdziemy dzisiaj do teatru, żeby ludzie nas widzieli, gdyż plotka z ostatniego wieczoru już zdąży się rozejść po wszystkich zakamarkach Mayfair i ważne jest, byśmy się oficjalnie pojawili. Świat nie powinien myśleć, że zamknęłaś się w sypialni, szukając tam schronienia przed mężczyzną, który naraził twoją reputację na szwank.

Dany wskazała palcem zakochaną parę, która beztrosko gruchała na kanapie naprzeciwko.

- Czy musimy zachowywać się jak oni? - zapytała ostrożnie, choć w głębi duszy czuła lekką zazdrość.

Miała nadzieję, że Cooper nie usłyszy w jej głosie nadziei.

- Niech Bóg broni. - Zrobił wstrząśniętą minę, ale dostrzegła uśmiech na jego ustach. - Nikt tak się nie zachowuje. Jeśli jednak uważasz to za konieczne, naturalnie możemy...

- Nie, nie uważam i nie, nie możemy. - Dany starała się mówić przekonująco, jednocześnie zerkając na nowych przyjaciół, którzy najwyraźniej przypomnieli sobie, gdzie się znajdują, gdyż przerwali pocałunek. - Myślisz, że się uda?

- Że uda się im to, co robią? - spytał z niedowierzaniem i popatrzył na Clarice oraz Rigby'ego.

- Skąd. Pytam, czy wicehrabiemu uda się zdemaskować szantażystę. Przecież właśnie o to chodzi, czyż nie? Trzeba wywabić tego nikczemnika z kryjówki. Pani Yothers przekaze mu rzekomo obciążające informacje, a on zażąda więcej w zamian za dyskrecję.

- Wybacz, że nie zawsze nadążam za przemyśleniami, które przetaczają się po twojej głowie niczym huragan. Owszem, w ogólnych zarysach właśnie taki mamy plan.

- Trzeba było porozmawiać ze mną, nim wprowadziłeś go w życie - oznajmiła z niezadowoleniem. - Nie przyszło ci do głowy, że pani Yothers nie ma nic wspólnego z szantażystą i jest tylko niemądrą plotkarą? W rezultacie nikt nie zwróci uwagi na nasze zaręczyny, gdyż wszyscy zainteresują się sprawą wicehrabiego.

Coop wymamrotał coś pod nosem.

- Słucham? Nie jestem pewna, czy zrozumiałam.

- Powiedziałem, że mężczyźni nie powinni myśleć, kiedy piją. Chyba rozważaliśmy taką ewentualność, ale niekoniecznie na poważnie. Pozostaje nam tylko żywić nadzieję, że pani Yothers jest winna.

- Tak, nie mamy innego wyjścia - przytaknęła. - Wy, mężczyźni, powinniście ograniczyć się do prowadzenia wojen, a intrygi zostawić kobietom. Jesteśmy w tym o wiele lepsze. Lupanar. Cóż, chyba lepsze to niż twierdzenie, że zamordował pokojowca lub coś w tym stylu.

- Brałiśmy po uwagę taką wersję, lecz Darby zauważył, że wówczas sam musiałby pucować sobie buty, co jest całkowicie nie do przyjęcia dla człowieka o jego pozycji.

Dany popatrzyła na Coopera ze zdumieniem, ale od razu dostrzegła błysk w jego zielonych oczach i oboje wybuchnęli śmiechem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cooper chyba nigdy nie bawił się tak dobrze w teatrze, choć tylko sporadycznie zerkał na scenę. Nie zwracałby uwagi na przedstawienie, nawet gdyby występowały w nim słonie w spódniczkach z różowego tiulu.

Z trudem odrywał wzrok od Dany, która wydawała się na przemian wesoła, niespokojna, zaciekawiona i rozgorączkowana jak dziecko. W pewnym momencie pomachała do pewnej natrętnej matrony naprzeciwko, która ostentacyjnie obserwowała ją przez lornetkę. Zawstydzona dama natychmiast się odwróciła.

Inna sprawa, że niemal wszyscy obecni w teatrze mniej lub bardziej dyskretnie zerkali na Danę i Coopera. Spodziewali się tego i umyślnie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie łąy. Tego wieczoru byli gośćmi księcia i księżnej Cranbrook, którzy nalegali, by nazywać ich stryjem Basilem i ciotką Vivien, tak jak to w młodości mówili na nich Coop, Darby, Rigby i Gabe, kiedy często gościli w Cranbrook Chase. W owym czasie Basil zajmował trzecie miejsce pod względem oddalenia od tytułu książęcego i cieszył się z tego, gdyż miał pieniądze i wcale nie było mu śpieszno do rozlicznych obowiązków.

Starsi bracia Basila przedziwnym trafem kolejno umierali w przededniu swoich sześćdziesiątych urodzin, a tuż przed zgonem szeroko otwierali oczy, wydawali z siebie dźwięk zbliżony do pełnego zdumienia „Hep?” i sekundę później opuszczali nasz wymiar w poszukiwaniu lepszego świata.

Koniec końców, trzy następujące po sobie „hepnienia” sprawiły, że tytuł książęcy przeszedł na Basila, który w miarę zbliżania się sześćdziesiątych jego urodzin w listopadzie z coraz większym przygnębieniem rozmyślał o nieuchronnym końcu. W rezultacie popadł w głęboką melancholię i przestał opuszczać swoje komnaty w książęcej posiadłości. Zadanie wyrwania go z apatii przypało w udziale Gabe’owi, co wiązało się z niezwłocznym zawezwa-

niem na pomoc Coopera, Darby'ego i Rigby'ego.

Należało też rozwiązać problem papug.

W końcu udało się wyrwać Basila z depresji i przemienić go w kipiącego energią optymistę, który w obliczu śmierci postanowił używać życia. Spędzał zatem czas na uciechach i robił to, co mu się żywnie podobało, przy czym najchętniej ganiał za rozchichotaną Vivien po sypialni, a nawet poza nią. Nikt nie śmiał powiedzieć im złego słowa, choć wraz z nimi mieszkała Clarice i książecka para dawała zły przykład zarówno jej, jak i Rigby'emu.

Clarice była pierwszą miłością Rigby'ego i miłość ta uderzyła mu do głowy niczym najprzedniejsze wino. Oboje nie mogli się doczekać ślubu zaplanowanego na Boże Narodzenie w Cranbrook.

Równie niecierpliwie oczekiwano wesela Gabe'a i Thei, zwłaszcza że Gabriel był dziedzicem książecego tytułu. Obie uroczystości miały się odbyć po urodzinach księcia lub też po jego pogrzebie, w zależności od tego, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Cooper popatrzył na Dany, która przez cały czas przytupywała, a nawet wzdychała z zachwytu, przyglądając się, jak aniołki podskakują w tańcu na scenie. Można było odnieść wrażenie, że za chwilę i ona zerwie się z krzesła, aby wdzięcznie płasnąć.

Coop nagle zapragnął z nią zatańczyć, tu i teraz, nie myśląc o tym, co powie świat. Czuł się tak, jakby Dany była stworzona specjalnie dla niego.

- Moi drodzy, zechciejcie, proszę, rzucić okiem na trzecią z lewej - usłyszał. - Jej pulchny wyszynk podskakuje i trzęsie się jak budyń. Powinna była owinać się w biuście szerokim pasem materiału, bo jeszcze parę lat takiego majtania atrybutami i zwisną jej do kolan.

Jak mógł zapomnieć o obecności matki, która zajęła miejsce bezpośrednio za nimi? Przyszło mu do głowy, że najchętniej rzuciłby się w przepaść, czyli na widownię w dole, i tam dokonał żywota.

- Minerwo, przecież wiesz, że nie powinnaś mówić takich rzeczy głośno... - odezwał się, ale szybko umilkł, gdy dotarło do niego, że Dany się śmieje.

Jej szczupłe ramiona trzęsły się mocno, a dłońmi w rękawiczkach zasłaniała szeroki uśmiech. Jakby tego było mało, jej oczy zaszyły łzami.

- Och, mój drogi, chciałam was tylko wypróbować - odparła Minerwa z wyraźną satysfakcją. - Dany spisała się na medal zgodnie z opinią Darby'ego. Możesz ją zatrzymać. Chyba jednak powinieneś powiedzieć Amesowi, żeby przestał tak mocno krochmalić twoje koszule, gdyż zrobiłeś się okropnie sztywny.

Coop wiedział, że Dany ma podobne poczucie humoru, więc miała szansę dobrze się dogadywać z Minerwą. Mimo wszystko jednak musiał upomnieć matkę za niestosowne słowa.

- Mamo... - zaczął.

W tym momencie rozpętała się burza oklasków i przez chwilę Cooper sądził, że Minerwa oraz Dany zgodnie wstaną i dygną publiczności. Brawa zwiastowały jednak tylko przerwę. Korzystając z okazji, Coop wziął Dany za rękę i oboje pospiesznie opuścili łóżę.

- Dokąd mnie cięgniesz? - zapytała, gdy szybkim krokiem mijali innych widzów, spragnionych odrobiny świeżego powietrza i szybkiej przekąski. - I czy na pewno dotrzemy tam, nim ktoś wyruszy naszym tropem?

Coop się odwrócił i uśmiechnął od ucha do ucha. Dany ponownie przejrzała go na wylot.

- Z pewnością i ty miałaś już dość naszych przemiłych przyjaciół - odparł. - Dlatego spróbujemy przejść do łoży królewskiej. Jest pusta i zasłonięta, a w dodatku znajduje się zaledwie pięć łóż stąd. To najlepsze i najwygodniejsze rozwiązanie.

Uważnie rozglądając się na wszystkie strony, aby mieć pewność, że nikt ich nie obserwuje, Cooper odgarnął aksamitną zasłonę i razem z Dany wśliznął się do dużej i urządzonej z przepychem łoży. Ponieważ jej front również był zasłonięty, w środku panowały niemal egipskie ciemności.

- A jeśli zostaniemy aresztowani i zakuci w kajdany, kiedy ktoś tu wejdzie i nas zobaczy... - odezwała się Dany, ale szybko umilkła, gdyż Coop nie pozwolił jej dokończyć.

Za bardzo pragnął ją odwrócić i wziąć w ramiona. Musiał pojąć jej kuszące, pełne wargi. Naturalnie tylko po to, by ją uci-

szyc.

Zapewne z uwagą podpatrywała popisy Rigby'ego i Clarice, którzy w powozie ochoczo oddawali się podobnym przyjemnościom, gdyż teraz w jej pocałunku na próżno by szukać onieśmienia i sztuczności. Przywarła do Coopera, a jej dłonie spoczęły na jego szyi.

Ta nieoczekiwana kapitulacja sprawiła, że tętno Coopera przyspieszyło. Ze zdumieniem ujrzał pod powiekami mały pokaz sztucznych ogni. Nic podobnego wcześniej mu się nie przytrafiło. Przerwał pocałunek tylko po to, by przesunąć wargami po szyi Dany oraz odsłoniętej skórze nad skromnym dekoltem. Gdy lekko zacisnął dłoń na jej piersi, odchyliła głowę, instynktownie dając wyraz akceptacji.

Coop wiedział, że musi przestać. Rozum odmawiał mu posłuszeństwa, ale czas i miejsce pozostawiały zbyt wiele do życzenia.

Żadną miarą nie mógł przecież przewidzieć, że Dany tak łatwo i tak chętnie mu ulegnie. Dopiero ta myśl naprawdę go powstrzymała. Musiał wiedzieć. Może i zachowywał się jak głupiec, ale koniecznie musiał znać prawdę. Położył dłonie na ramionach Dany i odsunął ją odrobinę, usiłując dostrzec w ciemnościach wyraz jej twarzy.

- Czy mam to potraktować na poważnie, czy też jest to dla ciebie tylko kolejna przygoda? - spytał.

W odpowiedzi go spoliczkowała - niezbyt mocno, więc plaśnięcia z pewnością nie dało się usłyszeć poza łóżą, ale w pełni zasłużył na tę karę i świetnie o tym wiedział.

- Och, Dany, naprawdę cię...

- Ani słowa więcej, przyjacielu - rozległ się nieoczekiwanie męski głos. - Pogrążyłeś się dostatecznie głęboko. Inna sprawa, że i tak zamierzałem cię powstrzymać przez wzgląd na swoją wrażliwość oraz poczucie estetyki.

Cooper i Dany odwrócili się jednocześnie i z trudem dostrzegli sylwetkę Darby'ego Traversa, który stał z lewej strony balustrady.

- Skąd wiedziałeś...? - zająknął się Coop.

- A niby dokąd mielibyście pójść? - Darby podszedł bliżej, żeby pochylić się nad ręką Dany. - Było jasne, że nie wytrzymałybyście

w książęcej łoży przez cały wieczór. Moim zdaniem ogarnęłoby was szaleństwo, a ta kryjówka wydawała się nad wyraz kusząca. Czy jestem w błędzie, czy też Minerva zachowuje się w typowy dla siebie sposób?

- Zachowuje się dokładnie tak, jak to ma w zwyczaju. - Cooper odruchowo objął Dany, zupełnie jakby zapomniał, że chwilowo jest do niego nieprzyjaźnie usposobiona. - Ale Dany zdała egzamin, gdyż Minerva skutecznie ją rozbawiła.

Dany strząsnęła jego rękę i szczerzej otuliła się jedwabnym szalem.

- Czy wolno mi zabrać głos? - spytała wyniośle.

- Sam nie wiem. - Darby się zawahał. - Coop, czy odważymy się zaryzykować?

- Kazałabym ci iść precz, ale to by cię tylko rozbawiło - burknęła Dany. - Po co przyszedłeś? Nie powinienes przypadkiem śledzić pani Yothers? To ważna sprawa, jeśli zapomniałeś.

- Ależ nie zapomniałem nawet na pół sekundy. Śledziłem panią Yothers i dotarłem za nią aż tutaj. Przyszła do teatru prosto ze swojego sklepu. Kupiła bilet, minęła schody na najwyższe balkony i przedziwnym zbiegiem okoliczności skierowała się prosto do łoży usytuowanej idealnie naprzeciwko tej, w której się znajdujemy. Wygodnie, przynajmniej dla nas, przed wejściem do łoży wyjęła z torebki złożoną kartkę papieru. Spędziła w łoży chwilę, a teraz zapewne wraca do swojego sklepu, sumiennie dostarczywszy przesyłkę swojemu... moco dawcy, jak miemam.

- A zatem chwyciła przynętę i przekazała mu plotkę na twój temat. - Coop zbliżył się do przyjaciela. - To dobrze. Innymi słowy, nasz plan się powiódł. Kto zajmuje tamtą łożę?

- W tym sęk. Chyba muszę teraz wyjawić, że wykorzystałem królewską łożę jako punkt obserwacyjny. Zaszyłem się tutaj, gdyż w taki sposób najwygodniej mogłem sprawdzić, kto siedzi w łoży naprzeciwko. Przyznam, że wstrząsnęliście mną do głębi, wchodząc tutaj i zajmując się... Mniejsza z tym.

- Trzeba przyznać, że uśmiechnęło się do ciebie szczęście - zauważyła Dany.

- Jak zwykle. - Darby dotknął opaski. - Jestem szczęściarzem od urodzenia.

- Och! - zawstydziała się natychmiast. - Wybacz...

- Dany, nie daj się nabrać na jego sztuczki - ostrzegł ją Coop. - Gdyby kula trafiła go dwa centymetry niżej, raz w roku składalibyśmy kwiaty na jego grobie.

- Co wcale nie znaczy, że miał szczęście. Po prostu dotknęło go mniejsze zło - podkreśliła Dany, a Cooper pomyślał, że ten sposób rozumowania jest nadzwyczaj typowy dla Danielli Foster. - Dlatego ponownie proszę cię o wybaczenie. Darby. Muszę przyznać, że coś mnie trapi. Przecież niewykluczone, że moja rozmowa z Clarice w sklepie nie wypadła tak przekonująco, jak zakładamy, i pani Yothers napisała w liście, że wzięliśmy ją na cel?

- A czy to ma znaczenie?

- To może mieć znaczenie, ale nie musi. Tak uważam. - Popatrzyła na Darby'ego. - A czy teraz mógłbyś nam wreszcie wyjaśnić, kto siedzi w łoży naprzeciwko?

- Wszystko w swoim czasie - odrzekł, po czym zaproponował, żeby opuścili łożę, zanim ktoś jeszcze postanowi urządzić sobie schadzkę w prawdziwie królewskim stylu.

Coop i Dany wymknęli się pierwsi, a chwilę później na korytarz wyszedł wicehrabia. Wszyscy troje przystanęli pod ścianą.

- Przygotuj się, moja droga, gdyż za chwilę doświadczysz wstrząsu - zaczął Darby. - Apeluję tylko o to, byś zapanowała nad sobą i nie wznosiła okrzyków typu: „Aha! Teraz wszystko jasne”. Inna sprawa, że teraz rzeczywiście wszystko jest już jasne. Dodam, że moim skromnym zdaniem szantażysta nie wyjawia tajemnic, które zna. Mówię to, na wypadek, gdybyś jeszcze się martwiła, Dany.

- Czy byłbyś łaskaw przejść do rzeczy? - Coop z niecierpliwością pokręcił głową. - Już wiem, że jesteś zabawny tylko wtedy, kiedy drażnisz się z kimś innym niż ja.

- Otóż bynajmniej, wcale się z nikim nie drocę, tylko stopniuję napięcie - odparł Darby z godnością. - Ale zgoda, niech ci będzie. Już mówię. Łoża, o ile dobrze pamiętam, należy do starego i szacownego rodu Lanisfordów. Ferdinand Lanisford jest teraz markizem. Zapewne pamiętasz Ferdiego oraz pewien incydent?

Coop szybko odświeżył sobie pamięć. Ferdie przez trzy semestry chodził z nimi do szkoły i dał się poznać jako nadzwyczaj od-

rażający osobnik. Nieustannie jęczał, znęcał się nad słabszymi i donosił na kolegów. Fatalnie ufarbowane włosy skręcał na czubku głowy w sztywny lok, przypominający korkociąg. Ubierał się jak klaun, jego śmiech przypominał ryk osła, a zapach kojarzył się z capem.

- Tamtego wieczoru był ze mną Oliver i jeszcze kilku innych kolegów. - Coop skinął głową. - Tak, Darby. Teraz wszystko jasne.

Dany z narastającą irytacją spoglądała raz na jednego, raz na drugiego dżentelmena.

- Czy któryś z was byłby łaskaw wyjaśnić mi, o co tu właściwie chodzi? - spytała nieoczekiwanie ostro. - Dlaczego ni z gruszki, ni z pietruszki wspominiacie męża Mari?

- Później, Dany, jeśli łaska. Teraz musimy się dowiedzieć, kto jeszcze siedział wtedy w łoży.

- Ferdie, naturalnie, a także jego urocza narzeczona Sally Bruxton, którą swojego czasu uważałeś za ślicznotkę, o ile mnie pamięć nie myli. Cóż, było to jeszcze nim na jej czole pojawiły się zmarszczki, będące rezultatem zmartwień i trosk. Zważywszy na potężne długi karciane jej ojca, ten związek nie jest podyktowany miłością.

- Darby, na litość boską, ogranicz się do wymienienia nazwisk - jęknął Cooper, widząc, jak Dany otwiera usta, by zadać kolejne pytanie.

- Niestety, muszę przyznać, że nie jestem pewien co do tożsamości jeszcze jednej obecnej tam osoby. Pozwoliłem sobie jednak dyskretnie zerknąć przez szczelinę między zasłonami i śmiem podejrzewać, że za parą szczęśliwych gołąbeczków siedział brat panny Bruxton. Ostatnia osoba to pokojówka, którą z trudem zauważyłem w głębi łoży, w cieniu. A wracając do tematu Olivera, czy pamiętasz, kto jeszcze był z wami tamtego wieczoru? Być może powinniśmy jutro przeprowadzić z tymi osobami kilka rozmów.

- Nie mam bladego pojęcia, o czym on mówi, ale ja też chciałabym z nimi porozmawiać. - Dany pociągnęła Coopa za rękaw fraka. - I to w tej chwili. Darby, czy mógłbyś nas zostawić?

- Przepraszam bardzo, ale...

- Przepraszam cię, ale tu nie wskórasz - przerwał mu Cooper ze śmiechem. - Nie odchodź jednak w pośpiechu, gdyż musisz zajrzeć do loży księcia i poinformować Minerwę, że panna Foster dostała migreny i odprowadzam ją do domu.

- Nie wzięłam torebki, a poza tym twoja mama nie uwierzy w tak żałosne kłamstwo - zauważyła Dany.

- W istocie, nie uwierzy, ale też nie urządzi z tego powodu awantury - odparł wicehrabia. - Nikt z rodziny nie będzie miał do ciebie pretensji. Jak zapewne zauważyłaś, nie są przesadnymi entuzjastami sztywnych konwencji.

- A ja ich lubię, i to coraz bardziej - burknęła Dany sztywno i popatrzyła na niego wyzywająco.

- Podobnie jak my. - Darby uklonił się jej z szacunkiem. - Choć niekoniecznie wszystkich jednocześnie. Rzecz w tym, że niektórzy są w stanie ochłonąć dopiero pod wpływem kubła zimnej wody. A teraz pozwól, że się oddalę, by spełnić twoje życzenie. Do zobaczenia.

Coop popatrzył Dany w oczy i uśmiechnął się pogodnie.

- Cóż mogę rzec? - westchnął. - To mój przyjaciel.

- I to dobry - dodała Dany, biorąc go pod rękę, kiedy szli wśród publiczności, która po dzwonku wracała na miejsca. - Trzeba przyznać, że sporo widzi jak na człowieka z jednym okiem. Kiedy wśliznęliśmy się do loży, mógł się przywitać, a przynajmniej odkaslnąć.

- Dopóki się nie odezwałem, zapewne nie miał pojęcia, kim jesteśmy - zauważył Cooper, gdy szli po schodach na ulicę. - W loży było ciemno choć oko wykol.

- Słyszał, co mówiłaś. Usłyszał też, że cię spoliczkowałam. - Dany z zakłopotaniem podrapała się za uchem.

- To, co powiedziałem, było niewybaczalne, a twoją reakcję można uznać za odpowiednią do moich nagannych słów.

- Tere-fere. Trzasnęłam cię, bo wolałam uniknąć odpowiedzi. Inna sprawa, że nie powinieneś był pytać. Powinieneś wreszcie przestać zadawać tak osobiste pytania, na które brakuje mi odpowiedzi.

- Szczerze mówiąc, same cisną mi się na usta.

Zastanowiła się i doszła do wniosku, że Cooper prosi się o to,

by go ponownie spoliczkowała.

- Zachowujesz się coraz gorzej... - odparła i westchnęła. - I masz tego świadomość. Czy to twój powóz?

Coop zerknął w lewo, we wskazanym przez nią kierunku.

- Owszem - potwierdził. - Chyba dopisuje nam szczęście. Stan-gret już nas zauważył, zaraz tu będzie.

Po chwili powóz się zatrzymał. Lokaj rozłożył schodki, a Coop pomógł Dany wsiąść.

- Jedziemy na Portman Square, jaśnie panie? - spytał lokaj.

- Nie, Harry, jeszcze nie. Powiedz Simmonsowi, żeby jechał przez park, dopóki nie dam znać, byśmy wracali do rezydencji panny Foster.

- Tak jest, jaśnie panie. Jak rozumiem, mamy jechać wolno. - Młody sługa mrugnął porozumiewawczo.

Coop z zaciekawieniem popatrzył na chłopaka.

- Nie jesteś przypadkiem za młody... - Zawahał się. - Zresztą mniejsza z tym. Wyleciało mi z głowy, że towarzyszyłeś mojej matce w jej przejażdżkach po mieście. Ruszamy.

Usadowił się obok Dany i zaczął czekać, aż powóz oddali się od teatru. Dopiero wtedy uniósł zasłony, żeby do środka wpadło nieco światła.

Dany milczała wymownie.

- Jak rozumiem, mam zacząć od początku.

- Jeśli to oznacza, że zaczniesz od Olivera, to tak - przytaknęła. - Jesteś na tropie, jak rozumiem?

- Darby pierwszy na to wpadł. Tak, zgadza się. Sytuacja powoli staje się jasna.

- Pragnę wiedzieć, kto jest szantażystą. - Mimo półmroku Dany z uwagą patrzyła na Coopera. - Czy to ten Ferdie?

Wziął ją za rękę.

- Dany, chcę, byś się nad czymś zastanowiła - powiedział. - Czy wiesz, dlaczego szantażysta skupił uwagę na twojej siostrze? Przyznasz, że mocno się zaangażował w tę sprawę. Musiał zbadać okolice domu, znaleźć dziuplę. Przysyłał listy tak długo, aż w końcu napisała coś... wstydliwego na temat swojego męża.

- Chcesz powiedzieć, że szantażysta wykorzystywał ją, aby dotrzeć do Olivera? A pięćset funtów?

Coop pokręcił głową. Wiedział, że i on wyszedł z tego samego, błędnego założenia.

- Rodzinę Ferdiego można by śmiało opisać jako obrzydliwie bogatą - podkreślił. - Pieniądze nigdy nie miały znaczenia w tej sprawie. Chodzi wyłącznie o zemstę. Szantażysta pragnie, by inni cierpieli. Mami ich nadzieją, a jednocześnie coraz bardziej dokręca śrubę. W końcu zadaje cios ostateczny, dobija leżącego i niszczy go dokumentnie. Od początku należało się spodziewać, że to będzie sytuacja bez wyjścia.

- Ktoś chce się zemścić na tobie i na Oliverze? - Dany patrzyła na niego ze zdumieniem. - Ale dlaczego?

Coop zacisnął usta, myśląc intensywnie.

- Cóż za zbieg okoliczności, żeby dowiedziały się o sobie dwie ofiary tego samego szantażysty - powiedział po chwili. - A jednak tak właśnie się stało, choć gdyby nie padła wzmianka o Oliverze, być może bym machnął na to wszystko ręką. Nie, nieprawda. Na pewno bym tak nie postąpił. Złamany obcas, błękitne oczy... To było przeznaczenie. Szantażysta nie mógł tego przewidzieć. Nieprzewidywalność. - Pokiwał głową. - Właśnie ten czynnik sprawia, że żadna zbrodnia nie jest doskonała.

Dany mocno uściśnęła mu dłoń.

- Czy zechciałbyś wreszcie zakończyć ten monolog i wyjawić mi, co właściwie masz na myśli? Szczególnie interesuje mnie wątek błękitnych oczu. - Popatrzyła na niego z ciekawością.

- Tylko mi nie mów, że nie strzelałaś oczami, kiedy na mnie wpadłaś. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy nie strzelałam... - zaczęła, ale szybko zrozumiała, że Coop żartuje. - Ach, kpisz sobie ze mnie? Mniejsza z tym, mów dalej. Ty i Oliver macie wspólnego wroga, a zapewne nie jesteście jedyni. Chyba tak to wygląda, prawda?

- Rozumiesz nader trafnie - pochwalił ją. - Pozwolę sobie jednak powtórzyć, że powinienem zacząć od początku.

- Tak, zacznij od markiza Ferdiego, gdyż to on jest wrogiem - zasugerowała Dany.

Pogłaskał ją po policzku, a następnie dał jej delikatnego prztyczka w brodę.

- Ty opowiadasz tę historię czy ja? - zapytał bez urazy w gło-

sie.

- Wybacz - zawstydzila się. - Mów dalej.

Oswobodziła się z szala i przywarła do Coopera tak, jakby od lat tworzyli dobrą, zgraną parę.

- Dawno, dawno temu... - zaczął, a rozbawiona Dany szturchnęła go łokciem w żebra. - Był sobie wzorowy student, który specjalizował się w tematyce taktyki wojskowej, po raz pierwszy opisanej przez legendarnego Sun Tzu. Na prośbę grupy kolegów z uczelni zgodził się zorganizować wieczór przy drinkach i rozmowie.

- Tym studentem byłeś ty, ma się rozumieć - wtrąciła się Dany z dumą w głosie.

- Schlebia mi twoje wysokie mniemanie na mój temat i bardzo chciałbym potwierdzić, że to prawda, ale niestety, tak nie jest. Należałem do grona tych, którzy pragnęli się czegoś nauczyć i dzięki temu przeżyć w ewentualnym starciu z wojskami Napoleona. W większości zakładaliśmy, że przeżyjemy, rzecz jasna. Naszym nieoficjalnym nauczycielem był mój przyjaciel Gabriel Sinclair. Tak czy owak, spotkaliśmy się w pobliskiej karczmie, a potem całą gromadą wróciliśmy do pokojów. W przybytku pozostał jedynie Gabe, który wpadł w oko jednej z karczmareczek i nie poszedł z nami.

- Jak rozumiem, Oliver nie wpadł w oko żadnej karczmareczce, i tobie również nie było to dane. I dobrze - oznajmiła nie bez satysfakcji.

- Z ulgą przyjmuję twoją aprobatę dla tego faktu, choć przyznać muszę, że podówczas nie uważałem się za wybrańca losu. - Z czułością złożył pocałunek na jej włosach.

W rozmowie z Dany mógł wyjawić wszystko, gdyż byli niczym dwie połówki jednej osoby.

- Kto z tobą był? Wicehrabia? Rigby? - dopytywała się

- Ani jeden, ani drugi. Nie pamiętam, dokąd się udali, ale ich poczynania z całą pewnością nie wiązały się z klasyczną wiedzą o wojskowości. A co do pozostałych, pamiętam Olivera, Johnniego Werkela, Thada Wallace'a, Geoffa Quintona, Edwarda Givensa i... Nie, to niemożliwe.

Odwrócił się do Dany i wziął ją za rękę.

- Przypominam sobie jeszcze kogoś - dodał. - Davida Fallona. Jestem pewien, że był najmłodszy z nas.

- Tak? Ale dlaczego uważasz, że to niemożliwe? - Poruszyła się. - Czemu to cię zdenerwowało?

Cooper pomyślał, że w tym momencie nie powinien wyjawiać prawdy. Davy nie żył. Powiesił się na strychu, w domu matki. Tylko Rigby mógł uczestniczyć w uroczystości pogrzebowej, a matka Davy'ego pokazała mu list pożegnalny: „Nie mogę do tego dopuścić, a to jedyny sposób. Wybacz mi”.

- Przepraszam, trochę się rozkojarzyłem - powiedział. - Davy stracił życie w wypadku niespełna pół roku temu. Bez jednego draśnięcia dotrwał do końca wojny, a potem... Szkoda gadać. Masz rację, ciągle się denerwuję, kiedy to sobie przypominam.

- Ja też przepraszam. - Pogłaskała go po policzku. - A co z resztą twoich przyjaciół?

Cooper machinalnie potarł policzek, szczerze zaskoczony miłym gestem Dany.

- Johnnie zginął w Hiszpanii - powiedział. - Thad wyemigrował, zdaje się na Jamajkę, żeby tam zająć się włościami wuja. Nie znałem Thada zbyt dobrze. Geoff chyba mieszka w Londynie, a co do Neda... Wyższe sfery odwróciły się do niego plecami, kiedy został zdemaskowany jako szuler. Jego wierzyciele natychmiast odebrali mu wszystkie pieniądze, a on sam trafił na ławę oskarżonych i teraz siedzi za długi karciane. - Uniósł rękę. - Tak wiem, nie musisz nic mówić. To brzmi podejrzenie.

- Naprawdę musimy go odwiedzić. Nigdy nie byłam w więzieniu dla dłużników. - Dany wyraźnie się ożywiła. - Gdzieś czytałam, że w takich miejscach skazańcy opuszczają koszyki przez kraty w oknach, błagając o strawę i drobniaki.

- Twoja rodzina zgromadziła fascynującą bibliotekę - mruknął Coop z przekąsem. - Nie, moja droga, na pewno nie odwiedzisz tego człowieka w więzieniu, a poza tym jeszcze nie wysłuchałaś opowieści do końca.

- W rzeczy samej. Kontynuuj, proszę.

- Dziękuję - odparł Cooper z uśmiechem. - A zatem wracałem do swojego pokoju w towarzystwie wyżej wymienionych przyjaciół, kiedy nagle usłyszeliśmy przyciszone kwilenie, ledwie sły-

szalne pojękiwanie, które dobiegało z pokoju Ferdiego. Naturalnie, zapukałem, zdjęty ciekawością, a on poradził mi zza drzwi, żebym się wynosił, jeśli wiem, co dla mnie dobre. Cytuję z pamięci, ale prawie słowo w słowo.

- Naturalnie. W sensie: naturalnie, że wiesz, co dla ciebie dobre. Czy zapukałeś ponownie, czy też z miejsca wyważyłeś drzwi? - zapytała wyraźnie zaciekawiona.

- Uczyniłem jedno i drugie, po trosze - przyznał. - Pamiętaj, że wracałem z karczmy, więc nie byłem specjalnie trzeźwy. Nie miałem najmniejszego zamiaru słuchać poleceń, w szczególności wydawanych przez tak plugawego typa. W każdym razie dostawszy się do środka, ujrzeliśmy na podłodze osobę, która wymagała natychmiastowej opieki medycznej.

- Osobę? Z pewnością kobietę, prawda? Czyżby chodziło o damę lekkich obyczajów? - Jak zwykle trafiłaś w dziesiątkę. Tak, na podłodze leżała prostytutka. Ferdie zabawiał się, okładając ją szpicrutą. Niewiele myśląc, wyrwałem draniowi pejcz i odpląciłem pięknym za nadobne. Ktoś, bodajże Geoff, zakrzyknął: „Wszyscy za jednego!” albo coś równie idiotycznego, ale koniec końców, każdy z nas sprzął Ferdiego szpicrutą. Nieprzytomnego przenieśliśmy pod drzwi dziekana i pozostawiliśmy go tam, przyczepiwszy mu do ubrania list, w którym przyznawał się do popełnienia przestępstwa. Nie jestem dumny z tego czynu, ale byliśmy młodzi i cokolwiek nietrzeźwi... Cóż mogę dodać, po prostu tak się stało, i tyle.

- Byliście młodzi - powtórzyła Dany i pokiwała głową. - Czy Ferdie został wydalony ze szkoły?

- Skatowana kobieta zmarła następnego dnia, a Ferdie nagle przepadł bez wieści. Markiz przekazał hojną dotację na szkolną kaplicę, Ferdiego zaś wysłano do odległego kuzyna gdzieś w północnoirlandzkiej dziczy. Podobno otrzymał surowy zakaz opuszczania tamtej posiadłości pod groźbą wydziedziczenia. O ile wiem, ów kuzyn słynął z rygorystycznej religijności i wystrzegał się pieniędzy, wina oraz kobiet, a jakby tego było mało, potrzeby załatwiał pod chmurką, nie uznając toalet w domu. Zanim zapytasz, odpowiem: owszem, te wieści sprawiły nam wszystkim wielką satysfakcję, a upowszechnił je pokojowiec Ferdiego po tym,

gdy z dnia na dzień stracił pracę. Zeszłej zimy Ferdie przejął tytuł po śmierci swojego ojca. Więcej nic nie wiem.

- Akurat - obruszyła się. - Wiesz, a przynajmniej wydaje ci się, że wiesz. Już prawie rozwiązaliśmy zagadkę, prawda?

Wziął ją za rękę i delikatnie pogłaskał kciukami jej miękką skórę.

- Powstrzymam się z ostatecznym osądem do czasu rozmowy z Nedom i Geoffem - odparł. - Ale masz rację, szantażystą najwyraźniej jest Ferdie, choć to nie on minął nas u jubilera. W tym momencie jednak co innego zaprzęta mi głowę. - Przysunął wargi do ucha Dany. - Jak myślisz, ile czasu trzeba, aby dwoje ludzi naprawdę się poznało?

- Z pewnością więcej niż dwa dni - odparła drżącym głosem, a jego serce mocniej zabiło.

- Możliwe... - szepnął, lekko muskając ustami jej ucho. - A możliwe, że całe życie. Choć czasem ludzie się spotykają i mają wrażenie, że znają się od lat, a potem spędzają resztę życia, delectując się tą znajomością.

Dany odsunęła się odrobinę, ale nie zabrała rąk.

- To brzmi cudownie i romantycznie - zauważyła. - Moi rodzice czują się bardzo komfortowo w swoim towarzystwie. Czy twoim zdaniem ludzie, którzy spędzają ze sobą całe życie, czują się przy tym komfortowo?

Coop przyciągnął ją bliżej. Doskonale wiedział, że to dla niej bardzo ważne pytanie.

- W tej chwili czuję się przy tobie niezwykle komfortowo - wyznał.

- Naprawdę? Chyba miło to słyszeć.

- Czyżby w twoim głosie rozbrzmiewało powątpiewanie? Wolałabyś, żebym się czuł niekomfortowo?

- Tak sobie myślę o Mari i Oliverze... Mari przejmuję się, że on nie jest tak... zainteresowany nią jak wtedy, gdy brali ślub. Chyba nie chcę czuć, jak gaśnie żar w moim życiu.

- Gwarantuję ci z absolutnym przekonaniem, że do tego nie dojdzie - zapewnił ją z uśmiechem.

- Teraz tak mówisz, a przecież być może jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ludzie szalenie łatwo się zaprzyjaźniają, zwłaszcza w ob-

liczu przeciwności losu. Już mi się wydaje, że Clarice jest moją przyjaciółką.

Cooper odniósł wrażenie, że Dany jest nieco zagubiona, więc postanowił zmienić temat.

- Te udawane zaręczyny były błędem, i to z wielu powodów - przyznał. - Między innymi dlatego, że najwyraźniej ze zdumiewającą łatwością ustaliliśmy tożsamość szantażysty. Poza tym Ferdie teraz już ma świadomość, że wiemy o szantażowaniu twojej siostry. Co gorsza, kiedy pani Yothers przekazała mu plotkę o Darbym, jakkolwiek patrzeć, moim bardzo dobrym przyjacielem, mógł się zorientować, że postąpiła zgodnie z naszymi oczekiwaniami. W takiej sytuacji zapewne się ukryje i szukać wiatru w polu. Prawda?

- Twoim zdaniem mógłby się wycofać z rozgrywki? Nie znam tego człowieka, rzecz oczywista, ale niewątpliwie zadał sobie mnóstwo trudu, żeby skutecznie się na was zemścić. Bardzo wątpię, by skapitulował przy pierwszym starciu.

Coop nagle przypomniał sobie zakrwawioną twarz Ferdiego po tym, jak szpicruta przeorała ją do kości. Po ranie musiała pozostać paskudna blizna, a jej widok z pewnością każdego dnia przypominał mu, dlaczego pragnie się zemścić. Z taką pamiątką na obliczu niełatwo odpuścić wrogowi.

- Psiakrew - wymamrotał.

- Słucham?

- Tak, słuchaj, i to uważnie. Ferdie od dawna kumulował w sobie nienawiść i nie brakowało mu czasu na opracowanie planu zemsty. Obarcza nas winą za odebranie mu ładnych paru lat życia, może nawet sądzi, że zniszczyliśmy mu przyszłość. Nigdy o tym nie zapomni. Dlatego w pierwszej kolejności musiał ustalić, jak zlokalizować ofiary czy też raczej swoich prześladowców, bo za takowych nas uważa. Dwóch, czyli Johnnie i Thad, znajdowało się poza jego zasięgiem, ale do dwóch innych już dotarł.

- Do dwóch? - powtórzyła. - Powiedziałeś, że Ned Givens został skazany jako szuler. Kim jest ten drugi?

- To Davy. Z całą pewnością. Powiedziałem, że stracił życie w wypadku, ale to nieprawda. Popełnił samobójstwo.

Dany zamarła.

- Odebrał sobie życie, gdyż bał się, że Ferdie ujawni prawdę o nim? - zapytała powoli. - Czy to chcesz powiedzieć? Ale co takiego zrobił?

- Nie mam pojęcia, lecz na pewno chodziło o coś naprawdę poważnego.

Cooper znał jednak prawdę. Jediną zbrodnią, jakiej się dopuścił Davy, było obdarzenie miłością mężczyzny. Z listu pożegnane nie dało się niczego więcej wywnioskować. Ferdie dowiedział się o związku Davy'ego i zagroził, że wszystko ujawni. Z pewnością nie brakowało mu pieniędzy i mógł za nie kupić praktycznie każdą informację.

Nie wyłączając informacji o Cooperze.

- Przykro mi... - wyznała szczerze i westchnęła, kładąc dłoń na jego przedramieniu. - To dla ciebie trudne, prawda?

- Najwięcej trudności sprawia mi powstrzymanie się przed wytropieniem tego gada i skruceniem mu karku. Jutro muszę się spotkać z Nedom. Jestem całkowicie przekonany, że to Ferdie wpakował go za kratki, ale chcę osobiście poznać prawdę.

- Ned naprawdę jest szulerem?

- Zdarzało mu się oszukiwać, gdy graliśmy w karty w szkole, ale w pewnym momencie skończyła się nam cierpliwość, rozebraliśmy go do bielizny i przywiązaliśmy do masztu flagowego głową w dół. Wisząc tak, obiecał, że więcej nie będzie kantował. O ile mi wiadomo, już nigdy tego nie robił, choćby z tej przyczyny, że nikt nie chciał z nim grać. Nie da się ukryć, świetnie sobie radził z machinacjami karcianymi, więc zapewne zdarzało mu się sporadycznie powracać do szulerki, choćby po to, żeby nie wyjść z wprawy. W tej chwili musimy ustalić, czy Ferdie przyczynił się do aresztowania Neda.

Dany pokiwała głową.

- A co zrobimy, gdy już się przekonamy, że nasze podejrzenia są słuszne? - zapytała. - Mari potrzebuje swoich listów, a ty musisz powstrzymać tego drania Ferdiego przed wydaniem kolejnej książki. Dopiero wówczas będziesz mógł skrucić mu kark, co jednak odradzam, albowiem za takie postęпки ludzie trafiają na stryczek. Trochę by mi ciebie brakowało, rozumiesz...

- Hm, miło to słyszeć. Bez obaw, nie wezmę sprawiedliwości

w swoje ręce. Przemoc nie jest żadnym rozwiązaniem.

- Zaraz, zaraz. Czy dlatego jesteś taki rozsądny i stateczny, choć moim zdaniem to do ciebie w ogóle nie pasuje?

- Skąd, rozsądni i stateczni są moi przyjaciele oraz matka. - Coop liczył na to, że Dany zwróci uwagę na jego żartobliwy ton.

- Oni nie byli wtedy z tobą i zapewne dlatego się różnicie. - Uścisnęła jego dłonie. - Tamtej nocy twoje życie zupełnie się zmieniło, prawda?

Sam o tym rozmyślał, i to wielokrotnie. Przekonał się, że duże pieniądze i odpowiednia pozycja społeczna dają możliwość wykupienia się od odpowiedzialności za morderstwo, a życie człowieka miewa różną wartość. Po sprawie Ferdiego z pewnością czuł się dojrzały od przyjaciół.

- Przynajmniej nie zrezygnowałem z mocniejszych trunków. Gdybym to uczynił, matka przestałaby się do mnie odzywać - zażartował ponownie.

Dany uśmiechnęła się blado.

- Na pewno nie możesz przekazać go wymiarowi sprawiedliwości - podkreśliła. - Czyniąc tak, naraziłbyś i siebie, i Mari. Jak zatem zamierzasz powstrzymać tego człowieka? Doprawdy, szkoda, że on nie ma jakichś sekretów, które mógłbyś ujawnić. W taki sposób odwróciłbyś sytuację i nie byłoby w tym nic złego.

- Odwróciłbym sytuację? - Coop otworzył usta z wrażenia. - Przecież to świetna myśl! Dany, jesteś absolutnie genialna!

- Naprawdę? Och, nareszcie ktoś zauważył to, w co zawsze wierzyłam. - Pochyliła się ku niemu. - Wyjaśnij, na czym konkretnie polega mój absolutny geniusz?

- Tego jeszcze nie jestem pewien, ale z pewnością na coś wpadniemy. To kwestia czasu.

- Zanim rozpląnę się z zachwyty, musisz mi coś wyjaśnić. Czy mówiąc: „wpadniemy” masz na myśli siebie, wicehrabiego i Rigby'ego? Czy też może chodzi ci o ciebie, wicehrabiego, Rigby'ego i o geniusza? - Z udawaną skromnością zatrzepotała rękami. - Przyznam, że ta druga opcja bardziej by mi odpowiadała.

- Nigdy w życiu bym cię nie pominął - zapewnił ją Coop. - Na pewno nie ośmieliłbym się wykluczyć cię z czegokolwiek.

- To cudownie, gdyż naprawdę nie chciałabym przywoływać cię

do porządku. Chyba powinniśmy uścisnąć sobie dłonie na znak przyjaźni i porozumienia, tak jak to robią mężczyźni.

Cooper w końcu dostrzegł szansę dla siebie. Wiedział, że musi zaryzykować.

- Chyba raczej wolałbym przypieczętować przyjaźń tak, jak to robią mężczyźni i kobiety - oświadczył cicho.

- Na litość boską, Coop, wreszcie. - Dany odetchnęła głęboko.
- Już nie mogłam się doczekać. Przeszło mi nawet przez myśl, że stałam się dla ciebie odrażająca po naszych rzekomych zaręczynach.

- A może chodzi ci o to, że się przy tobie rozleniwilem? - zasugerował z pozornym spokojem.

- Być może chodzi o jedno i o drugie. Pod pewnymi względami jestem taką samą romantyczką jak moja siostra i naprawdę chciałabym, żebyś mnie pocałował.

Cooper przysunął się do niej tak blisko, że wyczuwał jej oddech na swoich wargach.

- Jeśli nie zauważyłaś, przez cały wieczór zmagam się z takimi samymi pragnieniami - wyznał.

- Owszem, zauważyłam. - Zamknęła oczy.

- Ale to niewłaściwe dla nas obojga. Jako osobnik oficjalnie podający się za dżentelmena czuję się w obowiązku przypomnieć ci o tym fakcie. Musimy mieć na względzie niestosowność tej sytuacji.

- Większość ludzi zapewne przyznałaby ci rację - zgodziła się ostrożnie Dany.

Położył dłonie na jej ramionach.

- Zatem powinniśmy zadać sobie pytanie, czy obchodzi nas osąd większości ludzi - powiedział.

Gdy na niego patrzyła, odnosił wrażenie, że jej błękitne oczy stają się granatowe niczym morską otchłań.

- Chyba powinienem powiedzieć, że jak najbardziej - mruknął.

- Ale wówczas bym skłamał. Czy pozwolisz, że nie będę kłamał?

- Pozwolę - odparła bez tchu, czując dotyk jego warg na swoich ustach. - Naturalnie, że pozwolę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dany przytuliła się do Coopera, by rozgrzać ją własnym ciepłem.

Już nie było mowy o przekomarzaniu się i życzliwych zaczepkach. Przyjaźń nie miała nic wspólnego z tym, co teraz czuła. Nigdy dotąd nie doświadczyła takich wrażeń.

Z pewnością w ten sposób objawiało się pożądanie. Musiała przyznać, że te doznania są niezrównane.

Cooper obsypywał ją przelotnymi pocałunkami, delektował się nią, zupełnie jakby oceniał jej reakcję i się zastanawiał, jak bardzo jest skłonna mu ustąpić.

Najchętniej chwyciłaby go za uszy i przyciągnęła do siebie. Nie wątpiła, że jeśli Cooper jeszcze dłużej będzie sprawdzał jej silną wolę, wkrótce się przekona, jak wygląda kobieta doprowadzona do ostateczności.

W końcu nie wytrzymała i zarzuciła mu ręce na szyję, po czym uniosła nogi i położyła je na kolanach Coopa.

Nie przerywając pocałunku, oboje opadli na aksamitne poduszki. Cooperowi udało się tak ułożyć ręce i nogi, że leżał częściowo obok Dany, tuląc ją, aby nie spadła na podłogę. Gdyby zsunęła się z kanapy, byłoby to nie tylko żenujące, ale i przykre dla obu stron.

Coraz bardziej rozochocony Cooper łąpczywie obsypywał twarz Dany pocałunkami.

- Jesteś piękna - wyszeptał.

Rozchyliła usta z wrażenia, gdy poczuła na piersi dłoń Coopera. Pieścił ją jednocześnie czule i stanowczo, tak jakby wiedział, że dostarcza jej nieopisanej rozkoszy, która rozpływała się po całym ciele, koncentrując się jednak w brzuchu i niżej...

Coop niespokojnie odetchnął, czując jej dłonie pod swoim frakiem. Wiedział, że oboje pragną nieskrępowanej bliskości, bez ubrań i bez świadków, lecz mimo to nagle unióśł głowę i w pół-

mroku popatrzył w oczy Dany.

- Wiesz, jeszcze nie jesteśmy na to gotowi - oznajmił nieoczekiwanie i poprawił jej zmiętą suknię.

- Naprawdę? - spytała ze zdumieniem w głosie, choć w gruncie rzeczy odczuła pewną ulgę.

Na tym etapie było jeszcze za wcześnie, by podejmować tak ważne decyzje.

- Ale tak w ogóle to nie koniec. - Pocałował ją ponownie. - Nigdzie się stąd nie ruszaj.

Przesunął się na drugą kanapę, uchylił drzwiczki i kazał stangretowi jechać na Portman Square.

Potem ponownie się do niej przytulił.

Każdy kolejny pocałunek był lepszy od poprzedniego. Gdy jednak powóz zatrzymał się przed posiadłością hrabiego, nadszedł czas pożegnania.

Dany nie udało się powstrzymać drżenia warg, a oczy zapiekły ją od łez.

- Do jutra - szepnął Coop żarliwie.

Ucałował jej dłonie i przyciągnął ją blisko, żeby po raz ostatni obdarzyć ją pocałunkiem.

- Nie chcę cię tu zostawiać - wymamrotała Dany.

Zabrzmiało to jak wyznanie miłości. Dany niemal wybuchnęła płaczem, co ją zdumiało, gdyż nigdy dotąd nie przydarzyło się jej nic podobnego.

- Nie chcę, żebyś odchodził - wyznała i popatrzyła mu w oczy, ledwie widoczne w świetle latarni wokół posiadłości hrabiego. - Jeszcze raz?

Z uśmiechem pocałował ją w usta i ponownie przytulił. Po chwili lokaj otworzył drzwi i szybko rozłożył schodki.

- Musisz iść - szepnął bez przekonania Coop.

- Wiem.

- Podaj mi rękę, pomogę ci zejść.

Dany skinęła głową. Gula w gardle nie pozwalała jej mówić.

Gdy szli ku posiadłości, ich dłonie się muskały. Oboje wiedzieli, że są uważnie obserwowani przez służbę, a poza przytulnym wnętrzem powozu obowiązują sztywne zasady towarzyskie.

Coop właśnie całował Dany w rękę, gdy wrota domu się uchyli-

ły i Timmerly stanął na progu, aby ich powitać.

- Panno Foster, to była dla mnie prawdziwa przyjemność. - Cooper znowu pochylił się nad jej dłonią. - Życzę dobrej nocy.

- Dobrej nocy, wasza lordowska mość - odparła Dany.

Jej oczy zdawały się go błagać, by pozostał.

Patrzyła, jak Cooper odchodzi, i po kilku krokach przystaje, żeby raz jeszcze na nią spojrzeć.

- Dobrej nocy - powtórzył.

- Tak. Dobrej nocy.

- Zrobiło się chłodno, panienko - zauważył kamerdyner. - Proszę do środka, trzeba zamknąć drzwi.

- Za chwilę - mruknęła z niezadowoleniem.

Coop otworzył drzwi powozu i znowu się odwrócił.

- Jeśli hrabina nie będzie miała nic przeciwko temu, chętnie przyjechałbym w odwiedziny jutro w południe - powiedział. - Pojechalibyśmy na spacer, może na piknik w parku Richmond... o ile pogoda dopisze.

- Południe to dobra pora. Wcześniejsza godzina też byłaby odpowiednia - dodała Dany i pośpiesznie otarła łzę, która spłynęła jej po policzku.

Uświadomiła sobie, że zachowuje się tak, jakby Cooper jechał na wojnę, by już nigdy nie powrócić. Cóż, nic nie mogła poradzić na to, że tak właśnie się czuła.

Coop skinął głową i wszedł do powozu.

- Panienko, hrabina tego nie pochwali... - zaczął kamerdyner, ale nie dane mu było dokończyć.

- Dany, zaczekaj!

Coop niemal biegł prosto ku niej, unosząc w dłoni zapomniany szal.

- Na szczęście zauważyłem - powiedział i zarzucił szal na jej ramiona.

Dany z zakłopotaniem przestąpiła z nogi na nogę.

- Dziękuję...

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Przysunął się bliżej i ściszył głos. - Jak on się nazywa?

- On? Ach... Timmerly. Czemu pytasz?

- Timmerly? - Coop przeniósł spojrzenie na kamerdynera. -

Mam do ciebie pewną kwestię.

- Tak, jaśnie panie? Czego jaśnie pan sobie życzy?

- Życzę sobie, żebyś zamknął oczy. - Cooper przyciągnął Dany, żeby złożyć na jej ustach długi pożegnalny pocałunek.

Tym razem, kiedy oderwali się od siebie, na ich twarzach gościły uśmiechy. Po chwili jak na komendę oboje wybuchnęli śmiechem. Naturalnie, śmiali się z osłupiałego kamerdynera, ale też z całego świata i z życia. Nie wstydzili się swojego szczęścia i pragnęli okazać je wszystkim dookoła, wbrew regułom i konwensansom.

- Zatem do jutra - powiedział Cooper i szybko ruszył do powozu. - Harry. Do Pulteney. I nie zwlekaj, bo zmienię zdanie.

Lokaj zamknął drzwi i wgramolił się na swoje miejsce u boku stangreta.

- Ech, ci ludzie, trudno ich zrozumieć - skomentował na tyle głośno, że nawet Dany go usłyszała.

Stangret tylko westchnął i popędził konie.

- Czy już mogę patrzeć, panienko? - odezwał się Timmerly.

- Tak, dziękuję ci. - Weszła do budynku, nadal tłumiąc śmiech.

- Jestem beznadziejnym przypadkiem, Timmerly. Wiesz o tym, prawda?

- Krążą pewne pogłoski w tej materii, owszem, panienko - przyznał służący.

- Zatem opowiesz o wszystkim hrabinie?

- Nie, panienko. Jego lordowska mość jest bohaterem spod Quatre Bras i są państwo zaręczeni. A pomijając wszystko inne, pani Timmerly i ja kiedyś również byliśmy młodzi.

- Teraz czujecie się ze sobą komfortowo, prawda?

Timmerly przechylił głowę, jakby się zastanawiał, z czego wynika dociekliwość Dany.

- Po pierwszej fali miłości nadciąga druga - powiedział w końcu. - Gdy dociera ta pierwsza, wydaje się nam, że dostajemy wszystko, o czym moglibyśmy zamarzyć.

- A co z drugą?

Przyglądał się jej przez chwilę, a jego mina stopniowo łagodniała.

- Druga fala to miłość, która pozostaje na zawsze i jest wszyst-

kim tym, czego potrzebujemy, choć wcześniej o tym nie wiedzieliśmy - odparł. - Dobranoc, panienko.

Dany ponownie poczuła, jak pod jej powiekami gromadzą się piekące łzy. Wspięła się na palce i pocałowała kamerdynera w policzek.

- Dziękuję ci - powiedziała ze szczerą wdzięcznością. - Bardzo miły z ciebie człowiek.

Wyraźnie zakłopotany Timmerly odkaszlnął.

- Ależ skąd, panienko, jestem zupełnie zwyczajny - odrzekł skromnie. - Zapraszam na górę. Martin, zamknij usta - zwrócił się do lokaja, który z osłupieniem przysłuchiwał się rozmowie.

- Tak jest, Martin, bo połkniesz muchę - dodała Dany.

Ze śmiechem uniosła przód sukni i ruszyła biegiem po schodach. Czowała się lekka jak piórko, zupełnie jakby lada moment miała pofrunąć.

- Więcej godności, panienko! - zawołał za nią Timmerly. - Godność przede wszystkim.

Dany przystanąła na piętrze, gotowa wbiec jeszcze wyżej, ale się zawahała. Po chwili doszła do wniosku, że Mari powinna jak najprędzej się dowiedzieć, że istnieją dwa rodzaje miłości.

Poza tym była pewna, że jeśli zaraz z kimś nie porozmawia, to chyba wybuchnie jej głowa.

Na palcach przekradła się przez hol, żeby nie zwrócić na siebie uwagi kamerdynera, cicho zapukała do drzwi głównej sypialni i wśliznęła się do środka. Na kominku dogorywał ogień, a na stole, z niewiadomych powodów, nadal paliła się świeca. Dany doszła do wniosku, że jej siostra wciąż może bać się ciemności, choć już od dawna nie jest dzieckiem. Ostrożnie podeszła do wielkiego łoża z baldachimem na czterech słupach.

- Mari? Mari. Pst! Mari! - Odgarnęła zasłony. - Och, na litość boską, Mari, obudź się!

Hrabina Cockermouth, za dnia piękna łagodną urodą, gwałtownie usiadła, a Dany odskoczyła jak oparzona i zasłoniła usta dłońmi, żeby powstrzymać wrzask.

- Wielkie nieba, coś ty zrobiła z twarzą? - wyjąkała z osłupieniem i zamrugowała. - Mari, przecież jesteś... zielona! Cóż to za maska? I... gdzie się podziały twoje włosy?

- Wcale nie jestem zielona.

- Cała zielona! - podkreśliła Dany, wskazując na łoże. Ostrożnie wyciągnęła rękę, żeby usunąć coś, co zwisało z policzka Mari. - W dodatku się rozpływasz. Fúj!

Mari przyłożyła dłonie do twarzy i również oderwała odrobinę odłóżającej zieleni.

- Wszystko przez ciebie, Dany - odparła i ze smutkiem westchnęła. - Zgodnie z zaleceniami preparatu nie wolno zdejmować przez dwanaście godzin, gdyż tylko po tym czasie cera idealnie się odświeża.

- Zgodnie z którymi zaleceniami?

- Pani Angelique Sweet, naturalnie. Przyjechała do nas prosto z Paryża, wyobraź sobie. I zanim cokolwiek powiesz, uprzedzę cię: nie, nie jest czarownicą, taką jak ta okropna starucha, którą mama odwiedzała na wsi, by kupować sobie eliksir, dopóki tata również się nie napił i nie zabrał go dla siebie. Uwierz mi, pani Sweet czyni cuda! To wielce szanowana znawczyni urody. Wszystkie szlachetnie urodzone damy korzystają z jej porad i mazideł.

Angelique Sweet z Paryża, akurat. Dany chętnie założyłaby się o swoje najlepsze rękawiczki, że ta kobieta w rzeczywistości nazywa się Agnes Clump i pochodzi z jakiejś dziury zabitej deskami.

- A gdyby wszystkie szlachetnie urodzone damy pozatykały sobie uszy paluchami i kwakały jak kaczki, z pewnością również dołączyłabyś do ich chóru - powiedziała zgryźliwie. - Właśnie sobie wyobraziłam, jak człapiecie całym stadem przez park, żeby potać się w bajorze.

- Zawsze ci się wydaje, że jesteś mądrzejsza ode mnie, a to nieprawda - odparła Mari z urazą w głosie. - Moim zdaniem pani Sweet zasługuje na szacunek i uznanie. Wierzę jej bez zastrzeżeń.

Dany przystawiła do nosa suchy, nierozrobiony w wodzie preparat, który pachniał jabłkami, a następnie powąchała powietrze... i skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Wysmarowałaś czymś włosy i dlatego chowasz je pod rękawiczką! - oznajmiła oskarżycielskim tonem. - A może ukrywasz tam udko kurczaka, które podwędziłaś z kuchni?

Mari poklepała się po turbanie z ręcznika.

- Powiem ci, skoro koniecznie musisz wiedzieć - odparła z wyższością. - Smarowidło pani Sweet, przeznaczone do pielęgnacji włosów, zawiera nieco tłuszczu z kurczaka... jak sądzę. Pani Sweet uprzedziła mnie, że wiele ciężarnych traci włosy garściami, a jej preparat to jedyna sprawdzona metoda na zapobieżenie łysieniu. Należy odpowiednio odżywić jakieś... cebulki, które są we włosach.

- A więc używasz tłuszczu z kurczaka, żeby odżywić cebulę we włosach. Paradne - powiedziała Dany ze smutkiem. - Wreszcie rozumiem, dlaczego na twojej toalecie roi się od buteleczek i słóiczków. - Wzięła siostrę za rękę. - Nie wiesz, że jesteś piękna?

- Chyba wiem. Mama bez ustanku powtarza, że jestem jej piękną córeczką - przyznała Mari.

Dany przewróciła oczami. Mari zawsze potrafiła palnąć coś takiego akurat w chwili, gdy siostra pragnęła ją przytulić. Inna sprawa, że nigdy nie miała nic złego na myśli, biedaczka. Po prostu była szczerą.

Mari zdrapała z twarzy jeszcze odrobinę jabłkowej maseczki.

- Ale uroda to nie tylko błogosławieństwo. Piękna twarz bywa też przekleństwem - dodała.

Dany podciągnęła nogi, usiadła po turecku i oparła łokcie na kolanach, udając zainteresowanie wywodami siostry.

- Cóż, nie muszę się przejmować ani jednym, ani drugim, lecz choć te problemy są mi obce, chętnie posłucham - odparła z życzliwym uśmiechem.

- A ja chętnie opowiem, jak to jest - oświadczyła Mari.

Także ironia była pojęciem całkowicie jej obcym. Dany doszła do wniosku, że chyba przyjemnie jest interesować się wyłącznie czubkiem własnego nosa i niczym więcej.

Mari rozwinęła część turbanu i użyła tkaniny do wytarcia wysychającego mazidla, które tu i tam już się łuszczyło.

- W gruncie rzeczy sprawa jest prosta - kontynuowała. - Ujrzawszy mnie, Oliver tak się zachwycił, że niemal ścięło go z nóg. Powiedział mi o tym i zapewnił mnie, że jestem absolutnie przepiękna, ale wówczas liczyłam sobie cztery lata mniej. Jeśli mam go zatrzymać przy sobie, koniecznie muszę pozostać piękna.

Niestety. – Westchnęła dramatycznie. – Nie radzę sobie. Wkrótce będę starą wiedźmą i nic się z tym nie da zrobić.

Dany słuchała z uwagą. Co takiego powiedział Coop, obsypując ją pocałunkami? Tak, pamiętała to doskonale. „Jesteś piękna”.

– Moim zdaniem jesteś w błędzie – odparła, po części dlatego, że sama chciała się pokrzepić tą myślą. – Mężczyźni zawsze mówią takie rzeczy, zwłaszcza gdy są... romantycznie usposobieni.

– Skąd to wiesz?

Dany odetchnęła głęboko, a następnie uśmiechnęła się do siostry.

– Przeczytałam kilka książek mamy – wyjaśniła.

– Och, to wielka szkoda, Dany. – Mari wstała z łóżka. – Sądziałam, że pocałował cię twój... narzeczony.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Dany podreptała za siostrą do toaletki, miski i dzbanka z wodą, które tam stały. – Nie chodzi mi o pocałunek, tylko o słowo „narzeczony”, które tak dziwnie wypowiedziałaś. Zupełnie jakbyś... Skąd to... To sprawka Emmaline?

– To nie jej wina, więc nie wyciągaj pochopnych wniosków, na litość boską. Z początku ogromnie się ucieszyłam, a potem zaczęłam myśleć, i tyle. Cóż takiego bohater spod Quatre Bras mógł ujrzyć w mojej siostrze ze wsi? Zrobiłaś to tylko dlatego, żeby przez cały czas był blisko i tym skuteczniej pomógł mi odzyskać moje listy. Dany, jestem nieopisanie wdzięczna wam obojgu. Nie rozumiem tylko, jak ci się uda wykręcić od ślubu, nie robiąc z siebie kompletnej idiotki. Przecież będziesz musiała odtrącić bohatera.

– Debiutantka, która odrzuciła bohatera. – Dany pokiwała głową. – Mniemam, że ten fakt ogromnie poprawi moją reputację, gdy wiosną oficjalnie zadebiutuję na salonach.

Ta odpowiedź wydawała się rozsądna, ale tylko przez trzy sekundy.

Mari pochyliła się nad miską, ale niestety, każde słowo, które wypowiadała, brzmiało jasno i klarownie.

– Ależ, Dany, jeszcze nie rozumiesz? – spytała ze zdumieniem. – Jestem przy nadziei, więc na wiosnę zapewne przybiorę gigantyczne rozmiary. W takiej sytuacji na pewno nie zdołam ci towa-

rzyszyć jako przyzwoitka, a mama oświadczyła, że wolałaby wbić sobie drzazgi pod paznokcie, niż zajmować się tobą w Mayfair. Twój debiut ponownie się opóźni. Ile będziesz miała lat, gdy wreszcie pojawisz się na salonach?

- Została ci odrobina zielonego na czole - burknęła Dany, gdy Mari przestała się szorować. - Idę spać.

- Tak, naturalnie. Zaraz, poczekaj chwilę. Właściwie dlaczego do mnie przysłaś?

- Och, właściwie chciałam tylko powiedzieć, że zdaniem Coopa ustaliliśmy, kim jest szantażysta. Będziesz miała swoje listy, nim Oliver wróci do domu.

Mari pisnęła z radości i mocno przytuliła siostrę.

- Jesteś niezrównana, Dany! - zawołała wniebowzięta. - Dziękuję tobie i jemu z całego serca. Jesteś najlepszą siostrą na świecie.

- Nie masz innej siostry - odparła Dany, usiłując uchronić się przed tłuszczem z kurczaka i innymi substancjami, którymi Mari oblepiła sobie włosy.

- Tak, ale wiesz, o co mi chodziło. Znasz nazwisko tego paskudnego szantażysty? Czy to ktoś, z kim się zetknęłam?

- Nie, nie znam - skłamała Dany. - Coop to szalenie dyskretny człowiek, a ja jestem tylko udawaną narzeczoną. Nic więcej nie wiem na ten temat. W każdym razie nic ci nie grozi, a poza tym pamiętaj, że Oliver cię kocha. Nigdy o tym nie zapominaj.

Mari ponownie ją uścisnęła.

- Dziękuję. Ogromnie go kocham, wkrótce urodzi się nam dziecko i będziemy żyli długo i szczęśliwie!

- Tylko pod warunkiem że po jego powrocie przestaniesz używać specyfików od pani Sweet - podkreśliła Dany z humorem. - Dałaś mi do myślenia. Dobranoc, Mari.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cooper zjawił się w więzieniu przed dziesiątą, uraczywszy się wczesnym śniadaniem z Darbym, który teraz zmierzał na spotkanie z Geoffreyem Quintonem.

Darby i Coop musieli się rozdzielić ze względu na pośpiech, a pomijając wszystko inne, Darby nigdy nie przepadał za Geofem, człowiekiem o zbyt powolnym umyśle i zbyt szybkich pięściach, ale przyznawał, że chętnie popatrzy, jak ten niesympatyczny typ wije się przed nim i kręci.

Po przekupieniu osiłka przy bramie Cooper wszedł pod jego eskortą do środka i po brudnych schodach dotarł do celi Neda.

Strażnik zapukał.

- Jaśnie panie Givens! - krzyknął, przysunąwszy twarz do drzwi. - Tu Clem, jaśnie panie. Jakiś jegomość chce jaśnie pana widzieć. Dał mi miedziaka i grzecznie poprosił, tak jak jaśnie pan mówił, że prawdziwe szlachcice robią.

- Dżentelmen cię wynagrodził, Clem? - spytał zza drzwi Ned Givens. - I bardzo dobrze! Koniecznie wprowadź go do środka.

Clem sięgnął do klamki, ale nim zdążył ją chwycić, drzwi otworzyły się gwałtownie, prawie rozbijając mu nos. Wysoki, patykowaty osobnik wymaszerował z celi, dźwigając miedzianą miskę z wodą. Na pasku przerzuconym przez ramiona niósł pędzle, brzytwy i inne narzędzia typowe dla swojego fachu.

Wchodząc do pomieszczenia, Cooper zerknął uważnie na drzwi. Jego podejrzenie okazało się słuszne - brakowało w nich zamka. Wnętrze w niczym nie przypominało więziennej celi. Był to duży i gustownie urządzone apartament z innymi drzwiami, prowadzącymi do innych pomieszczeń bliżej nieokreślonego przeznaczenia. W wysokich oknach wisiały zasłony, nie brakowało tu kanap i foteli, a w pobliżu dużego kominka stało biurko. Cooper zwrócił uwagę na zapełnione książkami regały, które tworzyły małą biblioteczkę. Pod sufitem wisiał imponujący żyrandol.

Miejsce wydawało się nierzeczywiste, ale Cooper pamiętał, że Nedowi zawsze udawało się spaść na cztery łapy.

Teraz stał przed wielkim lustrem i wiązał pod szyją nieskazitelnie biały fular, jakby zamierzał wyjść na spacer i nieco się przewietrzyć.

- Cooper Townsend. Czy to twoje odbicie widzę w lustrze? - zapytał z uśmiechem i odwrócił się do gościa.

Coop pomyślał, że Ned niewiele się zmienił od czasów szkolnych. Miał tak samo ciemnomiedziane włosy, imponująco duże i białe zęby, a także wąskie ramiona oraz nieco wystający brzuch.

- Witaj, Ned - przywitał się Cooper. - Dobrze wyglądasz.

- Sądziłeś, że będę leżał skulony w kącie, cały w szmatach i wrzodach, zapłakany i rozdygotany?

Coop zajął miejsce w obitym jasnoniebieskim atłasem w paski fotelu.

- Mniej więcej - przyznał i rozłożył ręce. - Jakim cudem tak się urządziłeś? Na pewno jesteśmy w więzieniu?

Ned rozparł się na kanapie.

- Wiesz, dlaczego tu trafiłem, prawda? - zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. - Poszło o machlojki przy kartach. Na szczęście mnie ostrzeżono.

Coop się pochylił.

- Nie, nie rozumiem. - Pokręcił głową. - Powiedz mi, w jaki sposób cię ostrzeżono.

- Pewnie masz istotny powód, skoro o to pytasz. Bohater spod Quatre Bras nie zniżałby się do odwiedzania więzionych przyjaciół, gdyby sprawa nie należała do poważnych. No dobrze, porozmawiam z tobą, ale nie za darmo. Przygotuj pięć funtów.

- Bez obaw, dostaniesz swoje pięć funtów, a nawet więcej, jeśli spodobają mi się twoje odpowiedzi.

- Chyba ci uwierzę. Dotąd nie dałeś mi ani jednego powodu do nieufności, prawda? Zawsze cię podziwiałem za twoją lojalność, przenikliwy umysł, wycucie dobra i zła. Nie zniechęciłem się do ciebie nawet wtedy, gdy zadyndałem przez ciebie na maszcie, ponieważ wyjaśniłeś, dlaczego mnie tak traktujesz. Miałem zrozumieć, że każdy czyn ma swoje konsekwencje, prawda? Jakoś nie

wziąłem sobie tego do serca, niestety.

- Ned?

- Tak, tak, już do tego zmierzam. Wiem, nie zjawileś się, by wspominać dawne, szczeniące czasy. Cóż, to było prawie pół roku temu, o ile pamiętam. Dostałem list z żądaniem zapłaty pewnej sumy i informacją, że jeśli tego nie zrobię, zostanę zde-maskowany jako szuler.

- A byłeś szulerem? - spytał Coop wprost. - Nie to, bym cię po-tępiał. Po prostu zżera mnie ciekawość.

- Dobrze wiesz, że nie odpowiem na to pytanie. Niemniej jed-nak moim zdaniem ludzie powinni robić to, w czym są dobrzy. - Ned uśmiechnął się znacząco. - Wiesz, co mam na myśli.

- Tak, wiem. - Cooper westchnął. - Zapłaciłeś szantażyście?

- Ależ, Coop, dlaczego miałbym to robić? - Ned wzruszył ra-mionami. - Wkrótce zażądałby więcej, zadowolony z pierwszego sukcesu. Mając to na względzie, postąpiłem roztropnie. Zebra-łem tyle pieniędzy, ile się dało, a kosztowało mnie to sporo ak-tywności towarzyskiej. Co prawda, zwykle ograniczałem się do pokoju karcianego mojej gospodyni, ale cóż. Sprzedałem wszyst-ko z wyjątkiem mebli, które widzisz wokoło, i tych w sypialni. Przekazałem je pod opiekę dobremu przyjacielowi, a on dostar-czył całość tutaj. Większą część garderoby, a także konie i powo-zy, jak również rodzinne srebra i ruchomości wysłałem krewne-mu w Wiltshire. Następnie przygotowałem się na to, co mnie cze-kało.

- Jak rozumiem, czekał cię zalew plotek i odwiedziny egzekuto-rów długów?

- Są okrutni i bezduszni. - Ned wzdrygnął się z obrzydzeniem.

- Gdy przyszli, siedziałem na swoim jedynym krześle w wynaje-tych mieszkaniu. Możesz mi wierzyć lub nie, ale prawie się o nie pobili.

- A teraz mieszkasz tutaj - zauważył Cooper, wyraźnie rozba-wiony sprytem przyjaciela.

- Tymczasowo. Na szczęście mam tu paru współbraci w niedo-li, którzy chętnie grywają ze mną w karty i zapełniają mi kiesze-nie, dzięki czemu nie musiałem jeszcze skorzystać ze swojego, jak by to nazwać... kapitału. Poczciwy człek z tego Clema. Nie

szczędzę mu miedziaków, a on zabiera mnie wieczorami do swojej ulubionej knajpki. Pracuje tam pewna karczmareczka, którą upodobałem sobie w szczególności. Egzekutorzy praktycznie już zapomnieli o mojej skromnej osobie, ale wyższe sfery nigdy nie wymażą mnie z pamięci. Nie żyje mi się tu rewelacyjnie, ale jest znośnie. W najbliższym czasie zamierzam dyskretnie opuścić miasto, spędzić zimę u kuzyna, a potem wyruszyć w świat w poszukiwaniu przygód. Biorę pod uwagę Hiszpanię i Austrię. Co ty na to, stary druhu?

- A ja na to, że pewnie chętnie dowiedziałbyś się, kto próbował cię szantażować.

- Czy to ma znaczenie? - Ned wzruszył ramionami.

- Sam to ocenisz, kiedy się dowiesz, że chodzi o Ferdinanda Lanisforda - odparł Cooper.

Ned niemal zerwał się na równe nogi.

- Ferdie? - krzyknął, a następnie wyrzucił z siebie stek przekleństw tak szczegółowych i nowatorskich w swojej ordynarności, że w innych okolicznościach Cooper zapewne nagrodziłby go oklaskami.

- A chcesz poznać powód?

- Chyba nie muszę pytać. - Ned usiadł ponownie. - Wiem także, dlaczego ty tu jesteś. Ferdie postanowił rozprawić się z nami, choć minęło tyle lat.

- Zgadza się, ten człowiek postanowił dopaść nas wszystkich. Niektórych już nie dosięgnie jego zemsta, więc wziął na cel mnie i Olivera. Johnnie zginął pod Waterloo. O ile wiem, Thad bawi na Jamajce. Wkrótce się dowiem, czy wytropił Geoffa. Teraz dodałem cię do listy.

- Zapomniałeś o kimś. Co z Davym?

- Powiesił się - odparł Cooper bez owijania w bawełnę. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ty trafiłeś tutaj. Zostawił list pożegnalny, w którym napisał, że to jedyny sposób, aby nikt się nie dowiedział.

Wymienili spojrzenia, a Ned pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Biedny chłop. Nawet nie chciał być z nami tamtej nocy. Co Ferdie ma na ciebie?

- W tym sęk. Trudno powiedzieć, niewykluczone, że tylko ble-

fuje. Obaj wiemy, że nie zależy mu na pieniądzach. Pragnie się zemścić. Żałuję tylko, że nie zorientowałem się wcześniej.

- Nie można cię winić za to, że nie rozumiesz tak jak ja. - Ned położył Cooperowi rękę na ramieniu i odprowadził go do drzwi. - Jestem hazardzistą, myślę w kategoriach prawdopodobieństwa i szansy. Doszedłem do wniosku, że ten, kto mnie szantażował, zjawi się ponownie, dlatego się przygotowałem. Ty też musisz się przygotować. Oliver i Geoff również.

Mocno uścisnęli sobie dłonie, a sakiewka z pięcioma funtami zmieniła właściciela.

- Za pozwoleniem. - Do pokoju wśliznął się jakiś mężczyzna. - Już jedenasta, Givens. Obiecałeś mi rewanż.

Cooper popatrzył na jegomościa w eleganckim ubraniu, które jednak wystrzępiło się nieco na brzegach. Nieznajomy bezceremonialnie rozłożył stolik karciany, który stał oparty o jedną ze ścian.

- Czy to nie jest...? - zawahał się Coop.

- Jak najbardziej. Do tego więzienia trafiają przeróżne osoby, a on spędzi tu czas tylko do następnej wypłaty pieniędzy na życie, która przypada raz na kwartał. Przynajmniej tak twierdzi. Jest tutaj kilka apartamentów dla tych, których na to stać. Ze wstydem przyznaję, że mój jest jednym z najlepszych. Do tego do gry w wista nie brakuje mi partnerów, którzy koniecznie pragną się rozstać z pieniędzmi. Kto wie, czy nie wyjdę stąd bogaty.

- Poradzisz sobie, prawda, Ned? - westchnął Coop, szykując się do opuszczenia elegancko urządzonej celi.

- Zawsze sobie radzę. A teraz idź zrobić porządek z tym drańmiem. Uczyń to dla Davy'ego, dla nas wszystkich. Nadajesz się do tego jak nikt inny.

Cooper odszedł z uśmiechem. Na ulicy od razu zauważył Darby'ego, który najspokojniej w świecie stał pod latarnią.

- Zauważyłem twój powóz i postanowiłem na ciebie zaczekać - powiedział Darby i obaj ruszyli w kierunku młodego Harry'ego. - I jak, czego się dowiedziałeś?

- Ned miewa się całkiem nieźle i nie musi wegetować o chlebie i wodzie - odparł Coop. - Zapewne jednak bardziej interesuje cię, czy padł ofiarą szantażu. Odpowiedź brzmi: tak, był szanta-

żowany.

- Tego należało się spodziewać, zwłaszcza że twój przyjaciel Geoff...

- To mój znajomy, nie przyjaciel, podobnie jak reszta tamtego grona. Trochę jednak żałuję, że nie poznałem lepiej Neda. Z pewnością niejednego mógłby mnie nauczyć.

- O ukrywaniu asów w rękawie? - spytał Darby.

- O życiu. A teraz, mój drogi, opowiadaj, w jaki sposób Ferdie dobrał się do skóry Geoffowi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Coop i Dany opuścili Portman Square, ciesząc się umiarkowanie ciepłym londyńskim słońcem. Za siedzeniem dwukółki siedział Harry, który pilnował wiklinowego koszyka na piknik.

Dany doszła do wniosku, że koszyk to dobry znak, ale obecność Harry'ego ją irytowała. Najchętniej pozostałaby sam na sam z Cooperem. Mogłaby wtedy pozwolić sobie na drobną pieszczotę, na przykład pogłaskałaby Coopera po policzku lub po włosach. Zapewne nie powinna sobie wyobrażać niczego więcej, ale mimo to zastanawiała się, jak by to było przytulić się teraz do niego.

Cooper wydawał się jednak opanowany, zupełnie jakby ostatniej nocy nic się nie wydarzyło. Dany miała nadzieję, że tylko ukrywał prawdziwe uczucia.

- Przepraszam? - odezwała się, gdy uświadomiła sobie, że Coop coś powiedział, a ona nie usłyszała.

Przyszło jej do głowy, że wydarzenia ostatniej nocy zupełnie odebrały jej rozum. Tak, to było całkiem prawdopodobne.

- Wspomniałem, że byłem zaskoczony, napotkawszy cię w holu, gotową do wyjścia. Wcześniej zakładałem, że twoja siostra zechce zadać mi co najmniej kilka pytań.

Dany przypomniała sobie Mari, która ostatnio siedziała zapłakana nad filiżanką czekolady i z rozpaczą gapiała się na swoje odbicie w zwierciadle. Na jej twarzy wykwitły paskudne czerwone plamy, a zazwyczaj piękne ciemne włosy zwisały w oleistych strąkach, nadal mokre po dwukrotnym umyciu, a mimo to pozlepiane od tłuszczu z kurczaka.

- Wiele wskazuje na to, że Mari jeszcze przez kilka dni pozostanie w swoich pokojach - wyjaśniła. - Sięgnęła po produkty spożywcze, po które stanowczo nie powinna była sięgać.

Wyczuła na sobie jego wzrok i zacisnęła usta, żeby powstrzymać złośliwy uśmiech.

- Coś jej zaszkodziło? - spytał Coop, by zaraz spojrzeć ze zrozumieniem. - Aha! Dla własnego dobra nie powinienem drążyć tego tematu.

- Zdecydowanie nie. Dość powiedzieć, że z pewnością dojdzie do siebie. Jak mi wyjaśniła, nie obchodzi jej, dokąd pójdę, co będę robić i z kim, tylko nie wolno mi już ani razu powtórzyć: „A nie mówiłam?”. Innymi słowy, jesteśmy wolni jak ptaki.

Cooper uściskał jej dłoń.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek odzyskam wolność, ale wierz mi, jestem z tego powodu najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - wyznał żarliwie i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Och... - odetchnęła nerwowo i płytko, gdyż przez ściśnięte gardło trudno jej było zaczerpnąć powietrza. - Ostatniego wieczoru trochę przesadziliśmy z figlami, nie sądzisz?

Zamarła w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie zamierzasz nic powiedzieć? - ponagliła go po chwili.

- Ach, oczekiwałaś potwierdzenia? Wybacz, dopiero teraz to do mnie dotarło.

Dany przewróciła oczami. Niewątpliwie uwielbiał się z nią droczyć, a i ona coraz bardziej to lubiła.

- Mógłbyś powiedzieć, że się mylę - mruknęła. - Zapewne poczułabym się lepiej.

Obdarzył ją zniewalającym uśmiechem.

- Wybacz - odparł. - Zamyśliłem się. Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy znowu pofiglować dzisiaj.

Dany przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać śmiech.

- Lubię dżentelmenów, którzy nie stronią od myślenia - oświadczyła z rozbawieniem.

- A ja cenię szczerłość u kobiet. - Nagle spoważniał. - Nim jednak przejdziemy do przyjemności, musimy porozmawiać. Ja i Darby dowiedzieliśmy się dzisiaj tego i owego.

- Byłeś w więzieniu? - Dany szybko skupiła się na nowym temacie. - Czy to okropne miejsce?

- Zasadniczo tak, jestem tego pewien - potwierdził Coop. - Ale Ned Givens wie tam żywot o wiele bardziej komfortowy niż większość londyńczyków. Jak mi wyjaśnił, był przygotowany na więzienie i dlatego poczynił stosowne przygotowania. Zapewne

chcesz spytać, czy Ferdie zażądał pieniędzy. Tak, zażądał i zagroził, że jeśli ich nie otrzyma, wyjawi wszem wobec, że Ned jest szulerem.

Dany przechyliła głowę, zastanawiając się, co w tym wypadku oznacza „przygotowany na więzienie”.

- Skąd wiedział, że ten cały Ferdie go zdemaskuje? - zapytała.

- Nie wiedział, że to Ferdie, po prostu logicznie rozumował. Gdyby zapłacił, szantażysta wróciłby po więcej, a potem i tak zdradziłby o nim prawdę. Szantażyści z natury rzeczy nie szanują umów i nie uznają żadnych zasad. Ned uznał, że w tej rozgrywce musi obrać inną taktykę.

- Z kimś takim jak Ned lepiej nie grać w karty - zauważyła Dany z niechętnym podziwem. - Szkoda, że nie zabrałeś mnie ze sobą. Spotkanie z tym człowiekiem mogłoby być interesujące.

- W istocie - przyznał Cooper. - Czy ciekawi cię, czego Darby dowiedział się o Geoffie Quintonie?

- Naturalnie. Geoff zapewne również padł ofiarą szantażu Ferdiego. - Zmarszczyła brwi. - Cóż za niemądre imię, Ferdie. Nie mogę przestać go powtarzać.

- Cieszę się, że coś w tym człowieku cię bawi. Osobiście nie dostrzegam w nim nic zabawnego, zważywszy na to, co robi.

- Naturalnie, masz rację. - Dany pokiwała głową. - Przez niego umarł twój przyjaciel Davy.

- A wiele innych osób przez niego cierpi - dodał Coop. - Oliver, Ned... A także ja sam, jakkolwiek patrzeć. Nie ma jednak powodów, by żałować Geoffa Quintona, chyba że powinniśmy mu współczuć z powodu złamanej ręki.

- Miał wypadek? - zapytała, domyślając się prawdy. - Darby odwiedził go dzisiaj rano. Czy Geoff miał złamaną rękę przed wizytą wicehrabiego?

- Nie, nie miał. Jak zrozumiałem, Darby zastał go w jadalni, nad stołem zastawionym jajkami i śledziami. Zanim opowiem resztę historii, muszę wyznać, że to cudownie rozmawiać z tobą bez ogródek. Wszystko rozumiesz i na pewno nie zemdlejesz, słysząc brutalne szczegóły.

- Mam podziękować ci za uznanie?

- Jeśli chcesz. Przestań patrzeć na mnie w ten sposób, bo jesz-

cze chwila i Harry zobaczy coś, na co jest za młody. Jesteśmy na miejscu. – Skierował dwukółkę w wąską uliczkę. – Wkrótce odpowiem na twoje pytania.

Jechali w milczeniu jeszcze przez kilometr, aż w końcu Cooper ściągnął wodze przed wiejskim domem krytym piękną strzechą, z licznymi wielodzelnymi oknami. Budynek wydawał się co najmniej pięć razy większy od największego, jaki Dany kiedykolwiek widziała, a otaczał go starannie wypielegnowany park.

– Przyznam, że odkąd wyjechaliśmy z Londynu, nie zwracałam uwagi na otoczenie – powiedziała Dany, gdy Cooper pomógł jej zeskoczyć na chodnik. – Gdzie jesteśmy?

– Nieopodal Wimbledonu. Przed tobą rozciąga się posiadłość Darby’ego, a właściwie jedna z nich. W tej chwili wszystkie sprzęty wewnątrz są ukryte pod prześcieradłami, a służba została ograniczona do niezbędnego minimum, gdyż Darby postanowił nie rezydować tutaj. Co naturalne, woli swoją posesję w Londynie.

– Tak, to jak najbardziej zrozumiałe – odparła Dany z ironią w głosie. – Darby jest tu teraz?

– Na szczęście nie, ale sam zaproponował, byśmy urządzili tu sobie piknik. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Pytanie wydawało się tak absurdalne, że Dany niemal prychnęła.

– Nie, nie mam – powiedziała. – W końcu musimy... porozmawiać, prawda?

Cooper wziął ją za rękę.

– Za budynkiem znajduje się altana, w dyskretnym miejscu nad strumieniem – oznajmił. – Harry, podaj koszyk. Zajmiesz się teraz koniem, a potem przejdiesz do kuchni, gdzie pozostaniesz, dopóki cię nie wezwę. Służba jest uprzedzona o twoim przybyciu.

– Tak jest, jaśnie panie. Się robi! – Chłopak ściągnął koszyk z powozu, ukłonił się i trzymając konia za uzdę, odszedł zwirową dróżką, która prowadziła do stajni.

– To chyba oczywiste, że musimy porozmawiać – zgodził się Coop, prowadząc Dany w przeciwnym kierunku. – Wielokrotnie chadzaliśmy tam na ryby i, choć niewiele udawało się nam zło-

wić, pogawędka i wino zawsze były przednie.

- Strumień jest uroczy, altanka śliczna. Nie wątpię, że zawartość koszyka okaże się wyborna. Och, ktoś nawet okazał się na tyle miły, że rozpostarł dla nas koc. W takiej sytuacji chyba możemy się przywitać, prawda?

Coop odstawił koszyk i wziął ją za rękę.

Dany doszła do wniosku, że przez okrągłą godzinę zachowywała się bardzo grzecznie. Teraz nie mogła się doczekać tego, co miało nastąpić. Z niecierpliwości aż podkuliła palce u stóp.

- Witaj - szepnął, a ich wargi niebezpiecznie się zbliżyły.

Zielone oczy Coopera pociemniały. Rozwiązał tasiemki u czepka Dany i cisnął go na bok. Było jej wszystko jedno, co się stanie ze skądinąd ładnym nakryciem głowy. Ważne, że już nie przeszkadzało ani jej, ani tym bardziej jemu.

Po chwili w końcu ją pocałował, a serce Dany załomotało tak, jakby chciało wyskoczyć z jej piersi.

Coop wziął ją na rękę i ostrożnie położył na kocu, a następnie sam ułożył się obok. Dany natychmiast objęła go i przytuliła. Czuła się tak, jakby powróciła do domu.

Odsunął się odrobinę, po czym ją pocałował.

- Obawiam się, że chwilowo to musi nam wystarczyć... - Z żalem westchnął.

Usiadł na kocu i pociągnął ją za sobą. Popatrzyli sobie w oczy, a on pogłaskał ją opuszkami palców po policzku i nieoczekiwanie zmierzwił jej starannie ułożone włosy.

- Jak wyglądają, kiedy są rozpuszczone? - zapytał.

- Chyba ładniej - przyznała. - Ale też sprawiają wrażenie cięższych.

- Podobają mi się takie, jakie są teraz. Rigby wspomniał, że kto wie, czy nie jesteś chochlikiem albo wróżką. Czy masz magiczne moce? Moim zdaniem to niewykluczone.

- Sugerujesz, że rzuciłam na ciebie zaklęcie? - Zerknęła na niego. - Chciałabym, ale nie potrafię czarować, niestety. Może coś zjemy? Umieram z głodu.

Sięgając do koszyka, pochyliła się, żeby ukryć uśmiech.

Coop pomógł jej wyciągnąć butelkę wina, którą odkorkował, podczas gdy Dany rozkładała talerze i sztucce. Wyjęła z koszyka

także naczynie z kurczakiem na zimno, chrupiący bochenek chleba, maselnickę i talerzyk cienko pokrojonych ogórków. Nienawidziła ogórków, ale winogrona, dorodne i fioletowe, prezentowały się nader apetycznie.

Delikatnie oderwała jedno i podsunęła je Cooperowi, który posłusznie otworzył usta.

- Bardzo ładnie - pochwaliła go, gdy chwycił owoc zębami i ochoczo go zjadł. - A teraz zajmę się kurczakiem, a ty opowiedz mi o nieszczęsnym Geoffreju Quintonie i jego złamanej kończynie.

- Tak jest, moja królowo. - Sięgnął po kieliszki do wina i sprawnie je napełnił.

Do jej kieliszka nalał znacznie mniej trunku, ale Dany nie protestowała, uznawszy, że tak będzie lepiej.

Na początek Coop wyjaśnił, że w gruncie rzeczy nikt nie przyjaźnił się z Quintonem, który co prawda był synem hrabiego, ale drugim i praktycznie całkowicie pozbawionym szans na dziedziczenie. Jego starszy brat szybko się ożenił, a płodna żona zapewniła mu czterech dorodnych synów, więc Geoff mógł zapomnieć o tytule i o świetlanej przyszłości na salonach. Pozostało mu tylko niezbyt wysokie uposażenie oraz wątpliwej jakości sława hałburdy, który łamał ludziom nosy tak często, jak inni łamią chleb. Nie pojechał na ostatnią wojnę, co Cooper miał mu za złe, i krążyły pogłoski, że dorabia sobie jako płatny oprych. Podobno za odpowiednią sumę był gotów obić twarz dosłownie każdemu. Wyższe sfery tolerowały go z najwyższym trudem, i to jedynie przez wzgląd na arystokratyczny tytuł jego ojca.

- Ale w gruncie rzeczy Geoff jest tchórzem podszyty - dodał Coop, gdy Dany z zapalem sięgnęła po udko, całkowicie ignorując eleganckie sztuczki. - Nigdy nie słyszałem, żeby stawił czoło komuś choć odrobinę większemu lub silniejszemu od siebie. I w tym momencie należy wspomnieć o sytuacji, w której się znalazł. Przygotuj się, Dany, albowiem nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

- Pobił kogoś na śmierć? Usiłował zarznąć brata i bratanków? No powiedz wreszcie.

- Otrzymał polecenie zabicia... mnie.

Dany zamarła z kurczakiem przy ustach.

- Ma cię zabić? - upewniła się. - W jaki sposób?

- Krwawy - odparł Cooper. - Będzie musiał zatłuc mnie pięściami. Tak na marginesie, ma pięści jak bochny chleba, którymi potrafi zetrzeć człowieka na miazgę. - Zerknął na nią znad kieliszka. - Szantażysta będzie usatysfakcjonowany, kiedy powiększe grono aniołków, a jeśli Geoff nie wykona zadania, sam zginie. Otrzymał na to trzy dni. Jak wspomniał Darby, Geoff był bardzo poruszony i sprawiał wrażenie prawie rozradowanego, że zjawił się ktoś, komu warto się zwierzyć z problemu.

Dany myślała intensywnie.

- Zatem Darby złamał mu rękę, żeby wyeliminować go z rozgrywki? - spytała z niedowierzaniem.

- Zasadniczo, tak - przytaknął Coop. - Darby poinformował Geoffa, aby potraktował to jak życzliwą przysługę. Potem dodał, że wróci i złamie mu drugą rękę, jeśli zbliży się do mnie któryś z siepaczy Geoffa. Następnie zasugerował, by Geoff spakował manatki i wyjechał do hrabiego, swojego ojca, na co Geoff posłusznie kazał pokojowcowi szykować się do podróży.

- Wiedziałam, że wicehrabia potrafi być niebezpieczny. Jest zbyt niemądry, żeby nie postępować brawurowo. - Dany odłożyła kurczaka, nagle straciwszy apetyt. Zamyślona, przystąpiła do oblizywania nieco zatłuszczonych palców. - Twoim zdaniem Geoff byłby gotów cię zabić? I to w ciągu najbliższych trzech dni? Wielkie nieba, Coop. Gdybyśmy się nie spotkali, gdybyśmy nie poznali prawdy o pani Yothers... A właściwie kim są ci siepacze Geoffa?

Coop dopił resztkę wina.

- Czekałem, aż o to spytasz, choć przyznaję, że trochę mnie rozkojarzyłaś. - Pokręcił głową.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała ze zdumieniem. - Nie rozumiem.

- I dobrze. Wróćmy do tego, co wiemy. Szantażysta skontaktował się z Geoffem ponad miesiąc temu, gdyż dowiedział się, że Geoff dorabia sobie napadami na powozy, w czym pomaga mu niewielka banda niebezpiecznych oprychów. Skąd Ferdie uzyskał tę informację, nie wiem. Z pewnością jednak planował zemstę już od bardzo dawna. List z żądaniem usunięcia mnie z tego świata dotarł dzisiaj rano, zaledwie na godzinę przed przybyciem Dar-

by'ego. Domyślam się, że nowy problem nie odebrał Geoffowi apetytu.

- Dzisiaj rano? - powtórzyła Dany. - Można podejrzewać, że Ferdie wie, że depczemy mu po piętach, i postanowił działać bardziej zdecydowanie. Chyba naprawdę zagoniliśmy go w kozi róg... i siebie również, przy okazji.

- To prawda. Ferdie z pewnością wierzy teraz, że trzecia książka nie zdąży się ukazać na tyle wcześnie, by go przede mną uratować.

- A to dlatego, że zaatakujesz go wprost, gdyż na tym etapie masz już w nosie jego wypociny - podkreśliła Dany z dumą.

- Panno Foster, co za słownictwo! - Ponownie nalał nieco wina do kieliszków. - Nasz przyjaciel Ferdie na szczęście nie ma pojęcia, że jeszcze nie obmyśliliśmy planu pokonania go, odebrania listów twojej siostry i powstrzymania publikacji książki.

- Pracowaliśmy nad tym. - Poklepała go po dłoni. - Wkrótce coś byśmy obmyślili, nieprawdaż?

- Tak czy owak, nie ma już czasu na finezyjne rozgrywki. Muszę stawić mu czoło i dowiedzieć się, co naprawdę wie o... Quatre Bras.

Dany cofnęła rękę. Nie mogła okazać, jak bardzo przeraża ją ta perspektywa, a poza tym coś innego chodziło jej po głowie.

- Zapewne wie więcej niż ja, zwłaszcza że nie wiem nic. Powiem ci coś, Cooperze. Chyba bardziej doskwiera mi złość na ciebie niż strach przed tym, co knuje Ferdie. I co zamierzasz z tym zrobić?

- W tej chwili? Nic.

- Nic? - powtórzyła. - Jak możesz tak mówić?

- Dany, to jest tajemnica, a tajemnice mają to do siebie, że się o nich nie papla - oświadczył i ciężko westchnął. - A poza tym Ferdie może blefować. Z całą pewnością sporo pozmyślał w tych swoich książczynach, chwala Bogu.

- Masz na myśli pierścień. - Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- A ta kobieta? Wiem, co powiedziałeś, ale po prostu muszę cię o to spytać.

- Przewidywałem, że to zrobisz. Ferdie koniecznie chce mnie przedstawić jako szuję, która paskudnie postępuje z kobietami,

a to kompletna bzdura. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że nic nie wie o Quatre Bras. Chce mnie oczernić w oczach moich przełożonych, dzięki którym mam tytuł i posiadłość. Powiem ci, że gdyby ten człowiek znał całą prawdę, byłbym skończony, a niewykluczone, że położyłbym głowę. – Zerwał się z koca i pomógł jej wstać. – Chodź, przejdziemy się. Może łatwiej mi pójdzie, jeśli nie będziesz patrzyła na mnie tak uważnie.

Dany pokiwała głową. Coraz bardziej żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

– Czy mam włożyć czepek? – zapytała. – Wtedy widziałabym jeszcze mniej, jak koń z klapkami na oczach.

Coop objął ją w talii, a ona po chwili wahania położyła dłoń na jego biodrze.

– To zbędne, jesteś wystarczająco niższa ode mnie – odparł. – Postaraj się tylko nie podnosić głowy i nie przeszywać mnie tym swoim intensywnym spojrzeniem.

Pocałował ją w czubek głowy, a ona poczuła przyjemne ciepło na sercu.

– Zanim zaczniesz, powiedz mi jedno – poprosiła. – Czy wyjawisz prawdę Darby’emu i Rigby’emu albo komukolwiek?

– Konsekwentnie okłamuję każdego, kto zapyta. Mam nadzieję, że przekonująco mieszam fakty z fikcją. Chyba się nie zdarzyło, bym dwukrotnie udzielił identycznej odpowiedzi na jedno pytanie, więc w rezultacie od czasu do czasu sam się gubię we własnych kłamstwach. Gdyby moi przyjaciele znali całą prawdę, byłiby narażeni na niebezpieczeństwo, a poza tym prawda nie stawia mnie w najlepszym świetle. Czy na pewno chcesz słuchać dalej?

– Nie zamierzam rozpowiadać na lewo i prawo poufnych informacji na twój temat, więc raczej nic mi nie grozi, ale dziękuję za troskę – odparła. – Poza tym mężczyźni zwykle nie mówią kobietom nic ważnego, prawda?

– Jeśli sobie życzysz, od ręki wymienię kilka imperiów, które upadły z powodu tego jakże błędnego założenia. I zwróc uwagę, że odkąd się poznaliśmy, mówię ci same ważne rzeczy.

– Tak, ale tylko dlatego, że jestem bardzo przekonująca – odrzekła i opuściła głowę, kryjąc rumieniec. – Obiecuję, że nie będę

ci przerywać.

Spacerowali brzegiem strumienia, ale Dany nie zwracała uwagi na urokliwe otoczenie. Wiedziała, że Coop się zastanawia, jak opowiedzieć jej o wydarzeniach spod Quatre Bras.

- Wiesz, że byliśmy w Brukseli i tam czekaliśmy na Napoleona, mając nadzieję, że wcześniej zdąży dotrzeć Blücher, gdyż najprawdopodobniej dysponowaliśmy zbyt niewielkimi siłami - zaczął. - Jakkolwiek patrzeć, Napoleona nie bez kozery uważano za mistrza strategii. Wellington mógł się pochwalić zwycięstwami, ale nigdy wcześniej nie stawił czoła cesarzowi.

- Czy możemy się umówić, że będę kiwała głową na znak, że już to wiem? - zapytała Dany ostrożnie.

- Tak, możesz kiwać. - Pocałował ją w czubek głowy.

- To dobrze. Gdybyś zechciał mieć również na uwadze, że każde kiwnięcie będzie znaczyło, byś przeszedł do rzeczy.

- Częściej zdarzało mi się wydawać rozkazy, niż je wykonywać, ale postaram się streszczać. Bonaparte był na wolności i w niepokojącym tempie zyskiwał poparcie. Wszystko to działo się zaledwie rok po uroczystościach z okazji zawarcia pokoju, a nasz regent pysznił się niczym paw z powodu zwycięstwa. Pamiętaj, że potem powrócili żołnierze i bynajmniej nie znaleźli się w kraju mlekiem i miodem płynącym. Czekala ich posępna rzeczywistość gwałtownego wzrostu cen i obniżenia wynagrodzeń o połowę. Na dodatek ich wojenne wyczyny szybko poszły w niepamięć. Francuzów należało doszczętnie rozbić w Belgii, a Bonapartego zamknąć w celi, z której już nigdy nie ucieknie. Wellington i nasi sprzymierzeńcy tworzyli znaczną siłę, ale regent obawiał się, że mamy za małe szanse. Dlatego wraz z doradcami postanowił je wyrównać.

- Ten opis był dość zwięzły, dziękuję. Mów dalej.

- Chyba powinienem zwolnić cię z przysięgi milczenia, gdyż i tak nie jesteś w stanie jej dotrzymać. Ale wróćmy do rzeczy. Napoleon miał jedną słabość, a właściwie dwie. Mam na myśli jego żonę, cesarzową Marię Ludwikę, oraz syna, Napoleona II, którego mianował między innymi królem Rzymu. Matka i dziecko uciekli z Francji i znaleźli schronienie w Austrii, gdzie cesarzowa podobno oficjalnie uznała męża za kryminalistę, tym samym wy-

rażając zgodę, by cała Europa ruszyła przeciwko niemu.

Dany pokiwała głową. Znała tę historię i już wcześniej zastanawiała się, jak silny wpływ musieli wywrzeć na cesarzową jej bliscy, skoro ojca swojego dziecka nazwała kryminalistą.

- Napoleon za wszelką cenę chciał odzyskać żonę i dziecko. Regent w porozumieniu z doradcami najwyraźniej postanowił podsunąć mu taką sposobność. Książę musiał być w to zaangażowany, gdyż w przeciwnym razie nie zostałbym okrzyknięty bohaterem, a już na pewno nie otrzymałbym tytułu barona.

- Ta kobieta na polu. Czy to była cesarzowa? - Dany szybko opuściła głowę, robiąc stosownie skruszoną minę. - Wybacz. Mów dalej, ale szybko, błagam.

- Nie mam pojęcia, kim była ta kobieta, gdyż nie przedstawiliśmy się sobie. Umiała jednak kląć jak szewc, zarówno po francusku, jak i po niemiecku, a do tego paskudnie podrapała mnie po policzku. Kiedy odprowadziłem ją w bezpieczne miejsce wśród drzew i jej peleryna opadła, z miejsca zauważyłem podobieństwo nieznamomej do cesarzowej. Jak się zapewne domyślasz, widywałem portrety władczyni. Do tego nosiła klejnoty, które wyglądały jak brylanty, na stanie jej sukni zaś zauważyłem wyhaftowany herb Napoleona.

Cooper odetchnął głęboko.

- W zamian za uwolnienie kobieta zobowiązała się mówić prawdę - ciągnął. - Wtedy się dowiedziałem, że dzieci to miejscowe sieroty, w większości w wieku księcia Rzymu. Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, kto zdecydował, które dziecko najbardziej przypomina chłopca, lecz wszystkie umieszczono w domu, zapewne na czas negocjacji z jednym z marszałków Napoleona. Gdy dało się słyszeć nadciągające wojsko, służba czmychnęła, a kobieta zdecydowała, że w istocie bezpieczniej będzie wziąć nogi za pas, niż utknąć za kamiennym murem. Tak czy owak, *Grande Armée* się poddała, wszyscy marszałkowie zostali ułaskawieni, a Napoleonowi wielkodusznie pozwolono na ostatnie spotkanie z żoną i synem, który oficjalnie otrzymał tytuł następcy tronu Francji. Rzecz jasna, Napoleon nie zbliżył się do nich na tyle, by się zorientować, że to nie jest jego prawdziwa rodzina. Oboje widział z pewnej odległości.

- Bonaparte i jego marszałkowie zgodzili się na takie rozwiązanie? - zdziwiła się Dany. - Przepraszam, że ci przerywam, ale to się wydaje dość wątpliwe.

- Także i w tym wypadku nie poznamy prawdy - odrzekł, gdy zawrócili. - Decydującym czynnikiem mogła być miłość Napoleona do syna, a także pragnienie przekazania dziedzictwa. W głębi serca z pewnością wiedział, że jego czas dobiegł końca. Jednak bez względu na to, co się miało zdarzyć, świat nie mógł się dowiedzieć, że Anglia uczyniła coś tak niegodnego. Pomijając wszystko inne, plan nie musiał wypalić, prawda? Puściłem kobietę, która natychmiast uciekła, a dzieci zabrałem do obozu, żeby ich nie zostawiać samopas. Zapewne spotkała się z mocodawcami i zrelacjonowała im całą historię, a oni z miejsca uświadomili sobie, że ją widziałem, rozmawiałem z nią i z pewnością zwróciłem uwagę na herb wyhaftowany na jej sukni. Bezpośrednio po tym, jak Bonaparte uciekł z pola bitwy, w której niestety nie poległem, zabrano mnie do Anglii na spotkanie z księciem regentem i jego zausznikami. Resztę znasz.

- Dostałeś tytuł i posiadłość - podsumowała Dany. - W zamian za milczenie. A teraz wisi nad tobą niewypowiedziana groźba. Czy mogłeś zrobić coś inaczej?

- Naturalnie, mogłem zginąć z bronią w ręku. W takiej sytuacji jego wysokość książę regent zamówiłby dla mnie pomnik w jakimś odległym zakątku Green Parku czy innego zieleńca, co kosztowałoby go znacznie mniej niż posiadłość. Sądzę, że zważywszy na okoliczności, dokonałem jedyne sensownego wyboru. Nie zamierzałem narażać swojego kraju na kpiny i ostracyzm, nie specjalnie też chciałem czekać, aż przytrafi mi się śmiertelny wypadek. Niechętnie pogodziłem się z rolą sławnego i wielbionego bohatera spod Quatre Bras. W blasku mojej chwały pławił się książę regent, rzecz jasna. Dzięki temu pewnie przez jakieś dwa tygodnie nikt nie obrzucał jego powozu zgniłymi owocami.

Dany uniosła głowę i uśmiechnęła się do Coopera, a on odwzajemnił jej uśmiech.

- I to już cała historia? - zapytała.

- Od początku do końca. To dziwne, ale lepiej mi, kiedy zrzuciłem ten ciężar z serca.

- Cieszę się. Powiesz innym?

- W żadnym razie. Odtąd to tylko nasza tajemnica i nie wolno jej nikomu zdradzić.

- Będę milczeć jak grób - obiecała z zapalem Dany. - Ale nie dlatego, że nie zachowałeś się odważnie i honorowo, tylko dlatego że naprawdę postąpiłeś tak, jak należało. Jesteś mężnym, wspaniałym człowiekiem. Wiesz o tym, prawda? Uratowałeś wiele dzieci i tamtą kobietę. Naraziłeś się, nie oczekując w zamian żadnej nagrody. Jesteś autentycznym bohaterem i zawsze miej to na względzie.

Coop wziął ją pod łokieć, kiedy pokonywała trzy prowadzące do altany schodki. W jej oknach wisiały białe firany, a pod ośmioma ścianami ustawiono miękko obite ławy. Pośrodku podłogi znajdował się duży, biały szeszlony z żółtym kocem na oparciu.

Dany podejrzewała, że Darby osobiście zaprojektował wnętrze oraz wybrał lokalizację altany. Ostrożnie przysiadła na szeszlony, częściowo okrywając kolana kocem. Podskoczyła dwa razy, żeby sprawdzić sprężystość obicia. Mebel okazał się bardzo komfortowy.

Altanka wydawała się idealna dla wszystkich par, którym zależało na dyskrecji, odosobnieniu i komforcie.

- Dany?

Zamrugnęła, podnosząc wzrok na Coopera.

- Tak - powiedziała, ale nie zabrzmiało to jak pytanie, tylko jak przyzwolenie.

Liczyła na to, że Cooper zwróci uwagę na tę subtelną różnicę, którą starała się podkreślić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jęknęła cicho, kiedy się pochylił i pocałował ją w usta. Czowała, że może mu zaufać i jeśli tylko sobie tego zażyczy, on natychmiast przerwie pieśzczoły. Nie przymuszał jej do niczego – to była jej świadoma, dojrzała decyzja.

Cooper popatrzył w oczy Dany i powoli przesunął dłoń po jej idealnym ciele. Zamrugła, czując jego palce na podbrzuszu i nie protestowała, gdy powoli rozpinął jej suknię, a potem własne spodnie.

Końcem języka oblizwała wargi, a Cooper zauważył, że nerwowo przełknęła ślinę. Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy powolnym ruchem wsuwał dłoń między uda Dany i ponownie całował jej rozpalone usta.

Otworzyła się przed nim, gotowa na to, co miało nastąpić. Ofiarowywał jej rozkosz, a ona pragnęła ją przyjąć. Poruszyła biodrami, jakby z obawy, że ją zostawi w takiej chwili.

Zamarła, gdy pozwolił sobie na jeszcze większą intymność, i napięła mięśnie ud.

- Wszystko dobrze, naprawdę – zapewnił ją kojącym szeptem.
- Przeszanę, to może zaczekać.

Pokręciła głową, i to dość gwałtownie. Cooper uśmiechnął się mimowolnie. Dany nigdy nie dawała za wygraną już przy pierwszej przeszkodzie. To nie leżało w jej naturze.

Powoli wsunął nogę między jej uda.

- Nie chcę cię skrzywdzić – wyszeptał. - Ale tym razem to konieczne. Nie da się inaczej.

Objęła go ramionami i uniosła biodra. Nie musiała nic mówić, rozumiał ją bez słów.

- Od tego już nie ma odwrotu – uprzedził ją.

- Wiem... – odparła z westchnieniem. - Tylko zrób to szybko.

Dodatkowa zachęta nie była mu potrzebna. Dany znieruchomiała, gdy naparł mocniej, ale przyjęła go z ufnością i akceptacją.

Pragnął być delikatny, zamierzał łagodnie zaznajomić ją z doznaniem kochanków, aby uwierzyła, że następnym razem czeka ją tylko rozkosz, bez cienia bólu. Nie wziął jednak pod uwagę, że ma do czynienia z naprawdę niezwykłą dziewczyną.

Dany zdołała wysunąć nogi spod sukni i otoczyć go nimi w pasie. Jej odwaga dodała mu skrzydeł. Dany pragnęła stać się kobietą z własnej woli. Nie przymuszał jej do niczego.

Mogła spokojnie odejść natychmiast po rozwiązaniu problemu szantażysty. Cooper również miał prawo ją zostawić. Przecież oboje się zgodzili, że ich zaręczyny są fikcyjne. Mimo to postanowiła ofiarować mu swoje ciało. Nie stawiała żadnych żądań i miała za nic konsekwencje.

Mogło przecież chodzić o coś więcej niż zaufanie, pomyślał i zaczął zastanawiać się, czy może żywić nadzieję.

- Dany... - szepnął i ponownie pocałował ją w usta.

Wbiła paznokcie w skórę na jego plecach, pozostawiając na nich ślady. Unosiła biodra i kołysała się z Coopem w jednym, szybkim, powtarzalnym rytmie. Czuł, jak jej serce tłucze się w piersi, a jej przyspieszony oddech owiewał mu twarz.

Popatrzył jej w oczy i dostrzegł w nich oszołomienie, ale także zachwyty i niecierpliwość.

- Na pewno nie robię ci krzywdy? - upewnił się.

Skrzyżowała w kostkach nogi, którymi dociskała go do siebie. To mu wystarczyło za odpowiedź.

Jego namiętność stała się trudna do wytrzymania, gdy nagle zorientował się, że przez jej ciało przetacza się silny dreszcz. Wiedział, co to oznacza. Już nie musiał dłużej czekać. Ekspłodował, a wypełniając Dany, czuł pieczenie łez pod powiekami.

Gdy leżał na niej przez dłuższą chwilę, oboje próbowali uspokoić oddech i czekali, aż ich serca wyhamują po szaleńczym galopie. Coop opuścił wzrok na twarz Dany i zauważył, że z kącików jej oczu płyną łzy. Mimo to uśmiechnęła się, uniosła rękę i przyłożyła ją do jego policzka.

Przywarł wargami do ciepłego spodu jej dłoni.

- To było... interesujące doświadczenie.

Tylko Dany mogła powiedzieć coś takiego. Od razu wzbudziła wesołość Coopera.

- W istocie - przytaknął.

Przetoczył się na bok i przykrył Dany kocem, po czym pocałował ją w czubek nosa, sięgnął po frak i wyjął z niego chustkę.

- Leż - powiedział.

Wstał, jedną ręką podtrzymując pantalon.

- Mam leżeć? - upewniła się. - Czyżbym awansowała na twojego wiernego psa?

- Właśnie tak - potwierdził z uśmiechem i wyszedł z altany.

Powędrował nad strumień, zanurzył chustkę w wodzie, po czym zmył z siebie smużkę czerwieni. Ubrał się, starannie wypłukał chustkę i powrócił z nią do altany, gdzie ujrzał pogrążoną we śnie Dany.

Uniósł koc i obudził ją pocałunkiem. Gdy otworzyła oczy, wsunął jej w dłoń wilgotną chustkę i wyszedł. Powrócił dopiero wtedy, gdy go zawołała i poprosiła o pomoc przy zapinaniu sukni.

- Na nas pora - oznajmił, patrząc, jak Dany składa koc.

- Tak, wiem - odparła ze smutkiem. - Pora wracać do świata i wszystkich naszych problemów. Jakby dotąd było ich mało, teraz nie będę już mogła spojrzeć w oczy Darby'emu, Harry'emu i kto wie, komu jeszcze.

- Harry od dzieciństwa jest nauczony dyskrecji, a służy mojej matce, odkąd przestał raczkować - powiedział Coop. - Z kolei Darby, jak sam twierdzi, ma wybiórczą pamięć, więc na pewno nie będzie ci dokuczał.

Wspólnie posprząтали po pikniku i złożyli koc, po czym Coop wziął Dany za rękę i udali się z powrotem do powozu.

Harry już na nich czekał, z szerokim uśmiechem i odrobiną wiśniowej marmolady na brodzie.

Gdy oddalili się od posiadłości i powoli zbliżali do Portman Square, Cooper pomyślał, że wcale nie ma ochoty nawet na chwilę zapomnieć o niedawnych rozkoszach. Dany również nie chciała skupiać się na bardziej palących sprawach.

- Czy zdecydowałaś już, w jaki sposób rozprawisz się z tym całym Ferdiem? - zapytała. - Jeśli dobrze zrozumiałam twoje słowa, z pewnością nie znajdziemy już nic przeciwko niemu, ponieważ wie, że został zdemaskowany. Co zatem zamierzasz? Co nam pozostało? Przecież musimy jakoś powstrzymać publikację

książki, która doprowadzi cię do ruiny, i trzeba odzyskać niemądre listy Mari.

- To prawda. Ferdie usiłował skłonić Geoffa do zabicia mnie i wątpię, by dał mi spokój. Wkrótce odkryje, że Geoff umknął ci chaczem ze złamaną ręką. Wtedy przejdzie do kolejnej ofensywy.

Cooper popatrzył na Dany, doskonale świadomy, że czeka ich pierwsza prawdziwa kłótnia, choć niespełna pół godziny wcześniej uprawiali namiętą miłość.

- Na wszelki wypadek odtąd nie będziesz już opuszczała Portman Square - zdecydował.

- Nie ma mowy! - krzyknęła z oburzeniem.

Wiedział, że musi być stanowczy.

- Dany, mam wystarczająco dużo kłopotów. Nie przysparzaj mi kolejnych, dobrze?

Z niezadowoleniem wydeła usta.

- Dany? - ponaglił ją.

- Tak, tak, odpowiem ci, choć niechętnie. Masz rację... - Dramatycznie westchnęła. - Ale oczekuję, że Rigby i Darby będą cię osłaniali. Zadbasz o to, prawda?

- Naturalnie. - Cooper obserwował ją z ukosa. Dany sama zdecydowała, kiedy okazywać posłuszeństwo, o czym zdążył się już przekonać. - Przeniósłbym cię do posiadłości księżnej, ale musisz pozostać przy siostrze. Twoje wsparcie się jej przyda, jeśli Oliver wróci, nim odzyskamy listy.

- To też racja. Czy przynajmniej powiesz mi, co jeszcze planujesz? - poprosiła.

Nie udało mu się ukryć uśmiechu.

- W sprawę zaangażowane są Minerwa, księżna, a także pełna werwy Clarice Goodfellow. Możesz mi wierzyć lub nie, ale to wszystko pomysł Rigby'ego. Musiałem tylko się zgodzić, że nie będę się wtrącał, nawet jeśli coś w tym planie...

Strzał padł z za drzew po lewej stronie drogi. Sekundę później Harry krzyknął przeraźliwie.

Cooper zareagował błyskawicznie, jak na żołnierza przystało. Natychmiast popędził konia, żeby oddalić się od niebezpieczeństwa.

- Harry! - zawołał.

- Jestem, jaśnie panie. Oberwałem w nogę.

- Wytrzymaj! Dany, przejmiesz lejce?

Od razu wyciągnęła ręce.

- Dam radę - odparła. - Coop, trzymaj Harry'ego, bo spadnie!

Cooper nie miał czasu na przejmowanie się jej brakiem doświadczenia, zwłaszcza że droga była prosta i świeciła pustkami. Odwrócił się, chwycił Harry'ego za koszulę i go pociągnął. Chłopak wylądował głową w dół, ale Coop posadził go na ławce i ponownie przejął lejce.

Wszystko to razem trwało zaledwie kilka sekund, które jednak zdawały się dłużyć w nieskończoność.

- Trzymasz się?

- Trzymam - odparła Dany. - Wygląda na to, że wieści o Geofie dotarły do Ferdiego wcześniej, niż zakładałeś.

- Na domiar złego Ferdie wymyślił inny plan, również wcześniej, niż należało się spodziewać. Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Ale Harry krwawi.

- To tylko draśnięcie, jaśnie panienko. - Chłopak uśmiechnął się zawadiacko, leżąc z głową przytuloną do biustu Dany. - Mały drobiażdżek, i tyle.

Objął Dany w talii.

- Zjadę na pobocze, gdy tylko się upewnię, że nikt nas nie śledzi - zapowiedział Cooper.

- To dobra myśl - odparła Dany. - Wydaje mi się, że to tylko draśnięcie. Czy mógłbyś popędzić konie? Może to zabrzmie niemądrze, ale mrówki mi chodzą po plecach.

- Mnie też. - Cooper uśmiechnął się do niej. - Na drodze jest coraz więcej pojazdów, więc i tak będę musiał niedługo zwolnić.

- Skoro tak, to opatrzę biednego Harry'ego w czasie jazdy - zdecydowała.

- Tak, trzeba opatrzyć biednego Harry'ego, jedyne synka swojej mamusi - wymamrotał Harry, jeszcze bardziej tuląc się do Dany.

Coop najchętniej strzeliłby go w ucho, gdyby nie to, że chłopak oberwał kulę, która z całą pewnością nie była przeznaczona dla niego. Ktoś usiłował zabić Coopera, a równie dobrze mógł trafić Dany.

Zwolnili, oddaliwszy się o jakieś dwa kilometry od miejsca zamachu. W tym momencie jechały za nimi dwa powozy, a przed nimi włókł się niemal pusty wóz gospodarski.

- Możesz już usiąść normalnie, Harry, chyba że kręci ci się w głowie i grozi ci omdlenie - powiedział Coop.

- Tak jest, jaśnie panie.

- Harry, zamknij oczy. - Dany pochyliła się, uniosła spódnicę i oderwała pasek materiału z halki. - Już. A teraz owinę ci nogę tym prowizorycznym bandażem.

- Tak jest, jaśnie panienko. - Harry energicznie pokiwał głową.

- Mam ściągnąć pantaloney?

- Nie!

- Coop, doprawdy, po co zaraz te krzyki? - Dany zachichotała.

- Dziękuję, Harry, ale to nie będzie konieczne. Trzeba tylko uciśnąć ci ranę. Tak właśnie postąpił mój tata, kiedy mój brat doszedł do wniosku, że zabawnie będzie sprawdzić, czy zdoła podrzucić swój nowy, świeżo naostrzony nóż, a potem go złapać.

- Ja tam brata nie mam - wyznał Harry. - Taty też nie. Jestem tylko ja i moja biedna mama, a ona to ciągle pracuje w posiadłości barona, taka samotna.

Dany owinęła mu nogę i związała końce materiału.

- Wkrótce się z nią spotkasz - pocieszyła go. - Prawda, Coop? I na pewno dostaniesz zupełnie nową, śliczną liberię. Harry wykazał się ogromną odwagą, sam przyznasz.

- Tylko tyle? - Cooper spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. - Może jeszcze konia na własność?

- Będę miał własnego konia! - Harry uściskał Dany tak mocno, jakby chciał połamać jej żebra. - Dziękuję, jaśnie panienko, stokrotnie dziękuję!

Dany poklepała go po głowie i zrobiła zęza do Coopera.

- Bardzo proszę - powiedziała, wyraźnie zadowolona, że to jej przypadła cała wdzięczność służącego.

Cooper pokręcił głową i skręcił w kierunku Portman Square. W porównaniu z Dany Minerwa prezentowała się jak pospolita amatorka.

Mimo to nie posiadał się z radości.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Wszystko dobrze? - spytała Dany.

Od kilku sekund wyteęzała wzrok, żeby dostrzec cokolwiek w półmroku sypialni siostry. Niestety, niewiele dało się ujrzyć przy starannie zaciągniętych zasłonach.

Zapewne powinna była zadać to pytanie dwóm pokojówkom, które odpoczywały na krzesłach, otoczone stertą ręczników walających się po podłodze. Jedna z kobiet ciągle trzymała w dłoni szczotkę z końskiego włosia. Słyszac Dany, obie podźwignęły się ciężko, pozbierały ręczniki i pospiesznie opuściły pomieszczenie. Dany pomyślała, że zapewne udały się do kuchni, by błagać gospodynię o filiżankę krzepiącej herbaty i maślane ciasteczka.

- Nie, wszystko niedobrze - burknęła ponuro hrabina, nie ruszając się z łóżka. - Jak możesz zadawać mi tak idiotyczne pytania? Głowa mi pęka od nieustannego mycia, twarz mam w płamach i od dłuższego czasu proszę kogo popadnie o przyniesienie mi korniszonów w śmietanie, a nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Gdzieś ty się podziewała?

- Powiedziałaś, że nie obchodzi cię, dokąd pójde - przypomniała siostrze Dany i wskoczyła na łóżko. - Twoje włosy wyglądają nieporównanie lepiej, Mari, a w sypialni znacznie ładniej pachnie.

- Do końca życia nie tknę kurczaka! - zadeklarowała Mari z niezachwianym przekonaniem.

- A tak poza tym dobrze się czujesz? Chodzi mi o dziecko i twoje samopoczucie.

Mari poprawiła różowy szlafroczek z koronkami.

- Ależ z ciebie uparciuch - mruknęła. - Tak, czuję się dobrze. Czy baron odzyskał już moje listy? Czy właśnie z nim się spotkałaś? Z baronem? Dokąd się udaliście?

Dany musiała skłamać.

- Wybraliśmy się na spacer po Bond Street, a potem jeszcze po

Green Parku, gdzie jego lordowska mość wziął mnie za rękę i zaszliśmy się wśród drzew, żeby mógł mnie pocałować, i to dwukrotnie – odparła. – Dasz wiarę?

– Och, to niemożliwe. Baron z pewnością nie naraziłby cię na kompromitację. Tak nie postąpiłby dżentelmen, który ma szczerze plany matrymonialne. Dany, chyba nie przychodzą ci do głowy żadne niemądre pomysły? – przeraziła się nagle Mari. – Naprawdę nie chcę, żebyś cierpiała. Przecież jesteś moją siostrą.

– Skąd, oczywiście, że nie będę cierpiała. W gruncie rzeczy zmyślałam, głuptasie. Jakże ktoś taki jak on miałby mnie pocałować? Po prostu chciałam mieć pewność, że zwracasz uwagę na moje słowa. Często się dekoncentrujesz, prawda? Nie wiem, dlaczego mama uznała, że byłaby z ciebie dobra przyzwoitka.

Ku zdziwieniu Dany Mari wybuchnęła płaczem.

– Bardzo, naprawdę bardzo cię przepraszam – wychlipała, chwytając Dany za rękę. – Okropna ze mnie siostra. Daję ci zły przykład. Robię głupstwa, a teraz na własną prośbę muszę tkwić w tym pokoju tak długo, aż znikną te paskudne plamy. Mały sezon dobiegnie końca, nim się spostrzeżemy. Co mogłabym zrobić, żeby ci to wynagrodzić?

– Hm, naprawdę nie wiem. Mari, zrozum, nie wyobrażam sobie lepszej siostry. Nie posiadam się z zachwyty, że już za kilka miesięcy będę miała siostrzeńca lub siostrzenicę, a pobyt w Londynie jest po prostu rozkoszny. Tyle tylko...

Mari uścisnęła jej dłoń.

– Tak? Tak? Mów, Dany. Na pewno się zgodzę, o ile nie zażadasz czegoś, co uznam za całkowicie niedopuszczalne.

– Oliver wciąż jest w podróży? – zapytała Dany, zsuwając się z łóżka. – Nie zjawi się w przeciągu najbliższej doby?

– Nie, na pewno nie. Obliczyłam to na palcach i wyszło mi, że nie powróci jeszcze przez co najmniej trzy dni. Do tego czasu po prostu muszę się wyleczyć. Pani Timmerly zapewniła mnie, że wyjdę z tego, ale muszę korzystać ze sprawdzonego kremu jej matki, babki i prababki. Ale dlaczego pytasz? Czy to zbyt mało czasu na to, aby baron odzyskał listy? Powiedz mi prawdę, Dany, koniecznie muszę poznać prawdę. Zapewniałaś, że baron wie, kim jest szantażysta.

- To prawda, ale nie chciał mi powiedzieć. Nie umierasz z ciekawości, kto to taki?

- Chyba tak. - Mari wzruszyła ramionami. - Kto wie, czy któregoś dnia go nie spotkam. - Wzdrygnęła się i skrzywiła. - Czy baron nie mógłby go po prostu zastrzelić? Najpierw jednak musiałby odzyskać moje listy, rzecz oczywista.

Dany pomyślała, że tak oto jak zawsze powróciły do ulubionego tematu Mari - do rozmowy o niej samej.

- Poprosiłabyś praktycznie obcego człowieka, aby poświęcił wolność, byle tylko odzyskać twoje niemądre listy? - zapytała.

- Nie uczyniłby tego dla mnie, Dany. - Hrabina opadła na poduszki. - Tylko dla dziecka.

- Ach, tak, naturalnie. Dla dziecka. Ale ze mnie głuptas. Dzieci potrzebują ojców, prawda? I nie muszą znosić podejrzeń, że nie są rzeczywistymi dziedzicami, a także wątpliwości co do osoby ojca.

- Doskonale wiesz, że nigdy w życiu nie uczyniłabym czegoś takiego... - oburzyła się Mari. - Och, Dany, to musi się udać!

- Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości - oświadczyła Dany skwapliwie. - Właśnie dlatego chciałam się upewnić, czy u ciebie wszystko dobrze. Tak się składa, że księżna zaprosiła mnie na kolację, a kto wie, czy nie spędzę u niej nocy. Księżna uważa, że goszcząca u niej panna Clarice Goodfellow z Wirginii szalenie tęskni za domem i skorzystałaby na towarzystwie damy w swoim wieku. Na pewno poradzisz sobie tutaj sama?

- Jestem otoczona ludźmi, Dany - zauważyła Mari roztropnie. - A poza tym jak ktoś bez perspektyw i bez istotnego posagu mógłby odrzucić zaproszenie od księżnej? Nie, w żadnym razie.

Dany już zmierzała ku drzwiom.

- Czy jesteś pewna? - spytała na wszelki wypadek.

W tym samym momencie w drzwiach stanęła pani Timmerly ze srebrną tacą, na której niosła porcelanową miskę wypełnioną po brzegi korniszonami w sosie śmietanowym.

Mari z zapalem usiadła na łóżku i otworzyła usta, rozochociona widokiem smakołyku.

- Co takiego? Ach tak, tak. Jestem pewna. Ale idź już. Mhm... - mruknęła i skupiła całą uwagę na ogórku, który wyciągnęła pal-

cami i uniosła z nabożną czcią. – Delikatesik.

Dany nie czekała, aż ociekający tłustą śmietaną korniszon trafi do ust jej siostry. O ile pamiętała, Mari nigdy nie przepadała za ogórkami, a za konserwowymi w szczególności.

Nie minęła godzina, a umyta, uczesana i sucha Dany stała w holu, czekając na przybycie powozu hrabiego.

– Panienko?

Odwróciła się i ujrzała Timmerly'ego, który z przejętą miną i złożonym listem w dłoni schodził z pierwszego piętra.

– Tak? Czy siostra chce mnie widzieć?

Kamerdynier pokręcił głową.

– Nie, panienko – odparł. – Jest z nią pani Timmerly. Nie wiem, czy ma panienska świadomość, ale służący z wieloletnim stażem, tacy jak ja, mają dostęp do wiadomości, które nie powinny trafiać do osób postronnych. Tak jest teraz w wypadku jaśnie pani i jej bieżącego problemu. Nie to, żebym węszył czy co, ale są chwile, kiedy zachodzi konieczność...

Dany z uwagą obserwowała dłoń kamerdynera i przełamana pieczęć na liście.

– Daj mi to – zażądała.

– Och, dziękuję, panienko. Pismo dotarło dzisiaj rano, ale pani Timmerly powiedziała, że jaśnie pani jest już i tak zbyt przygnębiona...

– „Moja najdroższa żono” – odczytała Dany na głos, unosząc rękę, żeby kamerdynier jej nie przerywał. – „Pozostawiłem z tyłu bagaż i pozostałych, albowiem nie mogłem znieść powolnego tempa podróży. Pragnąłem jak najszybciej znaleźć się w domu i ponownie ujrzeć twą piękną twarz. Spodziewaj się mnie w przeciągu dnia od otrzymania tego listu. Z wyrazami miłości...” Wielkie nieba!

– Tak, tak, panienko – kamerdynier westchnął. – Pani Timmerly robi, co w jej mocy, by poprawić cerę jaśnie pani. Nie można jej wytrącać z równowagi w takiej chwili.

– Masz na myśli plamy na jej twarzy? Ach, Timmerly, gdyby tylko na tym polegał problem. Czy powóz czeka na zewnątrz? Muszę jechać do księżnej, by towarzyszyć jej i innym gościom.

A poza tym pragnęła się dowiedzieć, jakie plany na wieczór ma

Cooper, gdyż z pewnością zamierzał stawić czoło Ferdiemu.

Dziesięć minut później znajdowała się już w prywatnym salonie księżnej Cranbrook.

Księżna była już na miejscu, w towarzystwie matki Coopera oraz Clarice Goodfellow, która siedziała przy biurku i pracowicie pisała coś gęsim piórem. Starsze damy pochylały się nad nią w skupieniu.

Żadna z nich nie usłyszała, jak kamerdyner anonsuje Dany. Zbity z tropu służący popatrzył na nią, wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą podwójne drzwi.

- Nie, Minerwo, to nie tak. „Schadzka” pisze cię przez „c”, jestem tego pewna. Scha-cka.

- Słyszałaś to, Clarice? A nie powinnaś. Kiedy ktoś zaczyna wygadywać takie głupstwa, ty musisz zatykać uszy, żeby jad nie sączył ci się do głowy. Ta kobieta nie ma pojęcia, o czym mówi. „Schadzka” to słowo, które pochodzi od „schodzić”, a nie „schościć”. No już, napisz to, jak należy.

- Dobrze, Minerwo. - Clarice zanurzyła pióro w kałamarzu i ponownie pochyliła się nad kartką. - Ale czy „ukradkowa” pisze się przez „t”? I co to w ogóle znaczy?

Dwie starsze damy wymieniły spojrzenia, a księżna wskazała dłonią przyjaciółkę, tak jakby chciała udzielić jej głosu.

- „Ukradkowa” pisze się przez „d”, a „ukradkowa schadzka” oznacza potajemne spotkanie w celach... miłosnych.

- Ach, to tak jak wtedy, kiedy ktoś po nocy wymyka się z domu, bo chce sobie poużywać za stodołą z synem kucharki, co? Trzeba było od razu mówić, dla jasności.

- I pomyśleć, że mnie ostrzegałaś, bym zważała na dobór słów - powiedziała Minerwa oskarżycielskim tonem.

Księżna poprawiła falbanę u sukni.

- Nigdy nie zakładałam, że to Clarice będzie zakłopotana szczerością twoich wypowiedzi, Minerwo - odparła. - Clarice jest bardzo dojrzała jak na swój wiek, tylko nie chcemy o tym myśleć.

Dany roześmiała się głośno i wszystkie trzy skierowały na nią wzrok. Podeszła pospiesznie i dygnęła najpierw przed księżną,

potem przed matką Coopera, zaś na koniec obdarzyła Clarice szerokim uśmiechem.

- Najmocniej przepraszam, ale mimowolnie... No dobrze, celowo podsłuchiwałam, i stąd moje rozbawienie - wyjaśniła.

Minerwa Townsend popatrzyła na Dany znad imponujących, eleganckich binokli.

- Czy mój syn wie, że tu jesteś? - zapytała.

- Ależ tak. Prawdę powiedziawszy, przysłał mnie tu na pomoc - oświadczyła Dany.

- Wcale nie - oświadczyła Minerwa. - Dany, świetnie kłamiesz, to ci trzeba przyznać. Na szczęście tylko wtedy, gdy nie masz innego wyjścia, jak mniemam. Osobiście postrzegam kłamanie jako przyjemne hobby. Czy wiesz, gdzie jest teraz Coop?

- Sądziłam, że ty mi to powiesz. - Dany usadowiła się na najbliższym krześle. Poczula się tak, jakby ktoś wypompował jej powietrze z płuc. - Naprawdę miałam taką nadzieję. Clarice, a może ty wiesz, dokąd się udał Coop? Rigby nie zataiłby niczego przed tobą, nawet gdyby bardzo się starał. Więc jak? Ktoś przecież musi wiedzieć po tym, co się stało.

Minerwa, księżna i Clarice podeszły bliżej.

- Ale co się stało? - zapytała Minerwa. - Nie widziałam Coopera, odkąd wyszedł z Pulteney, i to bez śniadania. Dalej, dziewczyno, mówże wreszcie. To ważna sprawa.

Dany postanowiła wyznać prawdę. Nawet znacznie silniejszy człowiek uległby pod wpływem surowego spojrzenia Minerwy.

Opowiedziała o Nedzie Givensie i o tym, jak Darby odwiedził Geoffa Quintona. Wyjawiała, że ktoś strzelał do Coopera, nie wspomniała jednak o jego sekrecie i przemilczała problem swojej siostry.

Z całą pewnością nie zamierzała też mówić o... o tym, o czym nie mogła powiedzieć.

- Ktoś strzelał do mojego syna? Do Coopera? - Minerwa hałaśliwie usiadła na krześle. - Viv, potrzebuję czegoś na pokrzepienie. Natychmiast!

- Każę przynieść octu - odezwała się Clarice, zanim księżna zdołała zebrać myśli. - Albo nakadzić palonymi piórami.

- To niekonieczne - powstrzymała ją Vivien i otworzyła drzwi

połączanej szafki z lustrami, z której wyjęła karafkę oraz dwa kieliszki. – Kapkę dzinu, Minerwo? O ile pamiętam, kiedyś za nim przepadałaś.

Minerwa pokiwała zwieszoną głową i uniosła dłoń, którą rozchyłała i zaciskała tak długo, aż trafił do niej kieliszek. Wychyliła zawartość jednym haustem i ponownie go uniosła.

– Pierwszy łyk na wzmocnienie, drugi na myślenie – obwieściła, wymownie poruszając kieliszkiem.

Stosownie podniesiona na duchu, już po chwili oparła łokcie na kolanach.

– Jak mniemam, strzał padł z tyłu. – Minerwa bawiła się pustym kieliszkiem. – Tak to jest z tchórzami. Atakują z ukrycia i od tyłu. Kto chciał zamordować mojego syna?

Dany patrzyła na nią ze zdumieniem.

– Tego też nie wiesz? – spytała ostrożnie. – Nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć? – Minerwa groźnie zmrużyła oczy.

Clarice położyła dłonie na oparciu krzesła Dany.

– Lepiej uważaj – powiedziała życzliwie. – Jak żyję, nie znałam takiej kobiety, co to umiałaby zadawać jedno pytanie na tyle sposobów, że człowiek w końcu ustępuje i mówi to, czego nie chciał powiedzieć.

– Nie wiem, więc wszystko jedno, na ile sposobów Minerwa zada pytanie – zauważyła Dany najbardziej przekonująco, jak umiała. – Gdziekolwiek jest Cooper, z całą pewnością panuje nad sytuacją. Jak wszystkie doskonale pamiętamy, jest bohaterem spod Quatre Bras i nie zna strachu, w żadnych okolicznościach.

Pospiesznie zrelacjonowała im przebieg ostatnich wydarzeń. O dziwo, jej słowa sprawiły, że Minerwa wyciągnęła z kieszeni dużą chustkę i otarła kąciki oczu.

– Właśnie tego najbardziej się obawiam, moja droga... – urwała i ciężko westchnęła. – Znam swojego syna i wiem, że jeśli się bał, to tylko o ciebie, gdyż byłaś przy nim, kiedy ktoś strzelał. Jestem przekonana, że teraz jest wściekły, choć na ogół to całkiem spokojny człowiek. Teraz jest jak zbudzony z błogiego snu niedźwiedź, którego szturchnięto kijem. Doprawdy, nie sposób przewidzieć, jak to wszystko się skończy.

– Minerwo, pamiętaj, że jest z nim mój Jerry – pocieszyła ją

Clarice. – A gdzie oni, tam i Darby. My musimy być silne i robić to, co do nas należy. Dobrze mówię, jasnie pani?

– Tak, moja droga, masz słuszość, niestety – przyznała księżna i uraczyła się dżinem. – Minerwo, pora wracać do pracy. Prawie skończyliśmy, ale trzeba będzie dostarczyć całość na Paternoster Row jeszcze dziś wieczorem, żeby jutro wyszła drukiem.

– Piszecie książkę? – spytała Dany i popatrzyła na Clarice, która ponownie usiadła przy biurku, chcąc kontynuować pracę. – O bohaterze spod Quatre Bras? Naprawdę?

– W rzeczy samej, piszemy. Piekielnie długo zastanawialiśmy się nad nowym tytułem. Viv, zechciej przeczytać nasz tytuł.

– Z przyjemnością. – Księżna sięgnęła po wysadzane brylantami binokle, ostrożnie je włożyła i zabrała się do wertowania małej sterty kartek. Dopiero po chwili znalazła tę właściwą. – Mam – oznajmiła i odkaszlnęła. – *Kronika bohatera. Tom trzeci i ostatni, w którym heros spod Quatre Bras na próbę wystawiony zostaje i kuszony do granic swej wytrzymałości, lecz śmiało postanawia o przyszłości własnej tudzież o należnym mu miejscu w społeczeństwie.*

Popatrzyła na Dany, która usiłowała zebrać myśli, by wygłosić komplement, ale nie znajdując odpowiednich słów, tylko zakłaskała cicho w dłonie.

Księżna zdjęła okulary.

– Tak, zgadzam się, że zapewne trzeba będzie nad tym popracować – powiedziała. – Po prostu musiałyśmy coś zrobić.

– Mój Jerry to wymyślił – oświadczyła Clarice z dumą i ponownie sięgnęła po pióro. – Razem żeśmy się wczoraj wybrali na spacer po drukarniach, proponując zacytować kwotę temu właścicielowi, który zechce sprzedać nam wydruk portretu przystojnego bohatera spod Quatre Bras, tego z okładki drugiego tomu. Portret miał być niby dla mnie, rozumiesz, bo jakbym go nie miała, to chyba bym zwyczajnie umarła.

– I udało się? – Dany nie posiadała się ze zdumienia. – Znaleźliście drukarnię, w której powielane są książeczki o bohaterze?

– A i owszem, i to już przy drugiej próbie. Tak się składa, że umiem bardzo przekonująco płakać. – Uśmiechnęła się szeroko i wymownie poklepała się po obfitym i wyeksponowanym biuście.

- Nie ma to jak młoda, jurna parka, żeby przekonać mężczyznę do zrobienia czegoś, co wcześniej nawet przez myśl by mu nie przeszło. Cooper sam powinien był o tym pomyśleć - zauważyła Minerwa, która najwyraźniej doszła do siebie. - Nie o metodzie, rzecz jasna. W jego wypadku to by się nie sprawdziło. Chodzi mi o wytropienie drukarza. Trudno uwierzyć, że akurat Rigby wpadł na tak dobry pomysł. Drukarz z dumą przyznał, że dostał zlecenia wydrukowania dwóch poprzednich tomów i że aktualnie szykuje prasy do powielenia tomu trzeciego.

- Udało się wam powstrzymać druk trzeciego tomu? - Dany z wrażenia przyłożyła dłoń do ust.

- A tak - potwierdziła Clarice. - Jak powiedziałam, Rigby zabrał nabitą kabzę, że tak powiem. A do tego obiecaliśmy drukarzowi, że damy mu do wydrukowania coś innego, znaczy się inny tom trzeci, którym zastąpi ten, co to go właśnie szykował do druku. Chciałabyś zobaczyć? Większość zachowujemy bez zmian, ale zakończenie wywracamy do góry nogami, bo ani trochę nie było miłe dla bohatera.

- Coop miał rację - wtrąciła się Minerwa. - W końcu trzeciego tomu miał się okazać uwodzicielem, a do tego w tekście pojawiły się sugestie, że postępuje wbrew interesom państwa. Nie zagłębiałam się w szczegóły, gdyż i tak były to same bzdury. Zauważyłam jednak żądanie, by pozbawić Coopera ziemi, tytułu i należnego szacunku.

Księżna nalała sobie kolejny kieliszek dzinu. Na jej policzkach wykwitły rumieńce i uśmiechała się do siebie.

- Czytelnicy żądają zakończenia historii o bohaterze, więc spełnimy ich oczekiwania. W ten sposób utniemy spekulacje. Biedny Coop nie musi dłużej cierpieć. Minerwo, właśnie wpadł mi do głowy pyszny pomysł. Zamiast pisać o ukradkowej schadzce, której idea nie jest szczególnie oryginalna, mogłybyśmy nawiązać tematycznie do mojej przygody z Basilem. Otóż któregoś dnia, przechytrzywszy strażników, dyskretnie wdrapaliśmy się na dzwonnice katedry Świętego Pawła. Nie było czasu do stracenia z tym, co zamierzaliśmy, a to ze względu na dzwony, rozumiesz. Od ich bicia niechybnie odpadłyby nam głowy. Więc zrobiliśmy, co następuje... - Vivien umilkła i po chwili dodała: - Dziewczęta, mu-

sicie wyjść. Ja i Minerwa dokończymy rozmowę na osobności.

- Ale przecież i tak wszystko przeczytamy w książce, jak już wyjdzie drukiem - zauważyła przytomnie Clarice.

- Posłuchaj, drogie dziecko. - Księżna pokręciła głową. - To, co powiem Minerwie, nie zostanie nigdzie opublikowane. Ta historia może rozpałać wyobraźnię, niemniej w naszym trzecim tomie pojawia się jeszcze jedno niemądre dziewczę, uratowane przez bohatera, który potem powraca do swojej posiadłości i tam dożywa kresu swych dni. Minerwo, przypomnij mi, czym dokładnie ma się zajmować do grobowej deski?

- Ma uprawiać nową odmianę rzepy, aby wykarmić szerokie rzesze pospólstwa - powiedziała pani Townsend. - Chyba i nad tym musimy popracować, prawda? Mniejsza z tym, coś wymyślimy. Byle tylko Londyn wiedział, że tom trzeci jest już bezapelacyjnie ostatni.

Księżna kilka razy klasnęła pulchnymi dłońmi, wkładając w tę czynność zdecydowanie więcej entuzjazmu niż wcześniej Dany.

- Rzepa zostaje! - oświadczyła dobitnie. - Najpierw podsycimy ciekawość czytelników, a potem zanudzimy ich na śmierć. To idealne rozwiązanie. Ludzie wkrótce wynajdą sobie inne bzdury, którymi się będą emocjonować. Ależ my jesteśmy błyskotliwe! Sio, dziewczęta, zmykajcie. Ja i Minerwa będziemy teraz tworzyły.

Dany skwapliwie skorzystała z okazji i niemal wyciągnęła opierając się Clarice za drzwi.

- Gdzie możemy liczyć na odrobinę prywatności? - zapytała.

- Najlepiej iść na spacer po placu.

- Nie, to niedobry pomysł. - Dany pokręciła głową. - Cooperowi by się nie spodobał.

- A spodobałoby mu się, że tu jesteś? - Clarice zrobiła perskie oko i uśmiechnęła się wymownie.

- Zapewne nie miałyby nic przeciwko temu, ale musiałyby się nad tym zastanowić. Nie spodobałoby mu się, gdybym zachowała się głupio i naraziła na niebezpieczeństwo.

- Spacer po placu jest niebezpieczny?

- Na litość boską, zapomniałaś, że dzisiaj ktoś do nas strzelał? - zirytowała się Dany. - To nie przelewki, Clarice. Kura nie po-

winna kłaść głowy na pieńku, kiedy gospodarz ostrzy siekiere, hm?

Dany przyłożyła dłoń do gardła.

- Tak, to chyba trafne porównanie. A teraz powiedz mi, gdzie oni są. Koniecznie muszę mu coś powiedzieć. Dokąd poszli?

- Nie wiem.

- Nie wiesz czy nie wolno ci mówić?

- Nie wiem, Dany. Przykro mi, naprawdę. Po prostu nie wiem.

Clarice wyciągnęła ręce i obie się przytuliły. Dany wiedziała, że już dłużej nie wytrzyma, i zalała się łzami, przytłoczona strachem, który od dawna narastał w jej sercu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przyjaciele siedzieli przy stole w zajmowanym przez Coopera apartamencie hotelu Pulteney i wsłuchiwali się w trzaskanie ognia na kominku. Tkwili tak już od godziny, gdy zegar wybił szóstą.

- Darby, pamiętasz, żeby Coop był kiedykolwiek taki cichy? - odezwał się Rigby. - Tak w ogóle to trudno go uznać za gadułę, a teraz to już przechodzi ludzkie pojęcie. Jak można tak tkwić ze wzrokiem utkwionym w drinku. To denerwujące, przyznasz.

- Wiesz, Rigby, a ja się zastanawiam, jak wyglądałbyś ze swoim fulem wepchniętym w gardło - oznajmił Darby bez złości w głosie. - Daj mu spokój. Niewiele brakowało, a dostałby dzisiaj kulkę.

- Nie w tym rzecz. - Coop otrząsnął się z rozmyślań. - Strzelano do mnie już wielokrotnie, więc przywykłem. Chodzi o to, że była ze mną Dany. Rozumiecie, co to oznacza?

- Raczej nie. - Darby popatrzył na Rigby'ego, który tylko wzruszył ramionami. - Ale chętnie posłuchamy.

- Mogła zginąć, barany. Tylko dlatego że była ze mną. Naraziłem ją na niebezpieczeństwo, gdyż nie doceniłem Ferdiego i jego umiejętności improwizacji po tym, jak się dowiedział o złamanej ręce Geoffa.

- My również nie doceniliśmy Ferdiego.

- To nie wszystko, nadal nie wszystko. Jest jeszcze coś. - Cooper popatrzył na przyjaciół, duszkiem wypił wino, a kieliszek cisnął z rozmachem do kominka.

- Marnotrawstwo - ocenił Rigby. - Dopiszą ci to do rachunku.

- Jeremiasz Rigby jak zwykle myśli praktycznie - powiedział Darby i zachichotał.

Ponownie pograżyli się w rozmyślaniach.

Rigby położył dłonie na stole, złożył na nich głowę i dwie minuty później zachrapał. Darby wyciągnął z kieszeni tomik poezji

i powoli wertował stroniczki.

Zegar wybił ósmą.

- Powiem wam co - odezwał się nagle Cooper.

Darby natychmiast zamknął książeczkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni kamizelki, a następnie trącił Rigby'ego czubkiem buta z cholewą.

- Już czas - mruknął.

- Co? Jak? Coś przegapiłem?

- Nie, nic. Wyrocznia zaraz przemówi.

- Nie mam pojęcia, jak ze mną wytrzymujecie - wyznał Coop.

- To dlatego że cię lubimy, a poza tym twój zdrowy rozsądek trzyma nas w ryzach. A teraz przestań się wreszcie ociążać i mów, co ci leży na wątrobie - pospieszył go Darby.

- Dzisiaj dowiedziałem się czegoś o sobie. Kiedy ktoś do mnie strzelił, w ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że gdybym zginął, żałowałbym tylko pozostawienia Dany. A gdyby ona dzisiaj umarła, nie miałbym powodu, by dłużej żyć.

- Rozumiem cię. - Rigby położył dłoń na przedramieniu Coopera.

- Niestety, ja również - zawtórował Darby i ciężko westchnął.

- To wszystko moja wina. Sam wymyśliłem te zaręczyny na niby. Jak teraz przekonasz pannę Foster, że naprawdę ją kochasz? Zamierzasz powstrzymać Ferdiego, podobnie jak my, to oczywiste. Ale masz także osobisty problem. Naturalnie wiemy, że kochasz Dany, ale dla niej to nie musi być takie jasne. Przykro mi.

- A moim zdaniem prawda sama się wybroni - obwieścił Rigby.

- Cooperze, powiedz Dany, że ją kochasz, i tyle. A może wolisz, żebym cię wyręczył?

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Coop i Darby.

- To nadal jeszcze nie wszystko. - Cooper splótł palce i zaciśnął je tak, że zbieleły. - Chciałem tylko odwieźć Dany i Harry'ego do jej siostry, a potem pojechać i zrobić definitywny porządek z Ferdiem, najlepiej skręcając mu kark. Patrzyłem na świat przez czerwoną mgłę wściekłości i z trudem zmusiłem się, by tu powrócić i na was zaczekać. Dobrze, że ze mną porozmawialiście. Dzięki wam wiem, że nie powinienem przekreślać marzeń i porzucać nadziei na szczęście. Usunięcie tego drania z po-

wierzchni ziemi nie jest warte takiej ceny.

- Widzisz? Nadal trzeźwo rozumuje - zauważył Rigby z zadowoleniem. - Dobrze zrobiłeś, Coop, jak zawsze. Więc co teraz?

Coop sięgnął po butelkę wina, wypił spory łyk i uśmiechnął się pogodnie.

- Liczyłem na to, Rigby, że będziesz znał odpowiedź na to pytanie - wyznał. - Jak na razie twoje pomysły były błyskotliwe.

- Co prawda, to prawda - przyznał Rigby, rumieniąc się z zakłopotaniem. - Ale tak szczerze to Clary pierwsza powiedziała, że byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy mogli napisać trzeci tom. Gdy zauważyłem, że potrzebowalibyśmy drukarza, ona pacnęła mnie w rękę i powiedziała: „W takim razie, Jerry, trzeba jakiegoś znaleźć”.

- Żenisz się z lepszą od siebie, stary druhu - zauważył Darby żartobliwie. - A nie napomknęła przypadkiem, jak mamy pomóc Cooperowi?

- Niestety nie. - Rigby wsunął brodę za fular. - Zapytałem, ale odrzekła, że jak na jeden dzień była już wystarczająco błyskotliwa, a do tego strasznie cisną ją buty, więc mam ją odstawić z powrotem do księżnej. Może jutro zapytam ponownie?

- Tak czy owak, tej nocy i tak już niewiele wymyślimy - oznajmił Coop. - Chyba że waszym zdaniem powinniśmy wdrapać się po rynnę i włamać do domu Ferdiego. Pamiętajcie, że pozostaje jeszcze kwestia odzyskania listów hrabiny. Wątpię, by Ferdie zechciał oddać je po dobroci.

- Obawiam się, że nie jestem stosownie ubrany. - Darby zademontrował starannie skrojony wieczorowy frak. - Wahałem się, czy o tym wspomnieć, ale chyba obaj zapomnieliście o dzisiejszym balu u lady Huddleston. Jako że jego lordowska mość ma zwyczaj grywać o nader wysokie stawki, aby dżentelmeni dobrze się bawili, na miejscu będą niemal wszyscy, zarówno hazardziści, jak i widzowie.

- A wśród nich i Ferdie - dodał Coop.

Przez cały czas myślał intensywnie. Na szczęście już się uspokoił i nie musiał bać się o Dany. Darby i Rigby cierpliwie czekali, aż Cooper dojdzie do siebie. Nie mógłby marzyć o lepszych przyjaciółach.

- Innymi słowy, nie ma go w domu, więc włamanie wydaje się całkiem realnym rozwiązaniem. Rigby, co byś powiedział na małą przygodę?

- Nie ma jeszcze dziewiętej, a mówiłem, że przed dziesiątą nie wymyślisz planu. Gratuluję, Rigby, jestem ci winien dziesięć funtów. - Darby szybko wstał. - Skoro tylko ja jestem stosownie ubrany, wybiorę się do lady Huddleston, żeby mieć oko na Ferdiego. Co wy na to? Wystarczą wam dwie godziny na zlokalizowanie i odzyskanie korespondencji hrabiny? Jeśli Ferdie mnie zaskoczy i opuści bal wcześniej, będę zmuszony zrzucić go ze schodów lub coś w tym stylu. Inna rzecz, że raczej nie umrę z rozpaczy, jeśli coś mu się przytrafi z powodu mojej niezdarności.

- Zgoda. - Cooper wyciągnął rękę, a jego przyjaciele położyli na niej dłonie.

Nie spodziewali się, że na wierzchu pojawi się czwarta.

- Znowu razem, przyjaciele - oświadczył Gabe Sinclair.

- Gabe! Jak, u licha...

- Jak się tu dostałem? Bez większego trudu, moi drodzy. Chyba zapomnieliście, że przed waszymi drzwiami czuwa starszy sierżant Ames. Sami postawiliście go na warcie. Jak mniemam, obmyśliliście już plan.

- Owszem, ale najpierw powiedz nam, skąd wiedziałeś, że tu będziemy - zażądał Coop.

- Stryj Basil mnie zawezwał, twierdząc, że przegapiam niezłą uciechę. Thea jest z damami, a Minerwa skierowała mnie tutaj. Spotkałem się z twoją panną Foster, Coop, i otrzymałem ściśle wytyczne. Mam cię strzec, i to z wielką pieczołowitością, listy zaś trzeba odzyskać do jutrzejszego poranka. Nie wiem, o jakich listach mowa, ale podobno jesteś wtajemniczony.

Cooper pomyślał, że Oliver z pewnością przyspieszył powrót.

- Owszem. Dziękuję ci. Teraz przynajmniej wiem, gdzie jest Dany.

- Nie masz powodu mi dziękować. Panna Foster kazała mi obiecać, że przekażę ci wiadomość i nie zamierzała mnie puścić, dopóki tego nie zrobię. Nie jest to nieśmiała osobka, sam przyznasz. Od razu ją polubiłem. A, Rigby. Clarice powiedziała, że masz natychmiast biec do dam, gdyż musisz dostarczyć dzieło na

Paternoster Row. Nie zadawałem pytań, dowiedziawszy się, że ktoś dzisiaj strzelał do Coopera. Skoro już wykonałem swoją misję posłańca, może powiecie mi, co zrobimy z tym ohydny padalcem?

Coop zerknął na zegar.

- Powiem ci w drodze - zdecydował. - Panowie?

Rigby niezwłocznie ruszył na spotkanie z damami, Darby udał się na bal, a Cooper i Gabe pojechali dorożką do rezydencji Ferdiego. Wyszli w odległości jednej przecznicy od posiadłości Lanisfordów i dalszą drogę pokonali pieszo, postanowiwszy przejść od strony stajni.

W pewnej chwili Cooper przystanął.

- Nie - oznajmił. - Wejdziemy od frontu. Ani ja, ani przyszedł księżę Cranbrook nie będzie włamywaczem.

- Mam nadzieję, że jeszcze długo nie zostanę księciem, no chyba że przekleństwo Cranbrooków rzeczywiście istnieje - zauważył Gabe. - Czy na pewno wiesz, co robisz?

- Zawsze jestem odpowiedzialny za strategię i dobrze na tym wychodzę.

- Robi się coraz ciekawiej. - Gabe uniósł kapelusz i przyczesał jasne włosy. - Czy prezentuję się na tyle dobrze, by majordomus markiza wpuścił mnie do domu?

- Trzymaj się w cieniu, to wystarczy - odparł Cooper z uśmiechem.

Wdrapał się po marmurowych schodach i szybko zapukał trzy razy ciężką, mosiężną kołatką.

Drzwi otworzył lokaj w liberii, a na progu stanął wyniosły majordomus.

- Z drogi, sprawa królewskiej wagi - obwieścił Coop i nie czekając na odpowiedź, ruszył do holu o posadzce w czarno-białą szachownicę.

Majordomus natychmiast zablokował wejście, ale w tym momencie interweniował Gabe.

- Ejże, człowieku, co sobie wyobrażasz? - warknął groźnie do sługi. - Wiesz, kogo masz przed sobą? To jego lordowska mość Cooper Townsend, bohater spod Quatre Bras. A ja jestem Gabriel Sinclair, dziedzic księcia Cranbrook, co w tej chwili i tak nie

ma większego znaczenia. Przybywam tu wyłącznie na prośbę lorda Townsenda. A teraz na bok!

- Najmocniej przepraszam jaśnie panów - wymamrotał majordomus, wyraźnie oszołomiony.

Coop przez moment delektował się swoją uprzywilejowaną pozycją bohatera wojennego.

- Dobrze, już dobrze, tylko usuń się wreszcie, dobry człowieku - zażądał. - Jako się rzekło, przybywam w sprawie wagi królewskiej. Prowadź mnie do osobistego gabinetu swojego pracodawcy. No już, człowieku, nie ociągaj się.

- Ale... Żeby zaraz do gabinetu jego lordowskiej mości? Czy mogę się ośmielić i spytać, w jakim celu, jaśnie panie?

- Tak, możesz. Gabe, zechciej wezwać strażników, którzy czekają na ulicy. Niech odprowadzą tego dociekliwego jegomościa do... Zresztą, lepiej przemilczmy, do kogo on trafi. Pewnych nazwisk nie należy wypowiadać bez powodu.

- Naturalnie. - Gabe odwrócił się do drzwi.

- Nie! Proszę zaczekać! - krzyknął majordomus błagalnym tonem. - Wiem, że jaśnie pan służy koronie. Najmocniej przepraszam. Czy George może zabrać panów kapelusze i rękawiczki? - Skinął na lokaja.

- Naturalnie.

Majordomus poprowadził ich szerokim korytarzem na tyły posiadłości i wprowadził do gabinetu.

- Czy mogę jeszcze służyć pomocą? - zapytał, stojąc na progu.

- Nie możesz. - Cooper zamknął mu drzwi przed nosem i uśmiechnął się łobuzersko, jak uczeń, który właśnie podwędził ojcu fajkę i tytoń.

Gabe od razu zabrał się do przetrząsania półek i ustawionych na nich ozdobnych szkatulek.

- Podejrzewałeś, że tak łatwo nam pójdzie? - spytał

- Skąd. Ale nie traciłem nadziei. Sprawdzę biurko. - Pochylił się i zajrzał do kilku szuflad, aż wreszcie przykucnął, gdy natrafił na jedną, która była zamknięta na klucz. - Gabe, masz nóż?

- Pomyliłeś mnie z Darbym. Masz tutaj nożyk do listów, może wystarczy.

- Nie ma potrzeby, panowie.

Cooper i Gabe znieruchomieli ze wzrokiem wbitym w niezbyt wysokiego, niezbyt brzydkiego, ale i niezbyt przystojnego mężczyznę, którego twarz była tak niecharakterystyczna, że nie sposób byłoby jej opisać, a co dopiero ją zapamiętać. Nieznajomy wszedł do gabinetu przez szklane drzwi, prowadzące na balkon.

- To pan - warknął Coop i nieco nerwowo sprawdził, czy intruz nie trzyma w rękach broni. - To pana widziałem u jubilera.

- Ponad wszelką wątpliwość. - Jegomość się uklonił. - Pozwolę sobie przedstawić się panom. Nazywam się William Bruxton i jestem bratem panny Sally Bruxton, która wkrótce wyjdzie za markiza, o ile go wcześniej nie zamorduję. Z kim mam przyjemność?

- Jesteśmy tu w sprawach wagi królewskiej. - Gabe dyskretnie sięgnął po smukłą figurkę z brązu i schował ją za plecami.

- Wcale nie - zaprzeczył Bruxton z uśmiechem. - Szukają panowie manuskryptu autorstwa Ferdiego. Za późno. Dzisiaj rano kazał mi zanieść tekst do drukarni.

- Podobnie jak wcześniej kazał panu zanieść granaty do jubile-ra.

- Właśnie tak. Tamtego dnia pana rozpoznałem i dlatego ukryłem twarz, przechodząc pospiesznie obok. Inna sprawa, że nikt nigdy nie pamięta mojego oblicza. To zarazem przekleństwo i błogosławieństwo.

Coop wstał. Czuł się w ten sposób znacznie bardziej komfortowo.

- A zatem trzyma pan stronę swojego przyszłego szwagra - zauważył.

- Bynajmniej. Ja i moja siostra jesteśmy całkowicie podporządkowani mojemu szwagrowi za sprawą naszego ojca, nałogowego hazardzisty. Na pewno nie trzymamy strony tego człowieka.

- Co do jubilera... To nie była pańska pierwsza wizyta tego typu, prawda?

- Prawda. Wcześniej bywałem tam z biżuterią rodu Lanisfordów, żeby wymieniać co większe klejnoty na szkiełka.

- Dlaczego Ferdie to robił? - Gabe nieco się odprężył, odstawił posążek i oparł się o krawędź biurka. - Przecież to istny krezus.

- Zmarły markiz zapisał w testamencie kilka drobniejszych precjozów siostrze i siostrzenicom swojej nieżyjącej żony. Fer-

die doszedł do wniosku, że nigdzie w testamencie nie jest zaznaczone, że biżuteria ma zostać przekazana w pierwotnej formie.

- To by idealnie pasowało do Ferdiego - zgodził się Cooper. - A z jakiego powodu nadal pan z nim współpracuje? Czy to pan strzelał dzisiaj do mnie zza drzew?

- Zapewne uda się panom powstrzymać publikację, jeśli wyjawię adres drukarza - zauważył Bruxton, w dużej mierze rozwiewając wątpliwości Coopera.

- Ta informacja pana nie uratuje. Już przejęliśmy książkę. Postrzelił pan mojego sługę, mógł pan zabić moją narzeczoną.

- Przede wszystkim mogłem bez trudu trafić pana w tył głowy - oświadczył wyraźnie dumny Bruxton. - W ostatniej chwili odzyskałem rozum i skierowałem kulę nisko. Musiałem w coś trafić, inaczej nie dostrzegłby pan niebezpieczeństwa. Przepraszam pańskiego sługę. Na szczęście kula tylko go drasnęła.

- To draśnięcie kosztowało mnie konia. A dlaczegoż to odzyskał pan rozum?

Bruxton wskazał na barek.

- Czy mogę? - Podszedł, nalał sobie dzinu, wypił drinka duszkiem i nalał sobie następnego. - Czy wie pan, jak to jest żyć w biedzie po wielu latach życia w bogactwie? Tak czy inaczej, kiedy Lanisford uznał, że Sally mu się podoba, nawet bez posagu, i kiedy spłacił karciane długi taty, przez pewien czas łatwo mi było nie zauważać tego, co się naprawdę działo z moją siostrą.

- Swego czasu smałeś cholewki do Sally, prawda, Coop? - spytał Gabe. - Ładna dziewczyna, zawsze uśmiechnięta. Co się potem zdarzyło?

- W środku sezonu musiała opuścić miasto - odparł Cooper. - O ile pamiętam, jej matka zachorowała.

- Nasza matka była zdrowa jak ryba. Chodziło o finanse. Otarliśmy się o bankructwo. Zapewne nie widzieli panowie Sally po tym, jak się zaręczyła, więc śpieszę zapewnić, że uśmiech rzadko kiedy gości teraz na jej ustach. Chyba właśnie jej uśmiechu brakuje mi najbardziej. Powiedziałem to jej dzisiaj. Małżeństwo, tytuł, bogactwo... Wszystko to nie jest warte życia z Ferdiem i jego dziwacznymi skłonnościami. Właśnie dlatego jestem tu teraz. Zamierzam zabrać należną mi odprawę i zrezygnować ze służby

dla niego. Prawdę powiedziawszy, właśnie pan stoi na mojej odprawie. Razem z Sally odpływam rano statkiem do Bostonu, do domu ciotki. Jak panowie widzą, mówię szczerze. A czego panowie tutaj szukają, jeśli nie książki?

Coop popatrzył pod nogi, odsunął krzesło i podniósł mały dywan. W zagłębieniu w podłodze ujrzał gruby, żelazny pierścień, przymocowany do kłapy w równo przyciętych deskach.

- Sekretne wyjście? Dokąd prowadzi?

- Donikąd. To tylko schowek. Czy zechciałby pan unieść klapę i podać mi czarną, metalową kasetkę? Nie mam czasu do stracenia.

Cooper zajrzał do kasetki i przekazał ją Bruxtonowi.

- To powinno wystarczyć do czasu podjęcia przez pana pracy - ocenił. - Na oko sądząc, jest tutaj z dziesięć tysięcy funtów.

- Około dwunastu tysięcy - sprecyzował Bruxton. - Niedawno je liczyłem. Moja ciotka już znalazła dla mnie pracę na uczelni Harvarda. Może pan o niej słyszał? Będę tam uczył literatury klasycznej. A teraz zmykam. Mam nadzieję, że znajdą panowie to, czego szukają.

- Chyba już to znaleźliśmy. I niech pan podziękuje siostrze, bo tylko dzięki niej nie wychodzi pan z tego pokoju z podbitymi oczami. Gabe? - Coop uniósł gruby na trzy centymetry plik listów, przewiązanych czarną wstążką. - Mógłbym zakrzyknąć „heureka!”

- Wzorem Archimedesza - powiedział Bruxton przez ramię i odszedł.

- Jest tam coś jeszcze w tej szufladzie? - Gabe podszedł do Coopa.

- Owszem, ale mamy już to, po co przyszliśmy, podobnie jak Bruxton. Nie wiem, czy mam prawo szperać dalej.

- Doprawdy? Drogi, uczciwy przyjacielu, właśnie dlatego potrzebujesz nas, swoich wiernych druhów. Odsuń się, sam poszperam.

- Zgoda, byle szybko. Czuję, że majordomus już wysłał list do pracodawcy, uprzedzając go o naszej obecności.

- Racja. Wobec tego po prostu zabiorę te papiery, przejrzymy je później.

Coop rozejrzał się po gabinecie, chwycił jeden z wielu obscenicznie wyglądających posążków i otworzył drzwi na korytarz.

Majordomus natychmiast podbiegł, wykręcając ręce z zakłopotaniem.

- Ależ, jasnie panie! To jedno z ulubionych dzieł sztuki jego lordowskiej mości.

- Ani trochę w to nie wątpię, dobry człowieku. - Coop minął go jakby nigdy nic. - Niestety, jest to własność króla, która do niedawna znajdowała się w Tower. Przekaż swojemu panu, że jutro o dziesiątej zjawi się tu mój współpracownik, który zechce zadać kilka pytań w związku z tym posążkiem. A teraz dobranoc. George, zechciej podać nam kapelusze i rękawiczki.

Po chwili obaj szli energicznie chodnikiem, a po opuszczeniu placu szybko wsiedli do najbliższej dorożki.

- I cóż mam teraz zrobić z tym wyuzdanym okropieństwem? - spytał Cooper przyjaciela.

Gabe zachichotał, wziął figurkę i pomachał nią przed twarzą dorożkarza.

- Ej, człowieku! Chciałbyś postawić to sobie na kominku? - zapytał.

- Kominka to nie mam, ale w knajpie, co to w niej bywam, wyglądałoby niezgorzej - odparł dorożkarz.

Gabe wręczył mu posążek i ponownie rozparł się na skórzanej kanapie.

- No proszę, problem rozwiązany - powiedział. - Muszę przyznać, że twoja pomysłowość niekiedy graniczy z geniuszem. Dokąd teraz?

- Wracamy do Pulteney, skąd swoim powozem pojedziesz do księżnej - odparł Cooper. - Ja podążę za tobą, żeby zabrać Dany do jej siostry.

- Czy to roztropne?

- A czemu nie?

- Chyba o czymś zapomniawsz, Romeo. W hotelu mamy się spotkać z Rigbym i Darbym.

- Do diaska - zaklął Coop.

Nie miał pojęcia, dlaczego o tym zapomniał.

- Tak to bywa z zakochanymi mężczyznami - zauważył rzeczowo-

wo Gabe. – Przypominam ci, że nie tak dawno temu przyjechałem do Londynu z tyłu wozu wypełnionego papugami w klatkach. A wszystko dlatego, że chciałem być blisko Thei.

– Dlaczego jechała z ptakami twojego stryja?

– Nie powiedziałem, że tylko mężczyźni robią z siebie pośmiewisko, kiedy zdarzy się im zakochać. Między innymi dlatego chyba powinieneś pozwolić pannie Foster pozostać tam, gdzie jest, w otoczeniu życzliwych kobiet... Wiesz co, a może masz rację? Lepiej odwieź ją z powrotem do hrabiny.

– Moja matka nadal tam była, kiedy wychodziłeś?

– I owszem, a w dodatku zamierzała zostać na noc. Ciotka Vivien również, rzecz jasna.

– I Clarice, prawda?

– I moja Thea – dodał Gabe ze śmiechem. – Kiedy je opuszczałem, z zapalem gawędziły w salonie.

Coop pomyślał o matce, księżnej i Clarice.

– Muszę ją stamtąd wydostać – zdecydował.

– Najpierw do Pulteney. Jeśli dokumenty, które zabrałem ze skrytki Ferdiego, zawierają to, co podejrzewam, zapewne nie musisz się już niczym przejmować i możesz powrócić do swojej posiadłości uprawiać rzepę.

– Rzepę? – Cooper spojrział na niego ze zdumieniem.

– Rzepę. Miałem okazję zapoznać się z nowym zakończeniem *Kroniki bohatera*, w którym ratujesz piękną damę, bodaj piątą, dzięki czemu ponownie otrzymujesz zaszczytny tytuł bohatera, a korona zwalnia cię z wszelkich powinności. W rezultacie powracasz do swojej pierwszej pasji i jako botanik tworzysz nowe, odporne na mróz odmiany rzepy, aby rozwiązać problem głodu wśród pospólstwa.

– A niech mnie. To robota Minerwy. Chyba już nie będą mnie nagabywać na ulicach. Ale żeby zaraz... rzepa?

– Rzepa to zdrowie! – oświadczył Gabe i obaj zanieśli się głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dany ułożyła się wygodnie w łóżku i już miała zasnąć, kiedy usłyszała szczęknięcie naciskanej klamki.

Westchnęła z rezygnacją. Ostatnie, na co miała w tej chwili ochotę, to towarzystwo jednej z gadatliwych dam, z którymi spędziła wieczór.

Ktoś cicho podszedł i położył się obok niej na materacu. Oby tylko nie była to Minerwa ze swoimi opowieściami, pomyślała Dany.

- Dany? Dany, śpisz?

Coop? Tutaj, w rezydencji księcia? W jej sypialni? W domu pełnym ludzi?

Czy on postradał zmysły?

Nie poruszyła się. Doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli uda sen, a Cooper sobie pójdzie.

A może to ona postradała zmysły?

- Coop! - wykrzyknęła, odrzuciła kołdrę i padła mu w ramiona, obsypując go pocałunkami.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - zażartował i mocno pocałował ją w usta.

- Dlaczego tak późno? - spytała zadyszana. - Nic ci nie jest? Gdzie byłeś? Co robiłeś? Znalazł cię mąż Thei? Ale nikogo nie zastrzeżyłeś, prawda? Kto cię wpuścił do domu? Skąd wiedziałeś, który pokój zajmuję? Chyba nie chodziłeś od drzwi do drzwi, zaglądając do wszystkich pomieszczeń? Powiedz coś wreszcie!

- Czekałem, aż stracisz oddech. To miłe, że tak się przejmujesz. Zobacz, co przyniosłem.

- Listy? - Dany zachłysnęła się powietrzem. - Masz listy Mari?

- Ale nie będziemy ich czytać. - Wręczył jej plik grubych kopert.

- Ani jednego? - mruknęła z lekkim żalem.

- Mamy teraz ciekawsze rzeczy do robienia, nie sądzisz? -

Odebrał jej listy i rzucił je za siebie, na dywan.

- Tutaj? Teraz? A jeśli...?

- Dany, czy naprawdę każesz mi odejść?

- Powinnam kazać ci odejść. Zrobiłeś to, o co cię prosiłam, więc nie ma powodu, żebyś został. Mamy listy i najwyraźniej pokonałeś tego paskudnego Ferdiego, nie zabijając go, więc nie musisz uciekać z kraju. Tak, ustaliliśmy, że nasze zaręczyny stały się faktem, ale nie ma już powodu, by ciągnąć tę sprawę...

Pocałował ją w chwili, gdy była bliska płaczu.

Coop wymknął się wczesnym rankiem, zanim jedna z pokojówek księżnej dyskretnie weszła do sypialni. Dany poruszyła się i przesunęła na drugą stronę łóżka, żeby spojrzeć na podłogę.

Do diaska. Listy Mari znikły wraz z Cooperem. A tak bardzo chciała rzucić na nie okiem.

Zerknęła na zegar nad kominkiem.

- Wpół do jedenastej! Dlaczego nikt mnie nie obudził? - jęknęła zrozpaczona i wyskoczyła z pościeli, niemal wytrącając służącej srebrną tacę z babeczkami i dzbankiem gorącej czekolady. - Och, najmocniej przepraszam. Szybko, przynieś mi miskę ciepłej wody i suknię, z którą przyjechałam. Muszę niezwłocznie wrócić na Portman Square.

- Tak jest, panienko. Lord Townsend nakazał, żeby panienka była gotowa i czekała na jego przybycie o jedenastej. Ale jego mama powiedziała, że pewnie musi panienka pospać dłużej, bo... Właściwie nie wiem czemu, ale puściła do mnie perskie oko. Trochę było dziwne to perskie oko, panienko, a prawdę powiedziawszy, to jej uśmiech był jeszcze dziwniejszy...

- Dobry Boże...

Kiedy zegar w holu wybił jedenastą, Dany posłusznie czekała już na dole. Zapewne stałaby na zewnątrz, ciesząc się świeżym powietrzem, gdyby kamerdyner nie oznajmił surowo, że tak się nie robi.

Wkrótce jednak usłyszała stukot końskich kopyt i nie zważając na nic, wybiegła za drzwi. Cooper powitał ją w połowie marmurowych schodów.

- Jak ci się spało? - zązartował, pomagając jej wsiąść do dwu-

kółki.

- Wiesz, że Oliver wraca dzisiaj do domu? - zapytała. - Poprosiłam pana Sinclaira, żeby ci to przekazał.

- Ma na imię Gabe. Tak, wiem, ale nie ma się czym przejmować. Wozy z towarami z pewnością go spowolniły, chyba że jedzie wierzchem.

- Naturalnie, że jedzie wierzchem! Gabe ci nie mówił? Musimy się spieszyć.

- Sugerujesz, bym kazał koniom wzbić się w powietrze i przenieść nas nad innymi powozami?

- Lepiej bądź cicho - burknęła niecierpliwie.

- Widzę, że romantyczny nastrój nocy szybko wyparowuje o poranku. - Cooper roześmiał się.

Dany opuściła głowę.

- Wybacz... - westchnęła. - Rzecz w tym, że Mari mnie potrzebuje. Nie powinnam była zostawiać jej samej, ale musiałam cię znaleźć i uprzedzić, że listy trzeba niezwłocznie odzyskać.

Skręcili na plac i wtedy Dany dostrzegła znajomą, tęgą sylwetkę Sama, brata Emmaline, który prowadził konia do stajni, i podskoczyła nerwowo.

- Jest tutaj - jęknęła. - Wrócił. Już wszedł do domu. A jeśli Mari nie zechce go powitać albo, co gorsza, wyjawি mu całą prawdę? Masz te listy, prawda?

- Naturalnie - potwierdził i po chwili oboje stali przed drzwiami wejściowymi.

Otworzył im lokaj, a Dany wbiegła do środka, nie czekając na stosowne powitanie i zaproszenie.

Oliver stał w holu i spoglądał w górę schodów, na których zamarła piękna, wystraszona Mari.

- Mari - powiedział Oliver i zbliżył się do niej o dwa kroki. - Moja kochana Mari.

- Oliverze, witaj - odparła po chwili wahania Mari i ruszyła ku niemu powoli. - Wróciłeś.

Dany usłyszała za sobą szelest i zrozumiała, że Coop wyjmując pęk listów i macha nimi w powietrzu za plecami niczego nieświadomego Olivera.

W tym samym momencie wyszło słońce i rozjaśniło schody

w posiadłości Cockermouthów. Mari radośnie zbiegła i rzuciła się w ramiona mężowi.

- Och, Oliverze! Jesteś nareszcie! - krzyknęła. - Tak się cieszę!

Hrabia Cockermouth pocałował żonę, po czym wziął ją na ręce i wniósł po schodach.

Timmerly, jak zawsze na miejscu, mrugnął porozumiewawczo do Dany i Coopera, po czym otworzył przed nimi drzwi. Zrozumieli, że na nich pora.

- Idziemy, nic tu po nas - wyszeptał Cooper i wcisnął chustkę w dłoń Dany. - I uważaj, bo jeszcze trochę i będziesz miała całą suknię mokrą od łez.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, gdy już znaleźli się w powozie. - Jeść mi się chce. Dopiero teraz to poczułam.

- Domyślam się. Wrócimy teraz do posiadłości Darby'ego na spotkanie z innymi. Na pewno dostaniemy coś do jedzenia. A po drodze zapewne chętnie przejrzysz tę książeczkę. - Wyjął z kieszeni trzeci tom *Kroniki*.

- Już jest w sprzedaży na ulicach? - Szybko chwyciła broszurkę.

- Jest rozdawana... Chcemy mieć pewność, że wszyscy poznają banalne zwięźczenie moich wyczynów. Wkrótce zaznam zapomnienia, którego ogromnie mi brakuje.

- Zatem zamierzasz wyjechać i uprawiać rzepę? - spytała Dany niepewnie.

- Jeszcze nie. Czy zastanawiasz się, dlaczego jestem gotów bez żadnych skrupułów narazić nas na kolejne przejścia z Ferdiem, który koniecznie chce zrobić porządek ze swoim rzekomo największym wrogiem?

- Tak, zastanawiam się nad tym, a ponieważ niewątpliwie znasz odpowiedź na to pytanie, mów szybko, bo szkoda czasu. Co się zdarzyło ostatniej nocy, kiedy stawiałeś mu czoło i zażądałeś zwrotu listów Mari? Czy sprawa już dobiegła końca? Skąd ta pewność? Co powiedziałeś, spotkawszy się z nim? Chyba nie doszedłeś do wniosku, że trzeba go zabić?

- Zabić go? - mruknął z rozbawieniem. - Nawet go nie widzieliśmy.

- Celowo mówisz niejasno, prawda? - westchnęła. - Naprawdę

muszę wszystko z ciebie wyciągać?

- Prawdę powiedziawszy, staram się nie mówić zbyt głośno o tym, co Gabe znalazł w gabinecie Ferdiego. Poza listami twojej siostry Ferdie ukrył w biurku dokumenty, z których jasno wynika, że utrzymywał ścisły kontakt z niewielką, lecz znaną i groźną grupą irlandzkich rewolucjonistów. Jak pamiętasz, kilka lat spędził w Irlandii. Najwyraźniej wykorzystał ten czas na sprzymierzenie się z wywrotowcami.

- Przecież to zdrada stanu! - wykrzyknęła.

- Twój umysł szybko wyciąga trafne wnioski. - Coop uśmiechnął się z podziwem i rozbawieniem. - Wątpimy, by Ferdie naprawdę knuł coś przeciwko władzy, niemniej w pismach jest wzmianka o przekazaniu mu ogromnej posiadłości pod Dublinem.

- Jak myślisz, czy on wie, że ty wiesz?

- Tak się składa, że dwóch dżentelmenów podających się za przedstawicieli władz wkroczyło wczoraj wieczorem do jego domu, o czym z pewnością dowiedział się zaraz po powrocie. Należy zakładać, że natychmiast sprawdził zawartość swojej starannie zamaskowanej skrytki i odkrył brak kilku istotnych przedmiotów.

- Ty i Gabe wpakowaliście się do gabinetu Ferdiego, ignorując protesty służby, przetrząsnęliście pomieszczenie, dzięki czemu mamy teraz listy Mari i dowody obciążające markiza. Tak to wyglądało?

- W istocie rzeczy. - Cooper ponownie się uśmiechnął. - Nie powinienem tego mówić, ale świetnie się bawiłem, podobnie jak Gabe. Spodziewam się, że zostanie aresztowany jeszcze dzisiaj, a być może już siedzi za kratkami. Gabe udał się z samego rana do pewnego wysokiej rangi oficera, z którym się przyjaźni.

Coop zatrzymał dwukólkę przed stajniami, pomógł Dany zejść i razem poszli do altany, w której prawie wszyscy już na nich czekali: Minerwa, księżę i księżna, Clarice i Rigby, Thea i Gabe, a także dziwnie zasepiony Darby. Brakowało tylko Mari i Olive-
ra, ale Dany świetnie wiedziała, gdzie oni są i dlaczego nie przyszli.

- Czyżby zapowiadała się feta zwycięzców?

- Miejmy nadzieję. - Coop nieco nerwowo uścisnął jej dłoń.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Wasze Książęce Wysokości, przyjaciele - przemówił Cooper i uklonił się nisko. - Dziękuję, że się tutaj zjawiliście. Jak wszyscy świetnie wiecie, ten tydzień obfitował w zdarzenia, między innymi panna Foster pochopnie wdała się w fałszywe zaręczyny z rzekomym bohaterem spod Quatre Bras.

- Jesteś prawdziwym bohaterem spod Quatre Bras - zauważyła, ale natychmiast przygryzła wargę.

Powoli uświadamiała sobie, do czego zmierza Cooper, i nagle nabrała chęci, by uciec gdzie pieprz rośnie.

- Niebezpieczeństwo jednak minęło, więc oznajmiam wszem wobec, że panna Foster, czyli Dany, nie jest już związana ze mną żadnymi zobowiązaniami, do których może się poczuwać.

Dany poczuła ciężar na piersi. Wszyscy milczeli jak zakłęci.

- Dany, oddaj mi pierścionek - wyszeptał Cooper.

Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Jak on mógł to robić?

- Dany, bardzo cię proszę. Pierścionek.

Patrząc mu prosto w oczy, ściągnęła pierścionek i ostentacyjnie go zwróciła.

- Dziękuję.

- Powinnam była wrzucić go do strumienia - powiedziała drżącym głosem. - Czy odwieziesz mnie teraz do domu?

- Skoro tego sobie życzysz. Ale zanim to uczynię...

Chwyił ją za rękę i padł na kolano.

- Panno Daniello Foster - przemówił mocnym, donośnym głosem, który wszyscy słyszeli. - Chociaż pod wieloma względami nie jestem ciebie godzien, moja głęboka miłość do ciebie, cudowna istoto, nakazuje mi spytać cię, czy nie zechciałabyś spędzić ze mną reszty życia. Dany, najukochańsza, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

- Więc ty to wszystko... zaplanowałaś? - Powiodła wzrokiem po zebranych. Minerwa dyskretnie ocierała łzy, Clarice niemal podrygiwała z radości. Wszyscy czekali z zapartym tchem na odpowiedź. - Masz pojęcie, jak bardzo mnie wystraszyłeś? I to dlatego że uniosłeś się honorem? Po prostu chciałeś, abym wiedziała, że udawane zaręczyny to już przeszłość i zaczynamy od początku... Och, Coop, przecież wiesz, że cię kocham. Tak. Tak! - Od-

wróciła się do publiczności. – Tak! Oświadczyły przyjęte!

EPILOG

Dany tuliła się do Coopa, który siedział oparty o szeroki pień drzewa nad strumieniem. Cooper od czasu do czasu przykładał rękę Dany do ust i całował pierścionek, który teraz traktował jak zapowiedź ich długiego, szczęśliwego życia.

- Czy już mi wybaczyłaś? - zapytał, kiedy westchnęła z wyraźną błogością.

- Owszem. Ale mogłeś mi powiedzieć, prawda? Zrozumiałabym i obeszkłoby się bez zdenerwowania.

- Bardzo mi zależało na tym, żeby wszyscy dowiedzieli się o naszym związku, a w szczególności Darby, który czuł się winny po tym, jak wpadł na pomysł zaręczyn na niby. Daniello, kocham cię całym sercem.

- Za to Darby żywi do mnie zupełnie inne uczucia - mruknęła. - Z pewnością to zauważyłeś. Uśmiechał się, pocałował mnie w rękę, ale sprawiał wrażenie rozkojarzonego, zupełnie jakby wciąż coś go trapiło.

- W istocie, coś go trapi - przyznał Coop. - Gdy rozmawiałaś z damami, odciągnął mnie na bok i powiedział o liście, który otrzymał dzisiaj rano. Wygląda na to, że nasz przyjaciel wpadł jak śliwka w kompot.

- Cóż takiego się wydarzyło?

- To długa historia, ale postaram się ją streścić. Kiedy na rok przed Waterloo siedzieliśmy we francuskim więzieniu, Darby zaprzyjaźnił się z pewnym lekarzem, uwięzionym wraz z nami. Ów medyk, który opiekował się nami, miał córkę, a kiedy Darby spytał, jak mógłby się odwdziaczyć za uratowanie oka, lekarz poprosił go o zaopiekowanie się pociechą, gdyż czuł, że może umrzeć.

- I co, Darby się zgodził? A lekarz umarł? Przecież to było lata temu, sam powiedziałaś.

- Nie, lekarz nie umarł. Został ranny podczas próby kradzieży żywności francuskim strażnikom, którzy nas pilnowali, ale wów-

czas przeżył. Wygląda jednak na to, że teraz przeniósł się na tamten świat, a córka oczekuje, że Darby dotrzyma danego słowa. Jak wynika z treści listu, który mi pokazał, dziewczę przybędzie lada dzień.

Dany wyprostowała się i popatrzyła na przyjaciół, którzy świetnie się bawili w pewnym oddaleniu. Darby jednak znowu stał samotnie z boku, z rękami w kieszeniach i spojrzeniem źle wróżącym każdemu, kto ośmieliłby się go zaczepić.

- I co on teraz robi? - Pokiwała głową. - Nie wyobrażam go sobie z kimś pod opieką, a już na pewno nie z dorastającym dziewczęciem.

- Nie mam pojęcia. Wiem za to, że poprosił nas o pomoc, której mu nie odmówimy, naturalnie. Dlatego zależałoby mi na tym, byśmy pozostali w Londynie jeszcze przez pewien czas. Dopiero potem pojechalibyśmy do twoich rodziców, abym mógł poprosić ich o twoją rękę.

Myśli kłębiły się w głowie Dany. Zastanawiała się, ile lat ma dziecko, czy jest gotowe do zaprezentowania w towarzystwie i na jak długo stanie się ciężarem dla Darby'ego.

- Ależ naturalnie. - Ponownie oparła się o Coopera. - Nie mam nic przeciwko temu.

Tytuł oryginału A Scandalous Proposal
Pierwsze wydanie Harlequin Mills & Boon Ltd, 2016
Redaktor serii Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne Dominik Osuch
Korekta Lilianna Mieszczńska

© 2016 by Kathryn Seidick
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3204-3

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Epilog
Strona redakcyjna